ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NR 08 (223) SIERPIEŃ 2017 NAKŁAD 12 100 CENA 14,70 ZŁ (W TYM VAT 5%)

WIADOMOŚĆ Z PRZESZŁOŚCI W KAMIENNYM **ODKRYCIU ZAKLĘTA**

> PRZEŻYĆ POWSTANIE – ZAGŁADA STOLICY OCZAMI ŚWIADKA

> POTYCZKA U PODNÓŻA ZAMKU CZOCHA – CZEGO BRONILI NIEMCY?

> PANCERNE KURIOZA – DZIEJE SZALONYCH KONSTRUKCJI CZOŁGÓW

> GOLIATH – HISTORIA PEWNEJ REKONSTRUKCJI

www.odkrywca.pl

Indeks 37010X ISSN 1505-6104
9 771505 610056 08

Viking

NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE OD 1998!

● do poszukiwania złota ● na warunki atmosferyczne ● odporny ● wodoszczelny do 3m ● podwodny

GARRETT METAL DETECTORS
www.garrett.com

NOWOŚĆ

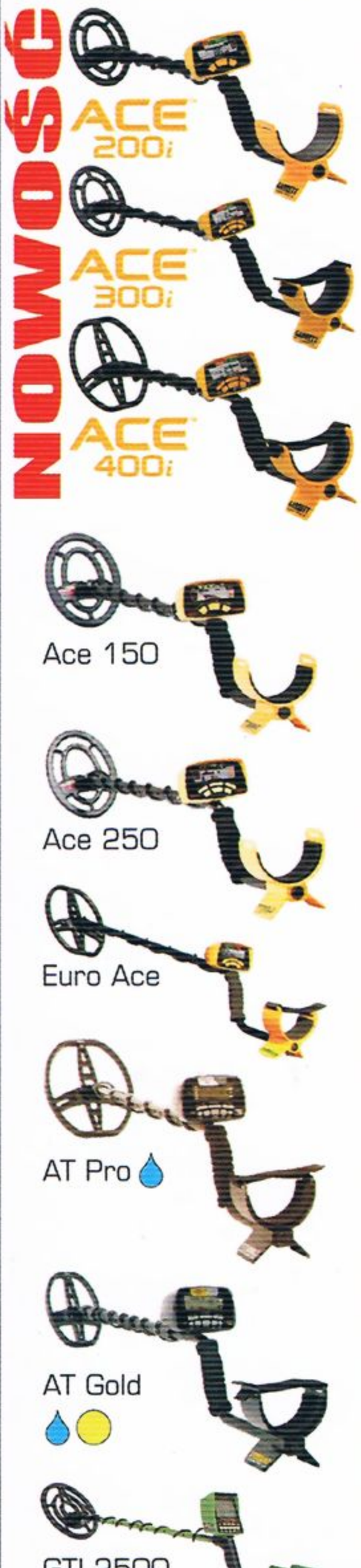

Ace 150

Ace 250

Euro Ace

AT Pro

AT Gold

GTI 2500

Sea Hunter Mark II

ATX

white's

Coinmaster

Treasure Master

Treasure Pro

NOWOŚĆ

MXSPORT

MX5

Matrix M6

MXT Tracker

MXT Pro

Spectra VX3

Spectra V3i

BeachHunter

TM 808

FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment

F5

F11

F22

F44

F19

F70

F75

F75 LTD

Pro-Tech

Pro-Arc

CZ 21

1280-X Aquanaut

MINELAB

X-Terra 305

X-Terra 505

X-Terra 705

Safari

E-Trac

CTX 3030

GPZ 7000

SDC 2300

Excalibur II

GO-FIND 20

GO-FIND 40

GO-FIND 60

XP METAL DETECTORS

ADX150

Adventis 2

GMaxx II

Gold Maxx

Deus

Nokta DETECTION TECHNOLOGIES

VELOX One

FORS CoRe

GROUND EFX

MX100E

MX200E

MX300

MX400

Pin Pointery

Garrett Pro-Pointer II

Garrett Pro-Pointer AT

White's Bullseye TRX

Minelab Pro-Find 25

Deteknix XPointer

ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl

www.viking.waw.pl

sklep stacjonarny czynny 6 dni w tygodniu, sprzedaż wysyłkowa i ratalna

SZANOWNI PAŃSTWO, DRODZY CZYTELNICY

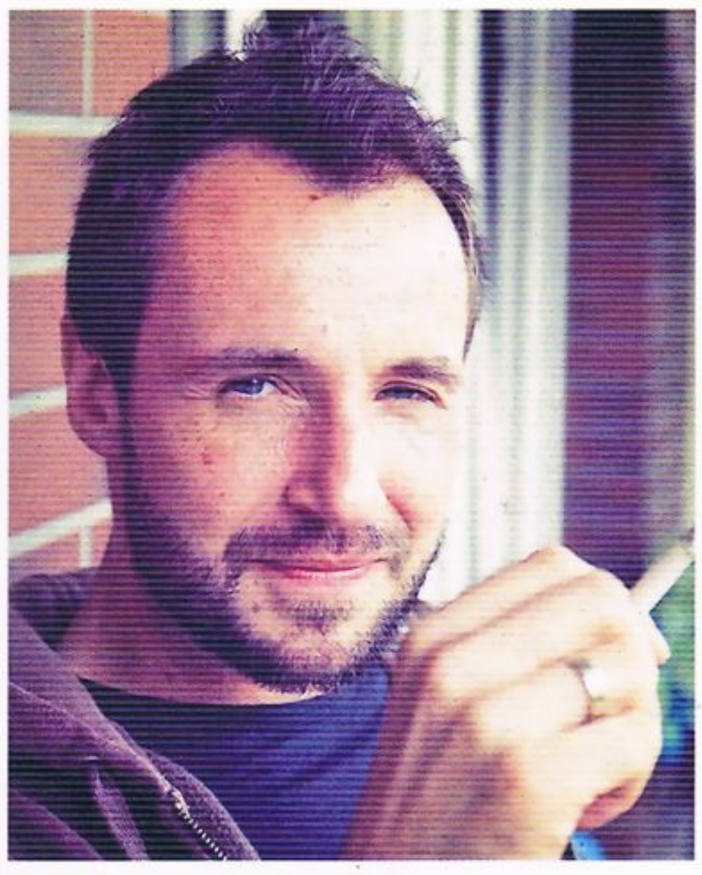

fot. Maciej Stajniak

PIOTR MASZKOWSKI
REDAKTOR NACZELNY

Eksploracja bywa niewdzięczną pasją. Zwłaszcza jeżeli podążamy śladami tajemnic związanych z konkretnymi historiami o ukrytych skarbach. Źródła ich dotyczące w większości przypadków są zaledwie pośrednimi poszlakami, które wyłuskuje się spośród nagromadzonego przez lata chaosu informacji. Skutecznym narzędziem często bywa więc dedukcja, umożliwiająca logiczne łączenie faktów. W tego typu sprawach rzadko bowiem dysponujemy kompleksowymi danymi, które bezpośrednio prowadzą do celu. Niezależnie jednak od wszystkiego, w pewnym momencie konieczna jest weryfikacja uzyskanych tropów w terenie – przeprowadzenie wykopu czy odwiertu. Bez tego typu działań nie dowiemy się, czy obrany kierunek działań jest właściwy, czy też nie. Ich wyniki przeważnie są negatywne, choć zdarzają się wyjątki.

Przekonali się o tym członkowie Stowarzyszenia Dolnośląska Grupa Eksploracyjna „Legion", którym udało się dokonać pewnego odkrycia nieopodal Przemkowa. W tym przypadku los sprzyjał poszukiwaczom, a weryfikacja tropów okazała się pozytywna, o czym kilka stron dalej pisze Marcin Jednoróg. Jak wiele oblicz mają odkrycia, przekonuje również Katarzyna Ogrodnik-Fujcik, przypominając historię unikatowych polichromii w późnoromańskim kościele w Lubiechowej na Dolnym Śląsku. Zamek Czocha słynie m.in. z tajemnic związanych z okresem II wojny światowej. Tym bardziej więc cieszy dotarcie Macieja Szczerepy do radzieckich raportów bojowych z 1945 roku, relacjonujących toczące się w pobliżu walki. Dzięki temu mamy okazję zapoznać się z ich przebiegiem, co w znaczący sposób uzupełnia naszą wiedzę dotyczącą tego niezwykłego obiektu. Nie zapominamy również o kolejnej, jakże ważnej dla nas, rocznicy Powstania Warszawskiego. Leszek Adamczewski dotarł bowiem do niepublikowanych dotąd wspomnień, dokumentujących straszliwy obraz zagłady stolicy. Pośrednio z tym tematem związany jest również tekst Zbigniewa Nowosielskiego o technicznej rekonstrukcji pojazdu SdKfz. 303 Goliath – owianego złą sławą, zdalnie sterowanego pojazdu samobieżnego – jednego z symboli niemieckiej pacyfikacji Warszawy.

znajdź nas na:
www.facebook.com/odkrywca

Okładka: fot. T. Walkowiak, kolaż Małgorzata Biernacka. Wydobywanie kamieni RAD w okolicach Przemkowa

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

WYDAWCA
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych Sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15 c,
62-500 Konin, tel. 632 191 013

PREZES ZARZĄDU:
Magdalena Haber,
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA"
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: **redakcja@odkrywca.pl**
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Maszkowski
e-mail: maszkowski@odkrywca.pl
SEKRETARZ REDAKCJI
Andrzej Daczkowski
e-mail: daczkowski@odkrywca.pl
DZIAŁ FORTYFIKACJE
Jerzy Sadowski
STALI WSPÓŁPRACOWNICY
Proteus, Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Lech Zwirełło, Tomasz Bienek
KONSULTANCI
dr Wiesław Nawrocki
• Geofizyka.
dr Paweł Konczewski
• Archeologia.
Michał Banaś
• Geologia.
Piotr Galik
• Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki
• Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski
Dariusz Wójcik
• Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki
• Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski
• Numizmatyka.

DZIAŁ GRAFICZNY
Małgorzata Biernacka
Projekt, opracowanie graficzne.

DZIAŁ REKLAMY I PROMOCJI
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

TWÓRCA I ADMINISTRATOR STRONY WWW.ODKRYWCA.PL
Kazimierz Ruszel „Bocian"

GRUPA EKSPLORACYJNA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

DRUK
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Przemysłowa 7
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

SPIS TREŚCI

ODKRYCIA I POSZUKIWANIA

4 SENSACYJNE ODKRYCIE KOŁO PRZEMKOWA
MARCIN JEDNORÓG

10 CO MÓWIĄ KULE, CZYLI O POŻYTKACH Z ARCHEOLOGII MILITARNEJ " CZĘŚĆ 2.
MICHAŁ MACKIEWICZ

16 ŚW. JERZY Z LUBIECHOWEJ ODKRYTY W 1968 R.
KATARZYNA OGRODNIK-FUJCIK

KULISY HISTORII

24 PADA BARYKADA PO BARYKADZIE
LESZEK ADAMCZEWSKI

30 HISTORIA ODBUDOWY „GOLIATHA"
ZBIGNIEW NOWOSIELSKI

36 OSTATNIE STRZAŁY POD ZAMKIEM CZOCHA
MACIEJ SZCZEREPA

42 WALTHER SCHNURR. DYREKTOR ZAKŁADÓW DAG WERK CHRISTIANSTADT. PAPIEŻ MATERIAŁÓW WYBUCHOWYCH III RZESZY CZĘŚĆ 2.
MIŁOSZ GROBELNY

46 CZOŁGI DZIWOLĄGI. CZĘŚĆ 1.
JACEK JAWORSKI

52 SYSTEM ŁĄCZNOŚCI TROPOSFERYCZNEJ BARS
JACEK DROŻDŻ

KOLEKCJONERSTWO

58 ROGATYWKA POLOWA W LUDOWYM WOJSKU POLSKIM
PIOTR ORMAN

64 CZEKOLADA NA MORZU I LĄDZIE
TOMASZ BIENEK

FELIETON

70 DOTKNIĘCIE PUSTKI
RADOSŁAW BICZAK

71 **KSIĘGARNIA „ODKRYWCY"**
NOWOŚCI SIERPNIA

kolekcja ODKRYWCY

MASKA PRZECIWGAZOWA „SŁOŃ"
Model MUA używany w latach 70./80. XX wieku. Maski pochodzą z demobilu i nie mają atestu. Zestaw kompletny razem z oryginalną torbą. Dostępne w rozmiarach od 0 do 4.

15,-

35,50

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET"
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Poradnik bogato ilustrowany podpowiada wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych starych i zniszczonych wyrobów metalowych, w tym do tych wydobytych z ziemi.

36,-

Niezwykle elegancki PENDRIVE USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

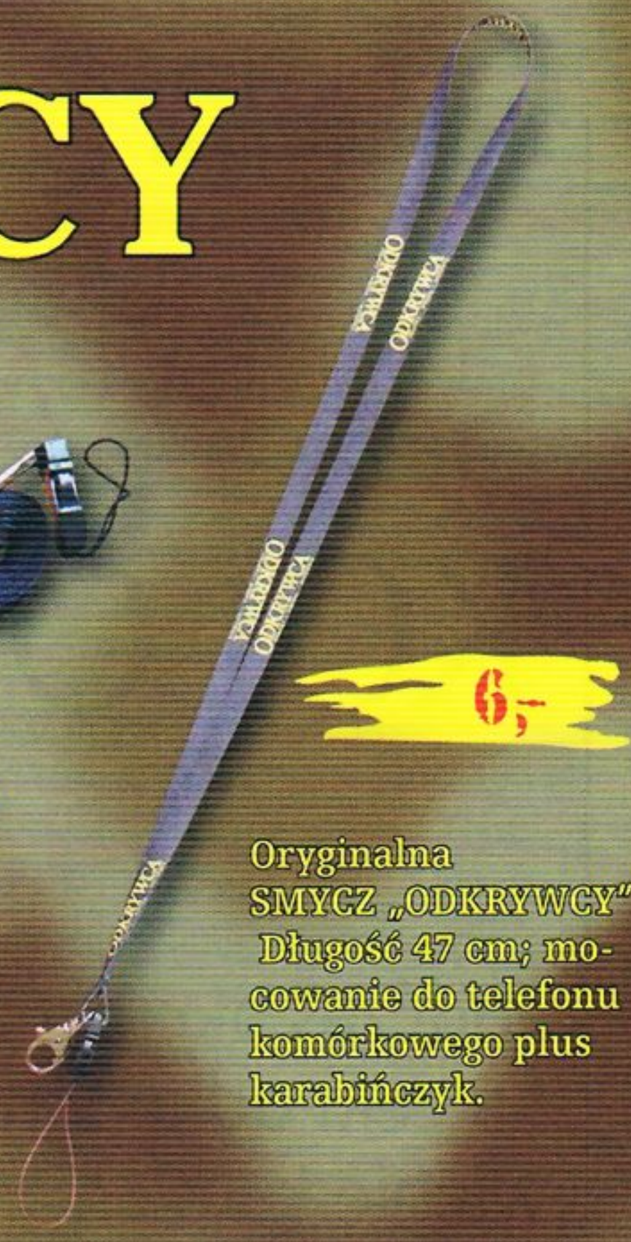

6,-

Oryginalna SMYCZ „ODKRYWCY"
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

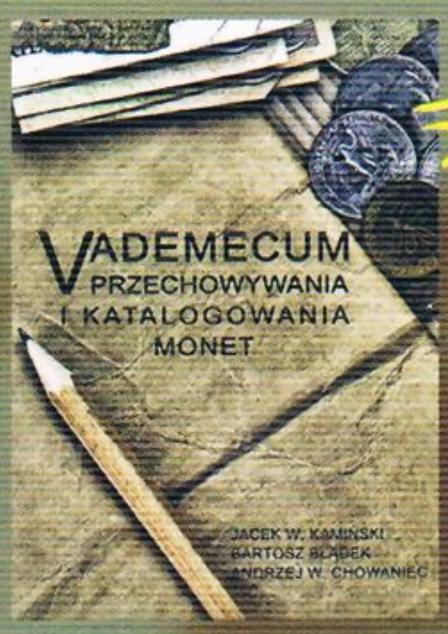

39,50

„VADEMECUM PRZECHOWYWANIA I KATALOGOWANIA MONET"
Kolejna pozycja dla kolekcjonerów monet. W przejrzysty sposób przedstawia wszelkie zalety i wady prezentowanych metod zabezpieczania i katalogowania zbiorów numizmatycznych. Zawiera także porównania dostępnych na rynku katalogów internetowych. Książka jest bogato ilustrowana.

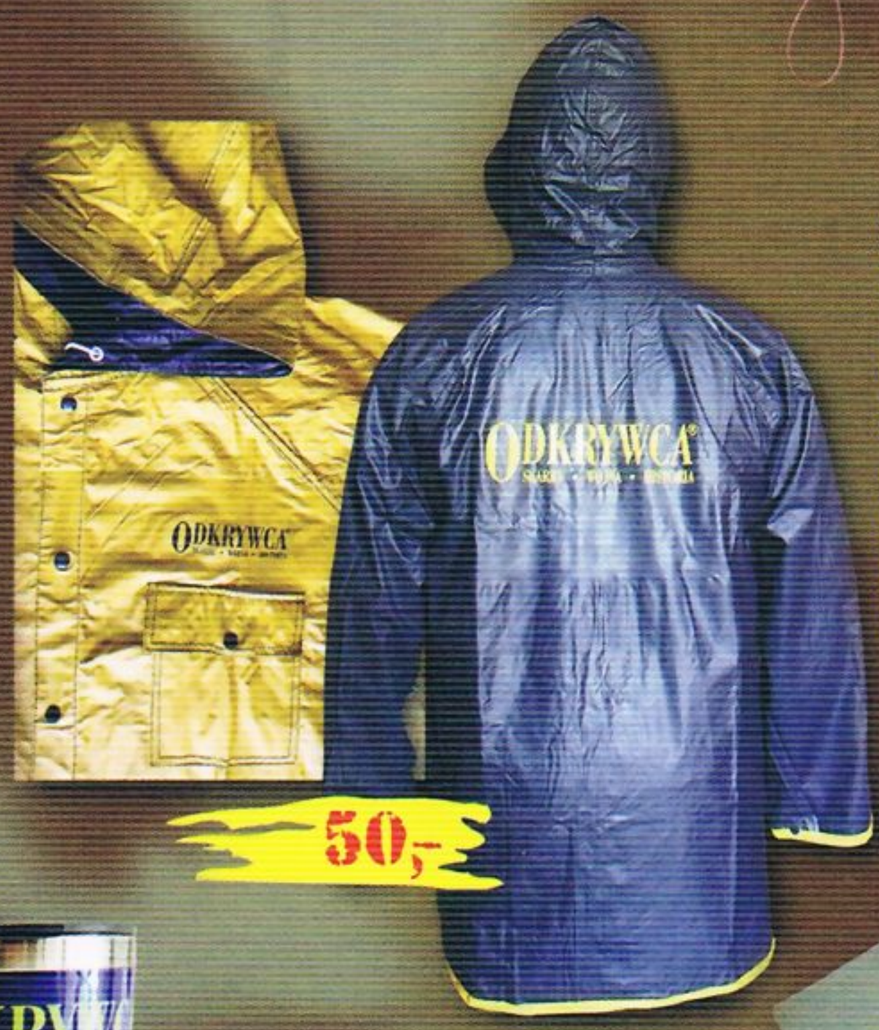

50,-

PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

20,-

Metalowy KUBEK TERMICZNY z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

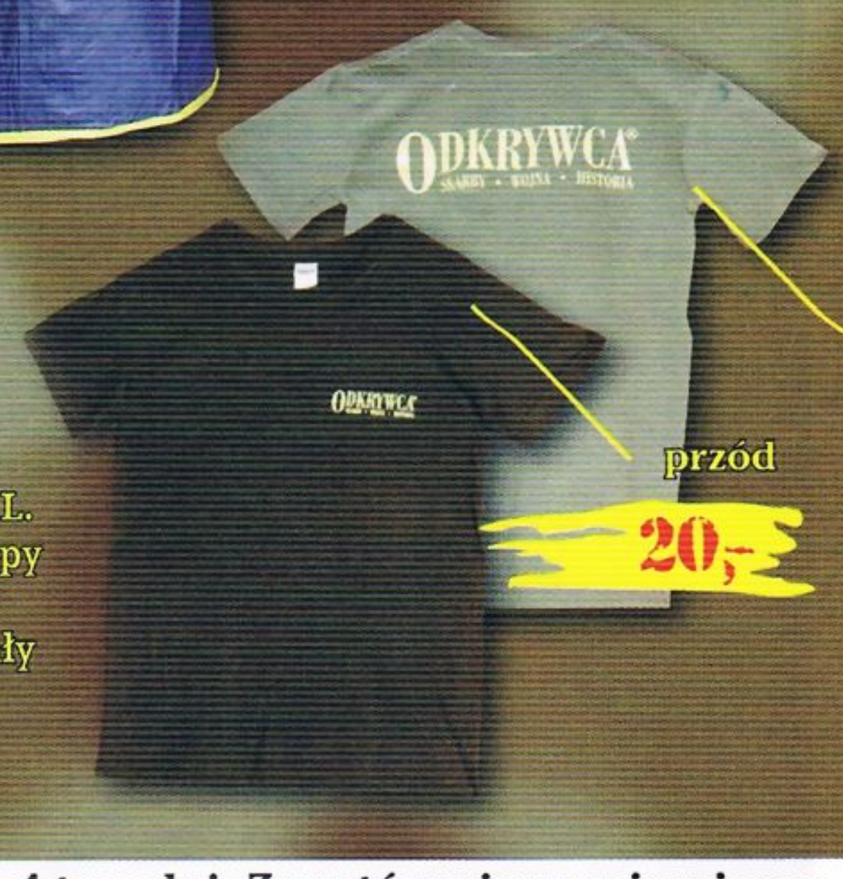

20,-

KOSZULKI „ODKRYWCY" z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy. Dostępne rozmiary: S, M, L. XL, XXL. Logotypy „Odkrywcy" – duży z tyłu i mały z przodu.

ferta dostępna aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 08/223

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy miejscowość

ulica nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy" zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

SENSACYJNE ODKRYCIE KOŁO PRZEMKOWA

MARCIN JEDNORÓG

Podczas akcji, mającej na celu odkopanie i ustawienie kamieni z obozów RAD, został odnaleziony list z czasów nazistowskich!

Było marcowe popołudnie. Stowarzyszenie Dolnośląska Grupa Eksploracyjna „Legion" kończyło pierwszą tegoroczną akcję, zakończoną ogniskiem, na które byli zaproszeni m.in. pracownicy Parków Krajobrazowych Przemków. Pomagali nam przy pracach, które polegały na czyszczeniu płyt nagrobnych rodu książęcego Schleswig-Holstein.

Rozmawialiśmy z dyrektorem parków, panem Markiem Cieślakiem, i poruszyliśmy temat obozów Reichsarbeitsdienst (RAD; niem. „Służba Pracy Rzeszy"). Opowiadaliśmy o miejscach, w których się one znajdowały oraz czym zajmowały się osoby w nich skoszarowane. Wspomniałem o archiwalnym zdjęciu obozu 10/106, na którym widać grupkę młodych

Niemców w mundurach, stojących przed kamieniem z wybitym numerem 10/106, a pod numerem znajduje się napis „Hierlshagen", czyli niemiecka nazwa wsi Ostaszów. Pan Marek zaczął opowiadać o tym, że siedemnaście lat temu dokonał przypadkowego odkrycia. Chodziło o niewielki sztucznie usypany wzgórek, na którym leży duża liczba kamieni. Na jednym bądź dwóch widoczne były numery. Gdy zaczął dociekać, co dane numery oznaczają, dowiedział się, że są to kamienie z numerami obozów RAD.

Pan Marek opowiadał, że tych kamieni jest więcej. W końcu padło pytanie:

„Chcielibyście dowiedzieć się, gdzie one leżą? Odpowiedź była błyskawiczna: „Pewnie".

Od tych wydarzeń minął miesiąc. Pamiętaliśmy o tej sprawie, ale dopinaliśmy do końca inne, związane z poprzednią naszą akcją. Pewnego razu zadzwoniłem do siedziby Przemkowskich Parków Krajobrazowych. Podczas rozmowy z panem Mieczysławem Kowalskim włączył się dyrektor Marek Cieślak: „Panie Marcinie, a kamienie?". Zadzwoniłem do reszty kolegów z zarządu naszego stowarzyszenia z pytaniem, czy podejmujemy się owego tematu. Od każdego z nich otrzymałem taką samą odpowiedź: „Pewnie, działamy".

Przygotowania do pracy

Zanim przestąpiliśmy do prac, pojechałem z dyrektorem Parków Krajobrazowych, aby zobaczyć miejsce, w którym znajdują się kamienie. Niestety, nie udało nam się ich zobaczyć. Miejsce porastało bardzo wysoką trawą, a dodatkowo sprawę utrudnia jeszcze rów. Po otrzymaniu zezwoleń ustaliliśmy datę na... odkrycie historii.

Przed samą akcją opracowaliśmy plan działania. Najpierw należało zbić drewnianą kładkę, dzięki której będziemy mogli swobodnie przechodzić przez rów. Dwa dni przed samą akcją pojechaliśmy na miejsce, aby wykosić ścieżkę dojścia do górki z kamieniami oraz usunąć trawę na górce. Pojechaliśmy w składzie: Adam Idczak, Dariusz Pruciak, Marcin Jednoróg, Mariusz Logoń oraz Piotr Majewski. Kosiliśmy trawę pod czujnym okiem dyrektora Przemkowskich Parków Krajobrazowych, gdy po chwili jeden z kolegów krzyknął, że trafił na pierwszy kamień. >>>

Zdjęcie przedstawia młodych Niemców, stojących koło kamienia w obozie 10/106 Hierlshagen, znajdującym się w Ostaszowie.

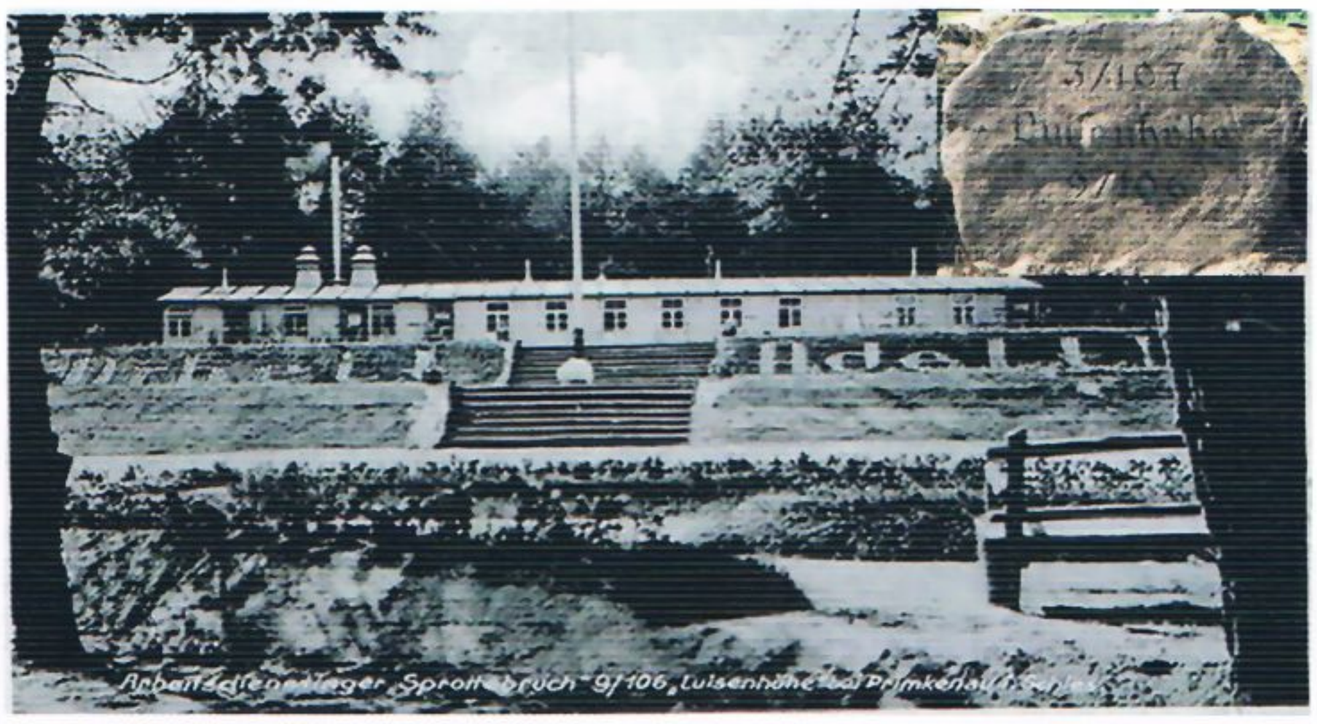

Kamień w obozie 3/107 oraz dokładnie ten sam kamień odnaleziony wraz z innymi kamieniami koło Przemkowa.

>>> Był to pewnie jeden z tych kamieni, o których opowiadał pan Marek. Były na nim słabo widoczne numery, w tym 106. Oznaczał on obozy działające nad zagospodarowaniem przemkowskich bagien. Dzięki ludziom w nich pracujących, zbudowano nowe drogi, osiedla, stawy oraz rowy przelewowe. Wszyscy byliśmy bardzo podekscytowani tym znaleziskiem. Kosiliśmy trawę, odsłaniając kolejno jeden po drugim z kamieni.

W trakcie koszenia odkryliśmy jeszcze jeden kamień, na którym były widoczne numery i napis. Okazało się, że był to ten sam kamień z archiwalnego zdjęcia z obozu 10/106, który znajdował się w Ostaszowie. Pytanie: jak tam się znalazł, skoro obóz był oddalony o przynajmniej 12 kilometrów?

Sobota, bierzemy się do pracy

3 czerwca byliśmy umówieni na godzinę 6 rano. Pora została wybrana tak wczesna ze względu na zapowiadane wysokie temperatury. Byliśmy niewyspani, ale zdeterminowani do działania. Większość z nas nie mogła spać w nocy, myśląc, co jeszcze znajdziemy. Na sobotnią akcję przyjechali prawie wszyscy członkowie naszego stowarzyszenia: Anna Sadziak, Brygida Podgórska, Iwona Walkowiak, Adam Idczak, Grzegorz Górowski, Mariusz Dryja, Marcin Jednoróg, Piotr Majewski, Mariusz Logoń, Dariusz Pruciak, Piotr Rappel, Tomasz Walkowiak. Jesteśmy niewielkim stowarzyszeniem, liczącym tylko 15 osób, ale z taką zgrana ekipą można przenosić góry – i tą akcja doskonale to potwierdza.

Zabraliśmy się ostro do pracy. Na początku dokładnie zgrabiliśmy skoszoną w środę trawę. Kolejny etap prac polegał na delikatnym odsunięciu darni trawy, w taki sposób, aby można było założyć pasy, które pomagały nam przy podnoszeniu i obracaniu kamieni. Odwracamy pierwszy kamień, na którym widzimy numer 2/106 i pod nim napis Reuthau (przedwojenna nazwa wsi Rudziny). Czujemy wielką radość, ponieważ na kamieniu znajdują się napisy, na których widać dobrze zachowaną czarną farbę.

Kolejny kamień, który odsłonił swoje napisy, to numery obozów z Gaworzyc (7/106 Quaritz) oraz z Chocianowa (6/107 Oberquell). Tutaj pojawia się kolejna zagadka historii. Obóz 7/106 był oddalony o 40 km od obozu 6/107 Gaworzyc. Możliwe, że kiedyś znajdowały się one w Gaworzycach, a w późniejszych latach jeden z nich został przeniesiony do Chocianowa. Możliwe, że kiedyś uda nam się odpowiedzieć na to pytanie, ale na razie

HISTORIA REICHSARBEITSDIENST (RAD; NIEM. SŁUŻBA PRACY RZESZY)

REICHSARBEITSDIENST (RAD; niem. Służba Pracy Rzeszy) – masowa organizacja przystosowania obywatelskiego i wojskowego młodzieży w III Rzeszy, która w trakcie II wojny światowej wykonywała funkcje pomocnicze wobec Wehrmachtu. **26 CZERWCA 1935 ROKU** wprowadzono w III Rzeszy zarządzenie o obowiązku sześciomiesięcznej pracy na rzecz państwa, a obowiązek miał być wypełniony poprzez pracę w Reichsarbeitsdienst. **ZARZĄDZENIU TEMU PODLEGALI MĘŻCZYŹNI W WIEKU OD 18 DO 25 LAT, A OD 4 WRZEŚNIA 1939 ROKU TAKŻE KOBIETY.**

Wprowadzenie obowiązku pracy spowodowało gwałtowny rozwój organizacji, której struktury w szybkim czasie powstały we wszystkich landach III Rzeszy, a organizacja przybrała charakter organizacji masowej.

Po wybuchu II wojny światowej głównym zadaniem Reichsarbeitsdienst stało się wykonywanie prac na rzecz Wehrmachtu, a zwłaszcza zajmowała się budową umocnień. Dziełem tej organizacji był m.in. system umocnień Wału Atlantyckiego i Linii Zygfryda. Oddziały RAD wykorzystywane były w pracach na froncie wschodnim, gdzie niektóre oddziały wzięły udział w walkach z Armią Czerwoną. **W 1944 ROKU** część oddziałów RAD zaczęto wykorzystywać do obsługi baterii przeciwlotniczych. Wtedy też zaczęto wcielać **CORAZ MŁODSZYCH MĘŻCZYZN W WIEKU OD 15 LAT** i używano ich do budowy okopów i umocnień. Zaczęto ich również włączać do Volkssturmu.

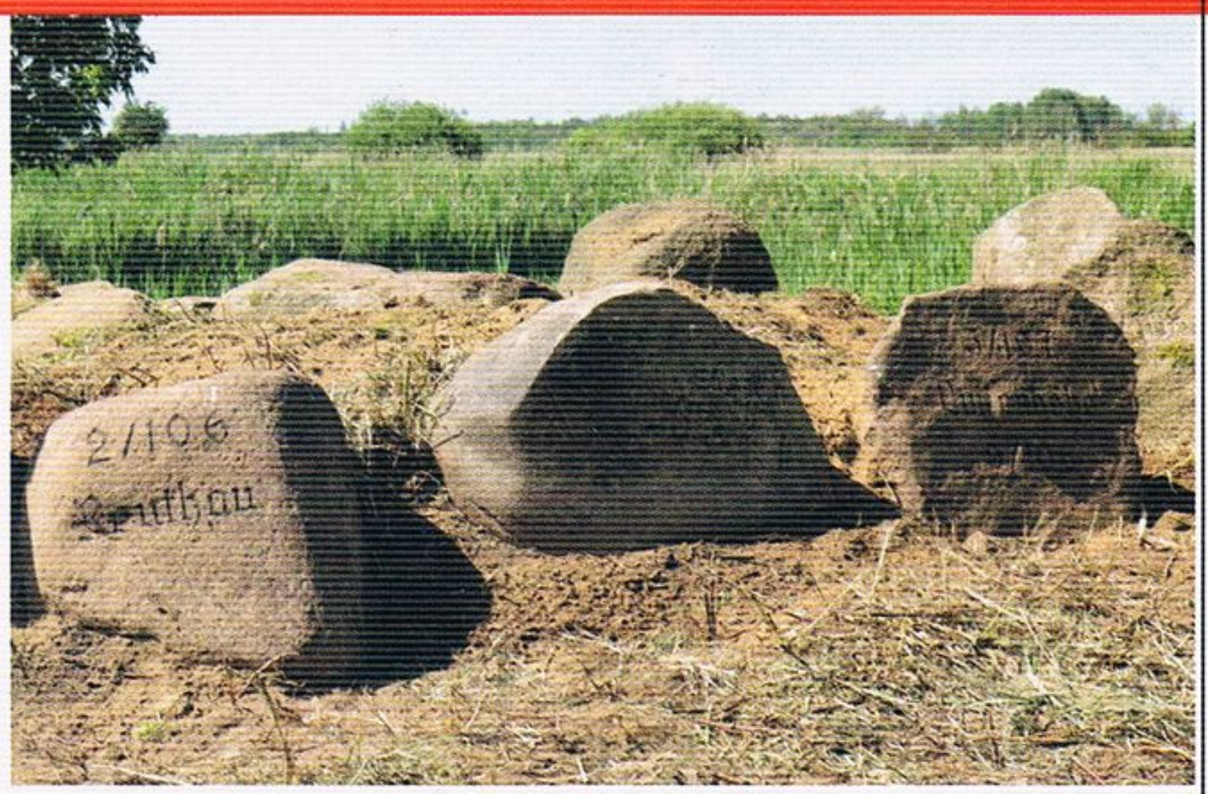

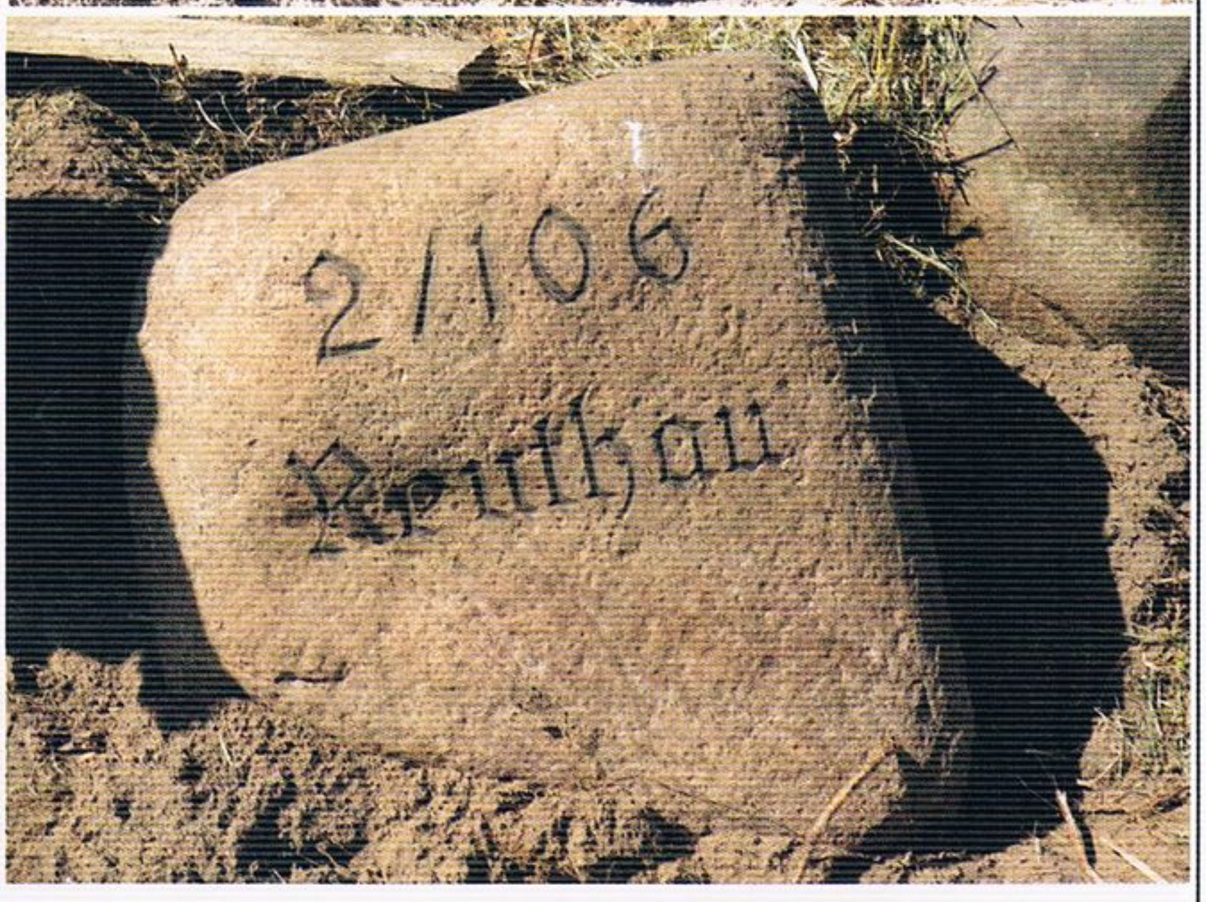

fot. Tomasz Walkowiak

Odkryte kamienie, niektóre napisy są bardzo wyraźne.

nie możemy znaleźć informacji na ten temat.

Trzeci z odwróconych kamieni odsłania napisy oraz numer o treści: „3/107 Luisenhöhe 9/106". Czytając informacje na temat obozu Luisenhöhe, dowiadujemy się, że obóz był w okolicach Przemkowa, i że obóz 3/107 najprawdopodobniej leżał na terenie obozu 9/106. My, znajdując ten kamień, potwierdzamy tę informacje. Jednak nie mamy pewności, czy obóz 3/107 znajdował się cały czas na terenie obozu 9/106. Na czwartym z odkrytych kamieni widnieje napis „11/106 Hierlshagen". To kolejny obóz, który zlokalizowany był w Ostaszowie koło Przemkowa. Piąty kamień to również obóz z Ostaszowa o numerze 8/106 Hierlshagen. Szósty z kamieni to obóz z numerem „3/106 Magdalenenscheune". Informacji na temat lokalizacji jego jest niewiele. Dowiedzieliśmy się tylko, że mógł znajdować się między Żaganiem a Szprotawą.

Ostatni kamień miał numery obozów 5/106, 5/107 i ich wspólną nazwę. Niestety, udało się tylko odczytać „R...et". To mogło być naprawdę wielkie odkrycie, ponieważ 5/106 Oberquell to obóz znajdujący się w Gaworzycach, a obóz 5/107 Mühlraedlitz, czyli obecne Miłoradzice. Wydaje nam się, że mogły one być początkowo w jednym >>>

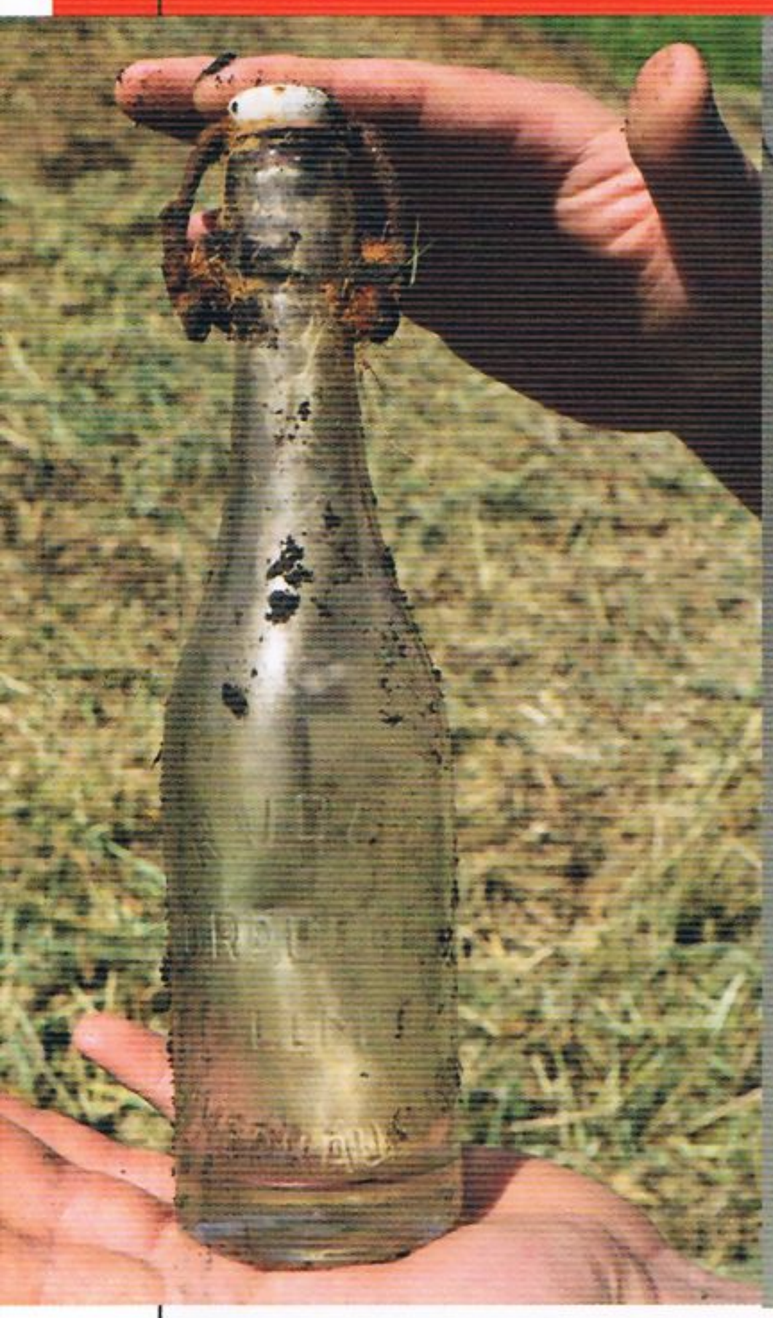

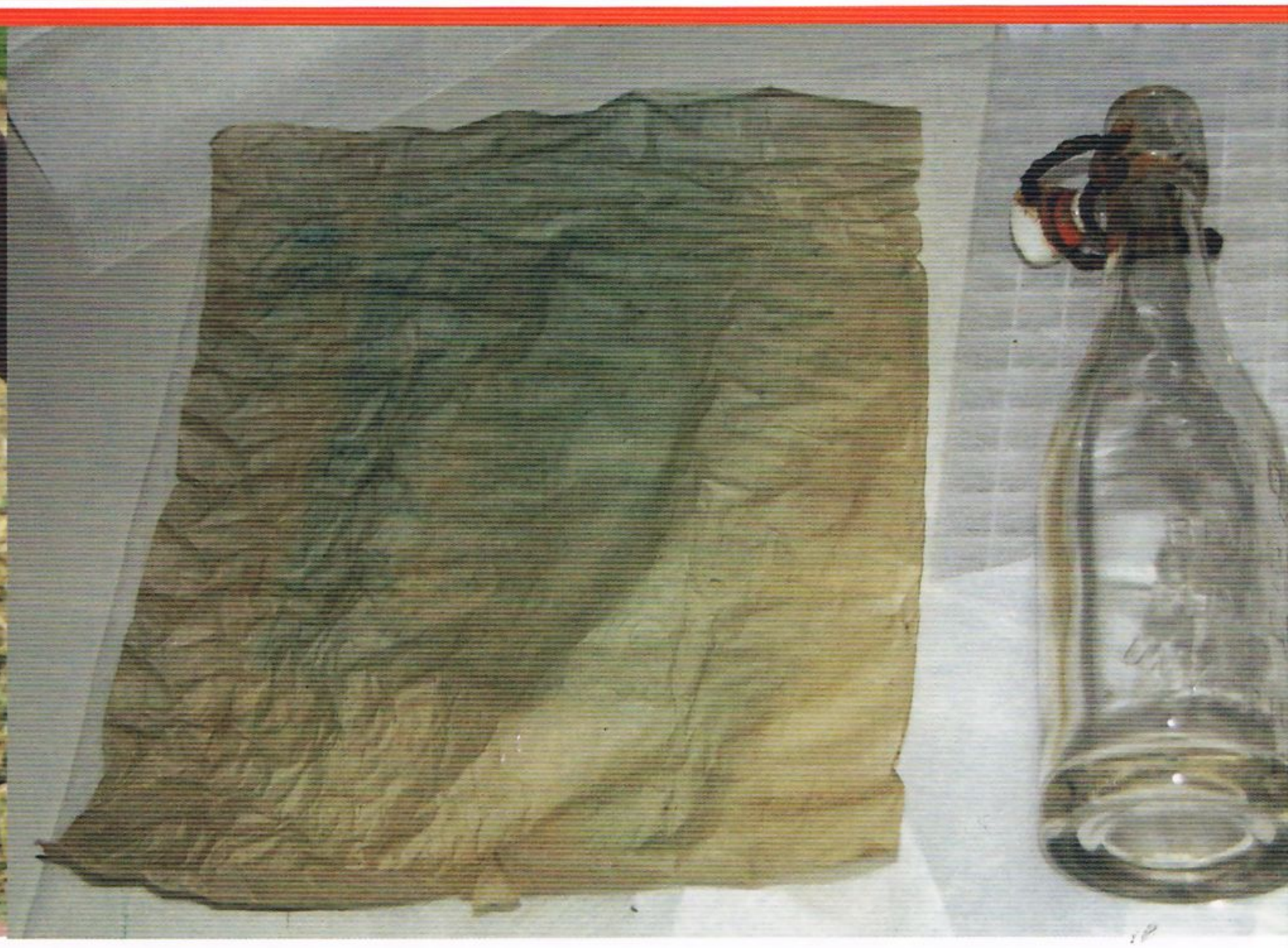

Butelka i znajdujący się w niej list po rozwinięciu.

Muzeum Miedzi w Legnicy, dzień otwarcia butelki.

>>> miejscu i miały wspólną nazwę, której dziś nie jesteśmy w stanie podać.

Na samej górze znajdował się jeden z największych kamieni, mieliśmy co do niego wielkie nadzieje. Straciliśmy sporo energii, aby go odwrócić, licząc, że pojawią się kolejne numery obozów. Niestety, nie było na nim żadnych napisów. Staliśmy wyczerpani z sił. Trzeba było położyć kamień do pozycji, w której się znajdował, i wówczas kolega Grzegorz Górowski powiedział: „Panowie, czekajcie, tam coś jest". Położył się na ziemi i wyciągnął butelkę, w której znajdował się zwinięty list. Zrobiliśmy kilka zdjęć, po czym zabezpieczyliśmy ją, aby nie działały na nią promienie słoneczne. Zrobiliśmy wszystko, by miała podobne warunki, jakie panowały pod kamieniem. Powiadomiliśmy Burmistrza Przemkowa, a ten Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków Delegaturę w Legnicy.

Wielkie otwarcie butelki

Po dwóch tygodniach otrzymaliśmy telefon z delegatury w Legnicy z informacją, że 21 czerwca zapraszają nas na oficjalne otwarcie butelki do Muzeum Miedzi w Legnicy. Wspólnie z komisją z delegatury oraz przedstawicielami Gminy i Miasta Przemków wyruszyliśmy do Muzeum Miedzi.

Otwarcia dokonała osoba zajmująca się konserwacją papieru. Po otworzeniu butelki, pani konserwator delikatnie pęsetą wyciągnęła tajemniczy list. Niestety, czas oraz wilgoć zrobiły swoje, widnieją w nim napisy, ale część jest rozmyta. List został poddany dalszej konserwacji, po czym odbędzie się próba jego odczytania. <

fot. Patrycjusz Makowiec

Marcin Jednoróg

Regionalista, poszukiwacz (detektorysta), założyciel oraz prezes Stowarzyszenia Dolnośląska Grupa Eksploracyjna LEGION. Uczestnik wielu obozów poszukiwawczych. Założyciel prywatnego Muzeum Ziemi Przemkowskiej (w organizacji). Inicjator akcji na rzecz ratowania dziedzictwa kulturowego na terenie Dolnego Śląska.

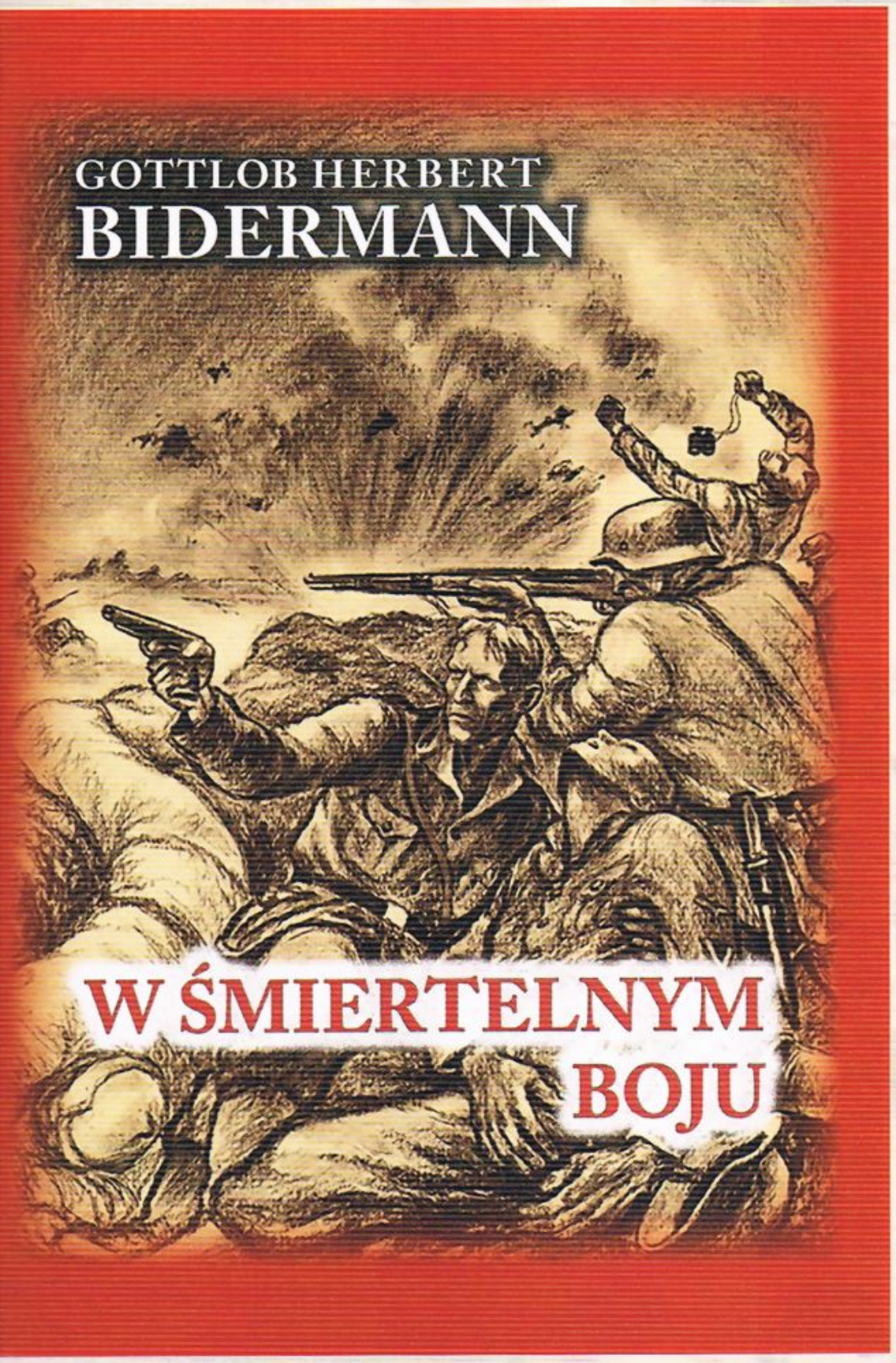

GOTTLOB HERBERT BIDERMANN
W ŚMIERTELNYM BOJU

Książkę Gottloba Herberta Bidermanna w literaturze wspomnieniowej z frontu wschodniego można ustawić w jednym szeregu z takim klasykami jak „Zapomniany żołnierz" Sajera, czy „Przystanek Moskwa" Happego. Autor był wielokrotnie ranny. Front wschodni przyciągał autora jak magnes. Wracał tam zawsze, mimo że nie musiał. Walczył na Krymie, gdzie brał czynny udział w zdobyciu twierdzy Sewastopol, brał też udział w walkach pod Leningradem. W końcu bronił Prus Wschodnich. Wojska broniące Kurlandii nie poddały się nigdy. Dopiero kapitulacja Niemiec spowodowała, że wywieszono białe flagi. Autor po kapitulacji trafia do rosyjskich łagrów na lata. Wycieńczony, będąc na skraju życia i śmierci, powraca do Niemiec.

Wspomnienia zostały napisane po wojnie. Autor przedstawia w nich swój negatywny stosunek do Hitlera i ówczesnych rządzących w Niemczech. Na ile szczere były to wyznania? Tego już się nie dowiemy.

II WOJNA ŚWIATOWA
MILITARIA
ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

Książka już w sprzedaży!

Polecamy także m.in.:

almapress

Alma-Press, ul. Lędzka 44a, 01-446 Warszawa
tel. (22) 877 27 04
e-mail: alma@almapress.com.pl
www.almapress.com.pl

CO NAM MÓWIĄ KULE, CZYLI O POZYTKACH Z ARCHEOLOGII MILITARNEJ

CZĘŚĆ 2

MICHAŁ MACKIEWICZ

Spośród mozaiki uzbrojenia strzeleckiego używanego przez Polaków można wskazać broń, która znalazła się w powstańczym arsenale w dużej ilości. To wzory rosyjskie i austriackie.

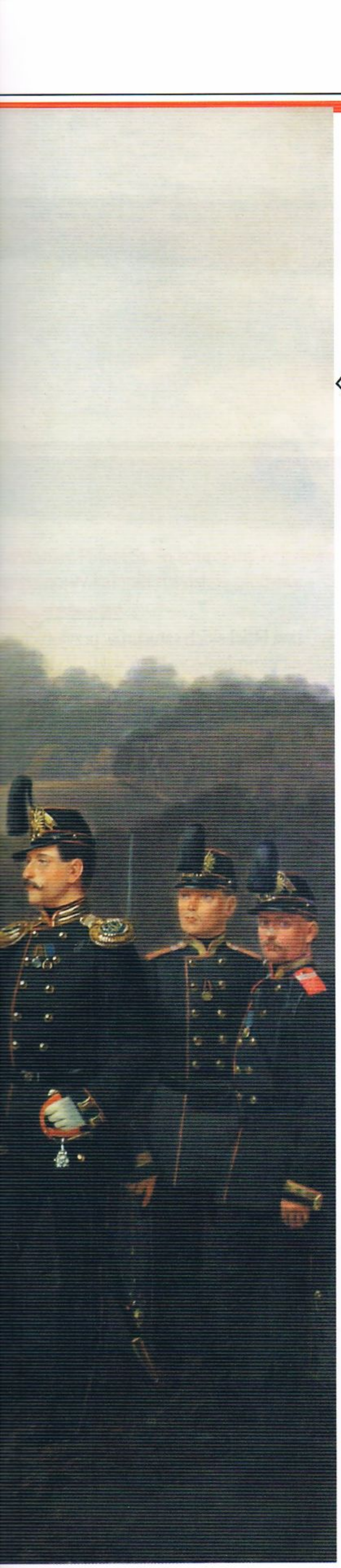

fot. zbiory MWP w Warszawie

Obraz olejny przedstawiający rosyjską piechotę z okresu powstania styczniowego. Żołnierze uzbrojeni są w gwintowane karabiny kapiszonowe wz.1856/58 (zwracają uwagę celowniki nastawne, tzw. heskie).

Zakupy broni leżały w gestii członków Zagranicznych Komisji Broni. W latach 1862–1863 powstało ich kilka. Pierwsza z nich, paryska, działała krótko i została rozbita przez francuską policję. Kolejne zorganizowano w Poznaniu i Krakowie, przy czym ta ostatnia obrała ostatecznie na swą siedzibę Wiedeń. Najsłynniejsza rezydowała w belgijskim Liège, będącym w owym czasie wiodącym ośrodkiem europejskiego przemysłu zbrojeniowego. Już w 1856 roku istniało tutaj blisko 100 prywatnych manufaktur, które trudniły się m.in. wyrobem zagranicznej broni regulaminowej (np. francuskiej, angielskiej, rosyjskiej). To tu spływały z całej Europy olbrzymie ilości karabinów przeznaczonych do przerobienia ze starych systemów na nowe, zreperowania, bądź zwyczajnie na handel. W latach 60. ekspediowano je przede wszystkim do ogarniętej wojną domową Ameryki, gdzie trafiło milion kilkaset tysięcy egzemplarzy rozmaitych karabinów gwintowanych i gładkolufowych. Na tym gigantycznym rynku rozpoczęli działalność także przedstawiciele Rządu Narodowego, a zwłaszcza Aleksander Guttry, inicjator utworzenia liègskiej Komisji Broni. Renoma tego zbrojeniowego centrum, szczycącego się wielowiekową tradycją, przerodziła się u nas w legendę o belgijskich sztucerach, powszechnie jakoby wykorzystywanych przez powstańców. Tymczasem efekty działalności Komisji Broni w Liège były raczej skromne. Z szacunków opartych na dokumentach wynika, że zdołano zakupić mniej niż 16 tys. sztuk broni, przede wszystkim palnej, przy czym zaledwie jedna trzecia dotarła na teren Kongresówki i to dopiero wiosną 1864 r., a więc już u schyłku powstania. Warto dodać, że łączną ilość broni kupionej za granicą ocenia się na 80 tys. Problemem okazał się przerzut przez pruskie terytorium, na którym transporty z bronią dla insurgentów były zajadle tropione. Naczelny prezes Księstwa Poznańskiego Horn donosił: „Przy transporcie i przechowywaniu sprzętu wojennego postępowano z zadziwiającą przebiegłością i dyskrecją tak, że mające miejsce konfiskaty zawdzięczać w większości wypadków należało tylko przypadkowym, szczęśliwym okolicznościom, a rzadko poprzedniemu doniesieniu". Z raportów Guttrego wynika, że zakupiono karabiny francuskie (nowe i zmodyfikowane) oraz angielskie Enfieldy. Jeśli chodzi o te pierwsze, to trudno pokusić się o precyzyjną identyfikację. Możemy tylko założyć, że nowe karabiny były bronią systemu Minié, natomiast zmodyfikowane mogły obejmować zarówno broń gwintowaną przerobioną z gładkolufowej (istniało co najmniej kilka wzorów), jak też karabiny gładkolufowe przerobione ze skałkowych. W obu przypadkach mogła to być broń wyprodukowana lub przerobiona w Belgii. Co do angielskich Enfield'ów, *nota bene* produkowanych przez prywatnych wytwórców m.in. w Belgii i strzelających pociskiem ekspansywnym kal. 14,56 mm, także nie jesteśmy w stanie określić, który z rozlicznych wariantów tej doskonałej broni stał się przedmiotem polskiego zamówienia. Możemy jedynie z dużym prawdopodobieństwem założyć, że angielskie karabiny, których blisko 900 tys. wyekspediowano do Ameryki podczas wojny secesyjnej, trafiły także w ręce naszych powstańców, choć w niewielkiej zapewne ilości.

Określenie pozostałych wzorów używanych przez powstańców jest niezmiernie trudne. >>>

www.odkrywca.pl

Littichski sztucer – podstawowa rosyjska broń gwintowana w oddziałach strzelców w okresie wojny krymskiej i pierwsza zarazem regulaminowa broń z zamkiem kapiszonowym przyjęta na uzbrojenie armii carskiej (1843 rok). W 1848 roku dokonano modernizacji polegającej na zmianie celownika: w miejsce dotychczasowego prostego klapkowego wprowadzono nowy tzw. heski pomysłu inż. Junga z wytwórni broni w Iżewsku, o nastawach od 200 do 1200 kroków (jak na zdjęciu). Zmieniła się także amunicja – zamiast okrągłej kuli z obwódką zastosowano stożkowy pocisk z „uszami" pomysłu Kulikowskiego. Te charakterystyczne pociski odnajdywane są także na terenie Polski, co może świadczyć o tym, że littichskie sztucery wciąż znajdowały się na uzbrojeniu niektórych jednostek w dobie powstania styczniowego.

Poniżej – rosyjski gładkolufowy karabin piechoty wz.1845. Wraz ze wz.1852, także o gładkim przewodzie lufy, była to podstawowa broń carskich żołnierzy w czasie wojny krymskiej. W dobie powstania styczniowego większość złożona była w magazynach, ale część nadal stanowiła uzbrojenie jednostek nieliniowych i fortecznych.

>>> Znajomość nowoczesnego uzbrojenia była wśród Polaków niewielka (brak armii i przemysłu zbrojeniowego – brak wyedukowanych w wojskowym rzemiośle kadr). Z kolei członkowie rezydujących za granicą komisji nie należeli do ekspertów od uzbrojenia. Nawet doświadczeni oficerowie mający za sobą służbę w obcych armiach lub polską szkołę wojskową we włoskim Cuneo, nie opisywali zazwyczaj w swoich relacjach modelu broni, poprzestając jedynie na określeniu: „gwintówki, sztućce, karabiny miniego, belgijki", etc.

A jednak spośród mozaiki uzbrojenia strzeleckiego używanego przez Polaków można wskazać broń, która bez wątpienia znalazła się w powstańczym arsenale i to bynajmniej nie w ilościach śladowych. Chodzi o wzory rosyjskie i austriackie. Zacznijmy od tych pierwszych.

Rosyjska broń strzelecka

W okresie wojny krymskiej (1853–1856) jedyną formacją armii rosyjskiej etatowo uzbrojoną w broń gwintowaną było kilka batalionów strzelców. W piechocie liniowej oraz lekkiej (jegrzy) gwintówkami dysponowali tylko nieliczni tyralierzy – „zastrielszcziki" – tworzący plutony sztucerników („sztuciernyje wzwody" lub „sztuciernyje komandy"). Do połowy lat 50. używali oni przede wszystkim tzw. littichskich sztucerów przyjętych na uzbrojenie w 1843 roku. Była to zresztą pierwsza regulaminowa rosyjska broń z zamkiem kapiszonowym. Produkowany w Liège (niem. Lüttich) sztucer stanowił kopię tzw. karabinu brunszwickiego przyjętego na uzbrojenie angielskich strzelców w latach 30. i charakteryzującego się oryginalnym dwubruzdowym gwintem oraz strzelającego specjalną kulą z półokrągłą obwódką odpowiadającą bruzdom w lufie. Broń miała kaliber 7 linii (17,78 mm). Pozostali żołnierze uzbrojeni byli w gładkolufowe 7-liniowe karabiny wz.1844, przerobione ze skałkowych wz.1839 oraz nowo produkowane kal. 7,1 linii (18,3 mm) wz.1845 i 1852 (Piechotnoje Ružje Obrazca 1845 i 1852 goda). Już podczas kampanii na Krymie Rosjanie zdecydowali się wprowadzić nową kapiszonową broń gwintowaną dostosowaną do belgijskiego pocisku ekspansywnego systemu Petersa-Timmerhansa. Karabiny wz.1854 miały zastąpić dotychczas używane sztucery i karabiny gwintowane, które wobec wynalazku kapitana Minié uznano, słusznie zresztą, za przestarzałe. Wyprodukowano ich jednak stosunkowo niewiele, a kiepskie uzbrojenie strzeleckie okazało się jednym z czynników decydujących o klęsce Rosjan na Krymie. Anglicy wyposażeni byli bowiem w większości w broń gwintowaną, czyli karabiny

Rosyjski 6-liniowy pocisk Minié.

fot. zbiory MWP w Warszawie

Powstaniec Paweł Suzin uzbrojony najprawdopodobniej w regulaminowy kapiszonowy karabin rosyjskiej piechoty.

systemu Minié wz.1851 (Pattern 1851 Minié Rifle) kal. 0,702 cala (17,8 mm) oraz, wspominany już wyżej, wz.1853 kal. 0,577 cala (14,56 mm) opracowany w rządowej wytwórni w Enfield (Pattern 1853 Enfield Rifle), Francuzi natomiast, którzy w broń gwintowaną uzbroili jedynie pieszych strzelców, Żuawów i Gwardię, używali do broni gładkolufowej – stanowiącej zasadnicze uzbrojenie liniowej piechoty – amunicji ekspansywnej systemu Nesslera (walcowany, półokrągło zakończony pocisk z wydatnym wgłębieniem i wystającym z dołu stożkiem, dzięki czemu uderzenie gazów prochowych kierowane było na boki, które, rozszerzając się, dociskały ścianki pocisku do przewodu lufy) o dwukrotnie większym zasięgu w porównaniu ze zwykłą kulą. Rosjanie skopiowali ją do swoich karabinów i produkowali na masową skalę.

Doświadczenia konfliktu krymskiego zaowocowały w 1856 roku opracowaniem nowego gwintowanego 6-liniowego (15,24 mm) karabinu wz.1856 (broń tę oznaczono jako „wintowka", a nie „ruźje" – jak dotychczas), którego celownik wyskalowano do 1200 kroków. Pierwotnie nowa broń miała być przeznaczona jedynie dla strzelców, albowiem znaczna część wojskowych nie widziała potrzeby wprowadzenia jej w piechocie liniowej. Uważano, że prymitywny, niepiśmienny żołnierz nie będzie miał z niej pożytku, zwłaszcza że podczas walki i tak nie prowadzi celowanego ognia. Zwyciężyli jednak zwolennicy unifikacji uzbrojenia w całej piechocie, twierdząc, że odtąd przyczyną nieefektywnego ognia liniowej piechoty może być tylko słabe wyszkolenie, ale już nie zła jakość broni. W 1858 roku nowy karabin wprowadzono dla piechoty liniowej. Jedyna różnica pomiędzy nim a karabinem strzelców dotyczyła nastawy celownika, tutaj ograniczono ją do maksymalnie 600 kroków.

Okres względnego spokoju, jaki miał miejsce pomiędzy wojną krymską a wybuchem powstania w Polsce, sprzyjał sprawnemu rozdysponowaniu po liniowych pułkach nowej broni. Pośrednim potwierdzeniem tej tezy są dokumenty Rządu Narodowego – notatka sporządzona w 1863 roku przez Wydział Spraw Zagranicznych, dotycząca zasobów >>>

Rewolwer Lefaucheux, a obok nabój scalony, tzw. sztyftowy, do broni tego systemu; widoczny pręcik (sztyft) spełniał rolę iglicy. Rewolwery tego systemu widoczne są na zdjęciach powstańców, zaś na pobojowiskach odnajdywane są łuski od tej broni.

fot. zbiory MWP w Warszawie

>>> uzbrojenia zgromadzonych w carskich twierdzach na terenie Królestwa Kongresowego. Otóż w Modlinie przechowywano m.in. 74444 sztuki długiej broni palnej piechotnej: 70744 karabiny zwyczajne (w tym 6587 wymagających naprawy), 2878 karabinów skałkowych (1453 do naprawy), 448 gwintówek 7-liniowych (355 do naprawy) i 174 sztucery littichskie (87 niesprawnych). Owe „karabiny zwyczajne" mogłyby stanowić pewną zagadkę (zwyczajne – znaczy przepisowe?) gdyby nie lektura dalszej części dokumentu, w której wyszczególniono zgromadzone ładunki. I tak: najwięcej przeznaczonych było do 6-liniowych gwintówek (a więc karabinów wz.1856/58) – aż 4,9 mln sztuk, do karabinów zwyczajnych było 2,4 mln ładunków (prawdopodobnie z pociskami systemu „Nesslera"), do 7-liniowych gwintówek 764 tys., a ładunków z rozmaitymi kulami starych systemów 350 tys. Tak więc karabiny zwyczajne to bez wątpienia broń gładkolufowa wz.1852 i 1845, pamiętająca czasy wojny krymskiej. W pozostałych arsenałach (Brześć, Zamość, Cytadela Warszawska, Dęblin), także zwraca uwagę brak karabinów 6-liniowych lub niewielka ich liczba w porównaniu z innymi typami (jedynie w Cytadeli zgromadzono 960 sztuk), za to znaczne ilości przechowywanych ładunków. Wszystko wskazuje więc na to, że proces przezbrojenia armii rosyjskiej był już dalece zaawansowany (starsza broń zdana do magazynów) i powstańcy stawić musieli czoła przeciwnikowi uzbrojonemu w nowoczesne gwintowane karabiny kapiszonowe strzelające amunicją systemu Minié.

Zdobyczna rosyjska broń z pewnością stanowiła istotny składnik powstańczego uzbrojenia, zwłaszcza w początkowym okresie, zanim na teren objęty walkami spływać zaczął sprzęt kupiony za granicą. Zupełnym nieporozumieniem jest twierdzenie, jakoby unikano jej ze względu na obawę natychmiastowego wyroku śmierci w przypadku złapania przez carskich sołdatów. Głód broni był tak duży, że nie gardzono żadną sztuką, poza tym Rosjanie i tak nie dawali powstańcom pardonu…

Wiele akcji, zwłaszcza na początku powstania, podejmowano właśnie w celu dozbrojenia się kosztem carskich żołnierzy. Każdą sztukę, porzuconą bądź po poległym wrogu, skrupulatnie zbierano na pobojowiskach. Bywało, że robiono to w ogniu walki, a nawet w trakcie szybkiego odwrotu. Nie cała rosyjska broń pochodziła ze zdobyczy, jakaś część została też wykradziona z carskich arsenałów. Np. Józef Oxiński, powstańczy dowódca z kaliskiego, wspominał o dozbrojeniu swojego oddziału siedemdziesięcioma karabinami z „cekhauzów moskiewskich dostarczonymi". Inna

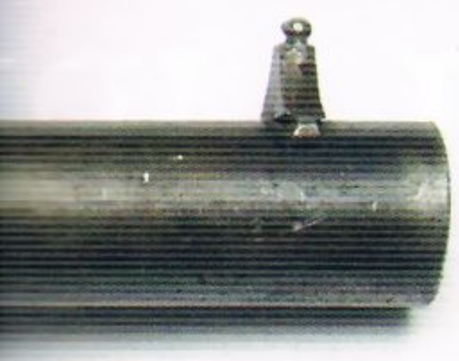

sprawa, że broń rosyjska nie była ceniona z uwagi na znaczny ciężar karabinu, jak też i amunicji (duży kaliber), co sprawiało, że żołnierz mógł zabrać ze sobą relatywnie niewielką ilość ładunków.

Z dokumentów Wydziału Wojny Rządu Narodowego dowiadujemy się o nagrodach wypłacanych powstańcom za zdobytą w walce rosyjską broń. Oczywiście najlepiej wyceniano „sztucery z bagnetem w dobrym stanie", a więc karabiny wz.1856/58 – na 20 złotych polskich (złp); 15 płacono za egzemplarze wymagające niewielkiej naprawy; „karabiny z bagnetem w dobrym stanie", czyli gładkolufowe wz.1852 i 1845, ceniono już znacznie gorzej – na jedynie 12 złp (10 za egzemplarz wymagający naprawy). Karabinki kawaleryjskie kapiszonowe szacowano na 12, zaś za skałkowe płacono ledwie 3 złp. Niewiele więcej zyskać można było za kapiszonowy pistolet – 5 złp. Za to w cenie gwintówek były bardzo pożądane przez powstańców rewolwery, przy czym za egzemplarze wymagające naprawy płacono jedynie 6 złp; wynikało to zapewne z ich skomplikowanej budowy, wymagającej wprawnego rusznikarza. Rewolwery w armii carskiej pojawiać się zaczęły w latach 50.

W dobie wojny krymskiej zakupiono w USA kilka tysięcy rewolwerów Colt Navy wz.1851 (dotarła tylko część), po jej zakończeniu uruchomiono w tulskiej wytwórni produkcję tego modelu (dzięki maszynom zakupionym po rozwiązanej londyńskiej fabryce Colta). Mimo że rosyjscy oficerowie bardzo niechętnie nosili ze sobą niepraktyczne i ciężkie pistolety, co znalazło wyraz w ponawianych nakazach, oficjalnie nie wprowadzono wówczas rewolwerów do uzbrojenia. Natomiast Komisja Artyleryjska, która testowała szereg modeli, rekomendowała oficerom właśnie Colty, mieli je kupować za własne pieniądze. Natomiast w latach 60. zakupiono dla korpusu żandarmerii kilka tysięcy odtylcowych rewolwerów systemu Lefaucheaux.

Poza wymienionymi wzorami, w ręce powstańców trafiały także m.in. 6-liniowe gwintowane karabiny kozackie wz.1860. Z uwagi na charakterystyczny azjatycki kształt (kulkowy spust, brak kabłąka, kurek z pierścieniem, wąska kolba) nazywane były przez Polaków „kozackimi janczarkami".

Najlepszą renomę zdobyła sobie jednak broń austriacka, o niej w przyszłym odcinku. <

Michał Mackiewicz
Pracownik Działu Historii Wojskowości MWP w Warszawie, archeolog. Zajmuje się historią broni strzeleckiej i archeologią militarną. Autor szeregu artykułów i książek z zakresu dziejów wojskowości i bronioznawstwa.

Powstaniec uzbrojony w wojskowy karabin kapiszonowy przerobiony ze skałkowego. Na pasie widoczna ładownica na ładunki karabinowe i dwa kapiszonowe pistolety tkwiące w futerale.

Rosyjskie regulaminowe karabiny wzoru dragońskiego, widok z prawej strony: u góry gładkolufowy wz.1847 kal. 7,1 linii wyprodukowany w Tule w 1854 roku, ze strzemiączkiem do pasa nośnego przy kabłąku spustu (wersja saperska); u dołu gwintowany wz.1854 kal. 7,1 linii (przerobiony z wz.1847) wyprodukowany w tej samej wytwórni, na blasze zamka data 1852. Dodatkowe strzemiączko u spodu kolby wskazuje, że ta broń przeznaczona była dla oddziałów konnych. Broń tego wzoru nadal mogła znajdować się na uzbrojeniu żołnierzy rosyjskich, zwłaszcza w jednostkach drugorzutowych i fortecznych.

ŚWIĘTY JERZY Z LUBI ODKRYTY W 1968 ROKU

Jeden z najświetniejszych cyklów ściennego malarstwa śląskiego drugiej połowy XIV wieku znajduje się w późnoromańskim kościele pod wezwaniem św. św. Piotra i Pawła w niewielkiej Lubiechowej na Dolnym Śląsku, gdzie na północnej ścianie prezbiterium od 700 lat swą walkę ze smokiem toczy święty Jerzy.

Za swego patrona uznają go takie kraje jak Anglia, Holandia, Niemcy, Szwecja czy Litwa. Pod jego wezwaniem powstało wiele bractw rycerskich i zgromadzeń zakonnych, pod opiekę oddali się, między innymi, rycerze, żołnierze, rusznikarze, puszkarze i kawalerzyści. Święty Jerzy, bo o nim mowa, obok św. Marcina z Tours, jeden z głównych patronów rycerstwa średniowiecznego, istnieje w naszej świadomości właśnie jako rycerz walczący ze smokiem i pokonujący go. Na Wschodzie, gdzie pod względem popularności zajmował on pierwsze miejsce tuż po Marii Pannie i św. Michale, jego kult rozwijał się już od IV wieku. Sam smok jest nieco późniejszym dodatkiem. Wersja legendy, w której smok, jak również księżniczka, zajmują poczesne miejsca, została spopularyzowana w wieku XIII przez Jakuba de Voragine, autora Złotej Legendy [Legenda aurea]. W średniowiecznym malarstwie europejskim, jak również w naszej rodzimej sztuce tego okresu, odnajdujemy wspaniałe tego przykłady. Zdarza >>>

fot. Jolanta Szczepańska

ECHOWEJ

KATARZYNA OGRODNIK-FUJCIK

>>> się, że niektóre z nich bywają przedmiotem najnowszych odkryć, takich jak to dokonane w Walii, w roku 2008, w wiejskim kościele pod wezwaniem. św. Cadoca w Llancarfan, gdzie ścienny wizerunek świętego pozostawał w ukryciu pod warstwami tynku przez 450 lat. Po przeprowadzeniu kompleksowej konserwacji, od roku 2013 można podziwiać go w całej okazałości jak z otwartą przyłbicą i uniesioną lancą mierzy w otwartą paszczę potwora tratowanego kopytami jego rumaka. Jest to największe przedstawienie świętego Jerzego na Wyspach Brytyjskich, pod względem zaś kunsztu artystycznego niewątpliwie jedno z najwspanialszych. Zwracając się jednak ku naszym rodzimym przykładom, na Śląsku na szczególną uwagę zasługuje zachowana fragmentarycznie kompozycja w kościele bożogrobców w Ząbkowicach Śląskich wskazująca na wysokiej klasy przedstawienie typu dworskiego. Świadczą o tym piękno stroju modnie przyodzianego Jerzego dosiadającego siwego konia, rozbudowany wątek księżniczki i zamku (ukazanego szczegółowo ze wszystkimi elementami architektonicznymi) oraz postaci przed jego murami i w oknach, przyglądające się walce świętego jak turniejowi rycerskiemu.

Równie wspaniały, chociaż różniący się znacznie od ząbkowickiego, jest św. Jerzy z Lubiechowej, odkryty w roku 1968 na północnej ścianie prezbiterium tamtejszego kościoła filialnego pod wezwaniem. św.św. Piotra i Pawła.

Walka św. Jerzego ze smokiem. Północna ściana prezbiterium kościoła pw. św.św. Piotra i Pawła w Lubiechowej.

Niepozorna Lubiechowa

Lubiechowa (niem. Hohenliebenthal) to niewielka wieś położona na pograniczu Gór i Pogórza Kaczawskiego, w dolinie potoków Lubawka i Młynka, w gminie Świerzawa. Pierwsze wzmianki pisemne o osadzie pochodzą z roku 1305, ale jej początki sięgają znacznie dawniej, o czym świadczyć może miejscowy późnoromański kościół. Jego nawa datowana jest na 2. ćwierć XIII w., pewne zaś cechy architektoniczne mogą świadczyć o pierwotnych funkcjach obronnych obiektu. Powstanie gotycko-romańskiego prezbiterium datuje się na koniec XIII/początek XIV wieku. To właśnie ów kościół, pod wezwaniem św.św. Piotra i Pawła kryje w sobie jeden z najświetniejszych cyklów XIV-wiecznego malarstwa ściennego na Śląsku. Na ślady polichromii natrafiono w nim po raz pierwszy w roku 1968. Rok później ruszyły prace konserwatorskie pod kierunkiem prof. dr Marii Roznerskiej z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, które to objęły swym zasięgiem prezbiterium. Trwały dziesięć lat, do roku 1979. Pięć lat później przyszła kolej na odsłonięcie malowideł w nawie. Wówczas w pierwszej kolejności zadbano o zajmujący prawie 4/5 jej wysokości wizerunek św. Krzysztofa z Dzieciątkiem, który dokładnie oczyszczono. Najprawdopodobniej malowidła w nawie przetrwały w stanie nieskażonym, podczas gdy te zdobiące ściany prezbiterium przemalowano w XV wieku.

Niemal cała dekoracja prezbiterium powstała w 2. ćwierci XV w. Jedynie dwie sceny na ścianie północnej, w przęśle zachodnim, powstały w wieku XIV. Przedstawiają one Pokłon Trzech Króli i Walkę św. Jerzego ze smokiem – tematy cieszące się niebywałą popularnością w późnogotyckiej sztuce śląskiej. Przedstawienia owe odznaczają się błękitnymi tłami i lepiej przygotowanym podłożem od późniejszych partii malowideł oraz większym kunsztem wykonania. Święty Jerzy został na nich ukazany jako zgrabny rycerzyk na koniu mierzący kopią w otwartą paszczę smoka. Jego walka w zestawieniu ze sceną pokłonu Trzech Króli (w której zostało ukazane wywyższenie Marii) symbolizuje triumf dobra nad złem – sam Jerzy może reprezentować Chrystusa, smok zaś Szatana, czyli zło. Cała scena ma przypominać o roli Chrystusa i Marii w misji ocalenia ludzkości. Na dalszym planie dostrzec można klęczącą księżniczkę oraz zarysy tego, co musiało być niegdyś zamkiem. Według legendy walce powinny przyglądać się, jak to zostało wyraźnie ukazane w Ząbkowicach na przykład, i inne postaci, król i królowa, rodzice nieszczęsnej dziewczyny, niestety, w Lubiechowej

fot. Jolanta Szczepańska

zachowała się, oprócz świętego Jerzego i smoka, jedynie niewyraźna postać kobieca na klęczkach.

Sklepienie prezbiterium to głównie sceny przedstawiające Sąd Ostateczny. Chrystus w mandorli z klęczącymi u jego stóp Marią i Janem Chrzcicielem, symbole Ewangelistów i anioły z trąbami oraz narzędziami męki pańskiej (krzyżem i włócznią). Na ścianie wschodniej ukazano „Zmartwychwstanie ciał", św. Piotra przyjmującego zbawionych do raju i „Paszczę Lewiatana". Na ścianie południowej, gdzie malowidła uległy znacznemu zniszczeniu, dostrzec można pojedyncze sylwetki świętych i proroków, na przykład Aarona z różdżką migdałową czy dwukrotnie św. Jana Ewangelistę z kielichem i księgą, oraz wyobrażenie piekła z diabłami i duszami potępionych skazanych na mękę w ogniu wieczystym. Na ścianie zachodniej zachowały się jedynie nieliczne gwiazdy i wizerunek św. Katarzyny. W XV wieku poniżej „Walki św. Jerzego ze smokiem" dodano sylwetki apostołów, św. Mikołaja i św. Jadwigi. Na tej samej ścianie, w przęśle wschodnim ukazano „Stworzenie Świata", „Stworzenie Adama i Stworzenie Ewy", „Rozmowy Boga Ojca z Pierwszymi Rodzicami", „Grzech Pierworodny", „Wygnanie z Raju" oraz „Ziemskie Życie Adama i Ewy". Z postaci biblijnych mamy przedstawienie króla Dawida grającego na harfie, a poniżej malowidła o charakterze moralizatorskim.

Najprawdopodobniej ściany tęczową i południową zdobiły także wyobrażenia Grzechów Głównych, z których zachowała się jedynie alegoria Luxurii – malownicza i pełna życia scena.

Obok przedstawienia św. Jerzego w prezbiterium uwagę przyciąga ogromnych rozmiarów wspomniany już wizerunek św. Krzysztofa w nawie. Najprawdopodobniej powstały one w tym samym czasie, czyli w odróżnieniu od pozostałych części dekoracji, w wieku XIV. Do ich wykonania użyto identycznych barwników. Wyidealizowany młodzieńczy Krzysztof trzymający na rękach Dzieciątko jest bardzo podobny do tegoż świętego przedstawionego na południowej ścianie Wielkiej Sali wieży mieszkalnej >>>

Kościół filialny pod wezwaniem św.św. Piotra i Pawła w Lubiechowej.

>>> w Siedlęcinie. Zdaniem wybitnego wrocławskiego historyka sztuki i znawcy kultury dworskiej dr. Jacka Witkowskiego, oba wizerunki mogły stanowić dzieło tego samego artysty, którego wpływy odnajdujemy w całej okolicy.

Mistrz z Siedlęcina

Na Śląsk przybył najprawdopodobniej z terenów dzisiejszego pogranicza niemiecko-szwajcarskiego, być może w orszaku Agnieszki Habsburżanki, żony Bolka II Świdnickiego. Na to przynajmniej miałyby wskazywać bliskie pod względem prowadzenia narracji i stylu wykonania analogie między malowidłami jego autorstwa w siedlęcińskiej wieży a malowidłami zachowanymi w katedrze oraz w jednym z domów patrycjatu w Zurychu. Nie znamy i najprawdopodobniej nigdy nie poznamy jego imienia. Jednak pozostawił po sobie dzieło, które stanowi obecnie jedyne na świecie, zachowane *in situ*, ścienne przedstawienie legendy o najsłynniejszym rycerzu Okrągłego Stołu, sir Lancelocie z Jeziora i jednocześnie najstarszy w obecnych granicach Polski przykład malarstwa ściennego o tematyce świeckiej. Na południowej ścianie Wielkiej Sali wieży ukazane zostały dwa

Kościół pw. św.św. Jana i Katarzyny w Świerzawie.

z najważniejszych epizodów z życia sir Lancelota z Jeziora. Dolny pas przedstawia wydarzenia, które dały początek dniom jego chwały i doprowadziły do tego, że został największym rycerzem Okrągłego Stołu. Górny zaś prezentuje wydarzenia, które przyczyniły się do jego moralnego upadku. Lancelot, jak wiemy, zapałał wielkim, lecz grzesznym uczuciem do żony króla Artura, swego suwerena. To właśnie przedstawienie wybranki jego serca, królowej Ginewry, w otoczeniu dam dworu przed murami Camelotu otwiera cykl przygód zaprezentowanych w górnym pasie. Przygód, które w ostateczności doprowadziły do zmierzchu i upadku królestwa Artura.

Sceny przedstawiające historię Lancelota w połączeniu z przedstawieniem św. Krzysztofa (jednego z trzech – obok św. Jerzego i św. Marcina z Tours – patrona średniowiecznego rycerstwa) oraz sceną określaną jako „Memento mori" mają wydźwięk symboliczny i moralizatorski. Św. Krzysztof ma przypominać o wierności Chrystusowi, tym samym wierności ideałom wyznawanym przez każdego rycerza chrześcijanina. Lancelot z kolei jest przykładem tego, który zawiódł i zdradził, i z powodu grzesznej miłości do żony swego suwerena wierności owej nie dochował.

Sceny z legendy św. Katarzyny Aleksandryjskiej. Kościół pw. św. św. Jana i Katarzyny w Świerzawie.

fot. sekulada.com

Wieża Książęca w Siedlęcinie koło Jeleniej Góry.

W czasie, o którym mówimy, czyli w latach 20. i 30. XIV stulecia, północno-wschodnia Szwajcaria była ważnym ośrodkiem kultury, sztuki i poezji dworskiej z centrami w Zurychu i Konstancji. W tych też stronach znajdowały się główne szwajcarskie rezydencje Habsburgów – zamek Habsburg i zamek w Lenzburgu, w którym to księżna Agnieszka miała spędzić część swego dzieciństwa. Jednak jeśli przyjmiemy, że to z nią właśnie na Śląsk przybył twórca siedlęcińskich malowideł, musielibyśmy wtedy uznać jednocześnie, że polichromie te powstały dopiero po 1338 roku. Jednak, jako że kierunek artystyczny, jaki cykl siedlęciński reprezentuje, odnieść należy do stylu linearnego malarstwa gotyckiego występującego w Anglii i Francji od drugiej połowy XIII wieku i od tego czasu rozpowszechniającego się i w innych częściach Europy, wydaje się, że związki ze Szwajcarią mogły zaistnieć już wcześniej, kiedy to na jej terenie rozkwitał linearno-idealistyczny styl malowideł, na przykład w Zurychu. Tam powstał Kodeks Manesse, w którym sportretowano, między innymi, króla Czech i Polski Wacława II i Henryka I hrabiego Anhaltu (czyli kolejno teścia i pradziada księcia Henryka I Jaworskiego, fundatora siedlęcińskiej wieży) oraz wrocławskiego księcia – Henryka IV Probusa.

Wybitny historyk sztuki i znawca kultury dworskiej dr Jacek Witkowski z Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego łączy autora polichromii w Siedlęcinie, gdzie oprócz scen przedstawiających wątki zaczerpnięte z jakże popularnych w owym czasie legend arturiańskich można podziwiać i przedstawienie św. Krzysztofa, z wizerunkami tegoż świętego zachowanymi w Lubiechowej i Świerzawie. Wysuwa hipotezę, że mogły one być dziełem tego samego artysty lub jego ucznia, zwłaszcza że wspomniane majątki należały do rycerzy i dworzan księcia Henryka I Jaworskiego, fundatora siedlęcińskiej wieży i najprawdopodobniej także zleceniodawcy wykonania zachowanych w niej malowideł. Właścicielem dóbr Lubiechowej był Magnus de Borowitz, który w 1317 roku kupił wieś od księcia. On też (lub jego syn Henryk) mógł „wypożyczyć" od Henryka naszego artystę, aby wykonał analogiczny do siedlęcińskiego wizerunek św. Krzysztofa. Właścicielami Świerzawy z kolei byli Zedlitzowie, którzy odgrywali ważną rolę na dworach książąt świdnickich i jaworskich: pierwszy z rodu pan na Świerzawie Titze, który nabył ją prawdopodobnie od księcia i kolejno Kretznig oraz Mikołaj (proboszcz). Zachowany w tamtejszym kościele wizerunek św. Krzysztofa również mógł stanowić dzieło mistrza >>>

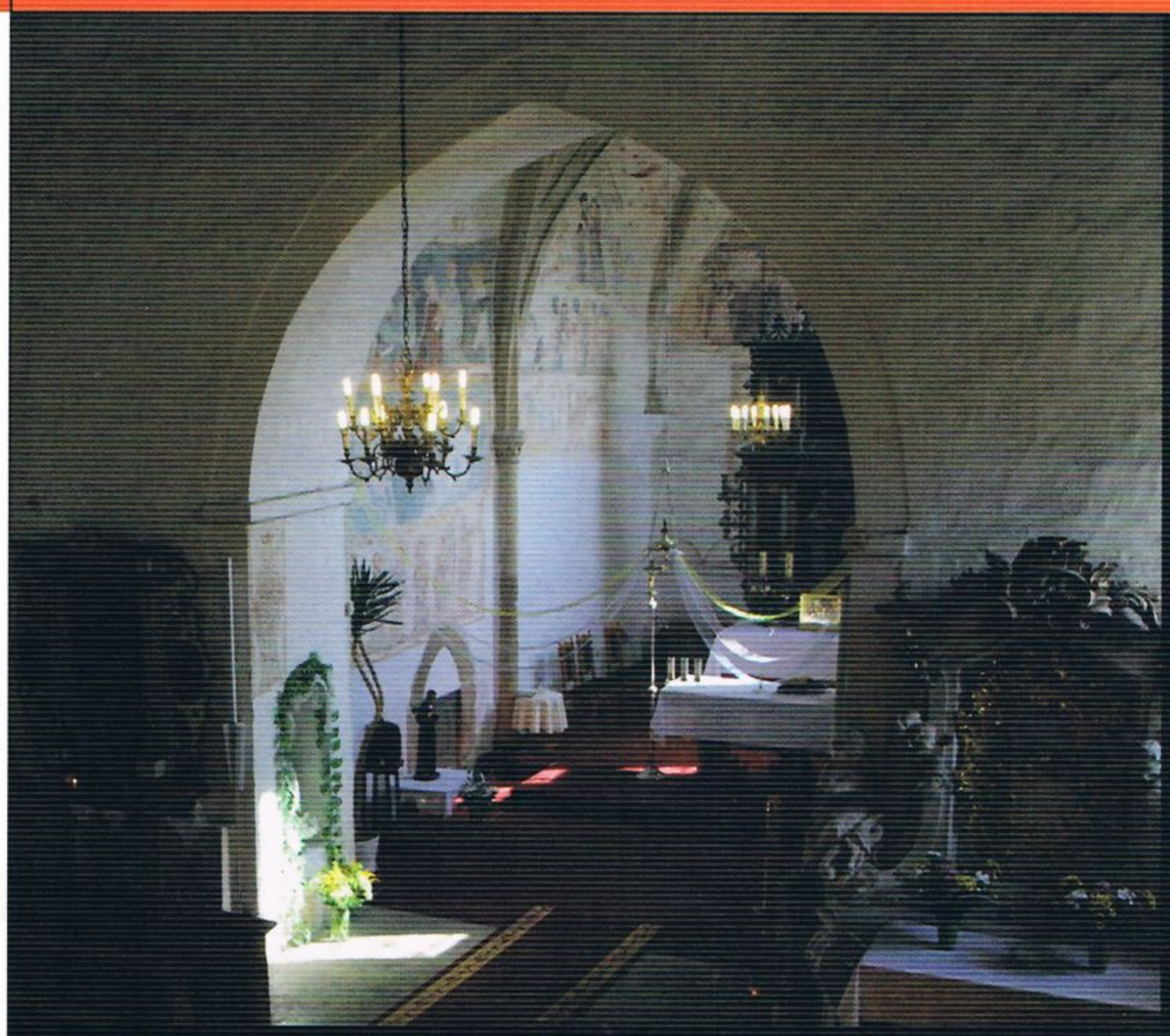

Wnętrze kościoła w Lubiechowej, w głębi prezbiterium i widoczne malowidła.

Święty Krzysztof z Dzieciątkiem. Nawa kościoła pw. św.św. Piotra i Pawła w Lubiechowej.

>>> z Siedlęcina. Na wysunięcie tej ostrożnej hipotezy pozwala dobra jakość malowideł oraz posłużenie się tym samym co w Siedlęcinie wzorem. Zarówno Krzysztof z Siedlęcina, jak ten z Lubiechowej i Świerzawy to wyidealizowane, liryczne i młodzieńcze przedstawienia unikatowe w ikonografii tego świętego.

Kaczawski Szlak Średniowiecznych Malowideł Ściennych

Malowidła zdobiące ściany kościoła pod wezwaniem św. św. Piotra i Pawła w Lubiechowej nie są odosobnionym przykładem gotyckiego malarstwa ściennego na terenie Gór i Pogórza Kaczawskiego. Wręcz przeciwnie. Można by rzec, że region ów obfituje w prawdziwe perły skrywające się w zabytkach architektury romańskiej i gotyckiej. Polichromie pochodzące z tego okresu można zobaczyć przede wszystkim we wspomnianej już wieży mieszkalnej w Siedlęcinie koło Jeleniej Góry i w kościele pod wezwaniem św.św. Jana Chrzciciela i Katarzyny Aleksandryjskiej w Świerzawie, jak również w kilku innych kościołach. Tak liczne ich występowanie owocuje – niejako naturalnie – zawiązywaniem się różnych inicjatyw i działań mających na celu ich ochronę i promocję. W ostatnim czasie, na przykład, projektowany jest Kaczawski Szlak Średniowiecznych Malowideł Ściennych, który, oprócz Lubiechowej, Siedlęcina i Świerzawy, miałby objąć obiekty zabytkowe w Jaworze, Wleniu, Kondratowie, Bolkowie, Małej Kamienicy, Pogwizdowie, i Jeleniej Górze. W Jaworze byłby to klasztor bernardynów z XV wieku, w którym to kościele można obejrzeć malowidło na ścianie tęczowej – św. Bernard głoszący kazanie, cykl scen Męki Pańskiej, malowidła sklepienne w prezbiterium i częściowo w nawie. Sceny przedstawione na malowidłach rozgrywają się w autentycznym pejzażu Jawora; we Wleniu i w Bolkowie byłyby to kościoły pod wezwaniem św. Jadwigi Śląskiej; w Małej Kamienicy kościół pod wezwaniem św. Barbary; w Pogwizdowie późnoromański kościół cmentarny pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego, w którym zachowały się unikatowe malowidła z XIII i XIV w. (Koronacja Marii, trzy przedstawienia Chrystusa w mandorli, Narzędzia Męki), w Kondratowie kościół pod wezwaniem św. Jerzego z odkrytymi w roku 1990 malowidłami ze scenami pasyjnymi datowane na wiek XIV. Jeśli chodzi o najbliższe działania – na rok 2017 planowane jest przygotowanie pierwszego krótkiego folderu z opisami i mapką Szlaku. <

Katarzyna Ogrodnik-Fujcik

Anglistka, tłumaczka, z zamiłowania mediewistka, entuzjastka sztuki i literatury średniowiecza, pierwszych Plantagenetów oraz Henryków Śląskich, autorka polsko- i anglojęzycznych blogów o tematyce historycznej.

LITERATURA

DOMASŁOWSKI JERZY, **Gotyckie malarstwo ścienne w Polsce**, Poznań 1984.
KARŁOWSKA-KAMZOWA ALICJA, **Malarstwo Śląskie 1250-1450**, Wrocław 1979.
KOSAKOWSKI EDWARD, **Od romanizmu po renesans. Katalog unikatowych malowideł ściennych oraz elementów kamiennych i drewnianych w romańskim kościele p.w.św. Jana i św. Katarzyny w Świerzawie"**, Świerzawa 2007.
PYKE CHRIS, **Lost treasures of a village church**, Wales Online 2014.
SECOMSKA KRYSTYNA, **Freski w opolskiej Kaplicy Piastowskiej i malowidła w kościele w Lubiechowej** (w:) Rocznik Historii Sztuki t. XXI, Warszawa 1995.
WITKOWSKI JACEK, **Szlachetna a wielce żałosna opowieść o Panu Lancelocie z Jeziora**, Wrocław 2002.

fot. Jolanta Szczepańska

Ocalone pamiątki, zachowana pamięć

Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu ogłasza wielką zbiórkę pamiątek związanych z pobytem żołnierzy w niemieckich i radzieckich obozach jenieckich oraz w obozach internowania w państwach neutralnych podczas II wojny światowej. Ponieważ los jeńca był udziałem obywateli różnych krajów i osób wielu narodowości, dlatego naszej akcji nie ograniczamy do żołnierzy polskich.

Zbiórka odbędzie się pod hasłem *Ocalone pamiątki, zachowana pamięć*, a jej celem jest uchronienie od zapomnienia jenieckich rzeczy i ich dziejów, a wraz z nimi historii ludzi, z którymi były związane.

Muzeum czeka na wszelkiego rodzaju artefakty – przedmioty używane bądź wytworzone w niewoli, dokumenty, korespondencję, rysunki, fotografie, ubrania itp. – niezależnie od stanu ich zachowania.

Wszystkie dary wzbogacą zbiory Muzeum. Zostaną zabezpieczone i zinwentaryzowane. Dzięki temu staną się źródłem wiedzy i nośnikiem pamięci o jeńcach wojennych i internowanych, a tym samym o coraz bardziej odległej historii.

Osoby zainteresowane przekazaniem pamiątek do Muzeum, proszone są o kontakt osobisty, telefoniczny, listowny lub mailowy. Każda propozycja zostanie rozważona w możliwie krótkim czasie. Po zdigitalizowaniu obiektów darczyńcy otrzymają albumy z wizerunkami pamiątek, a także z ich zapisem cyfrowym.

Za zbiórkę odpowiedzialny jest Dział Zbiorów i Konserwacji Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu, ul. Muzealna 4, 48–316 Łambinowice, tel./fax +48 77 434 34 75

zbiorkapamiatek@cmjw.pl **www.cmjw.pl**

Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu
45–017 Opole, ul. Minorytów 3, tel./fax +48 77 453 78 72, 77 453 92 16

Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Marszałka Województwa Opolskiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

REBIS

Zapraszamy do salonów empik

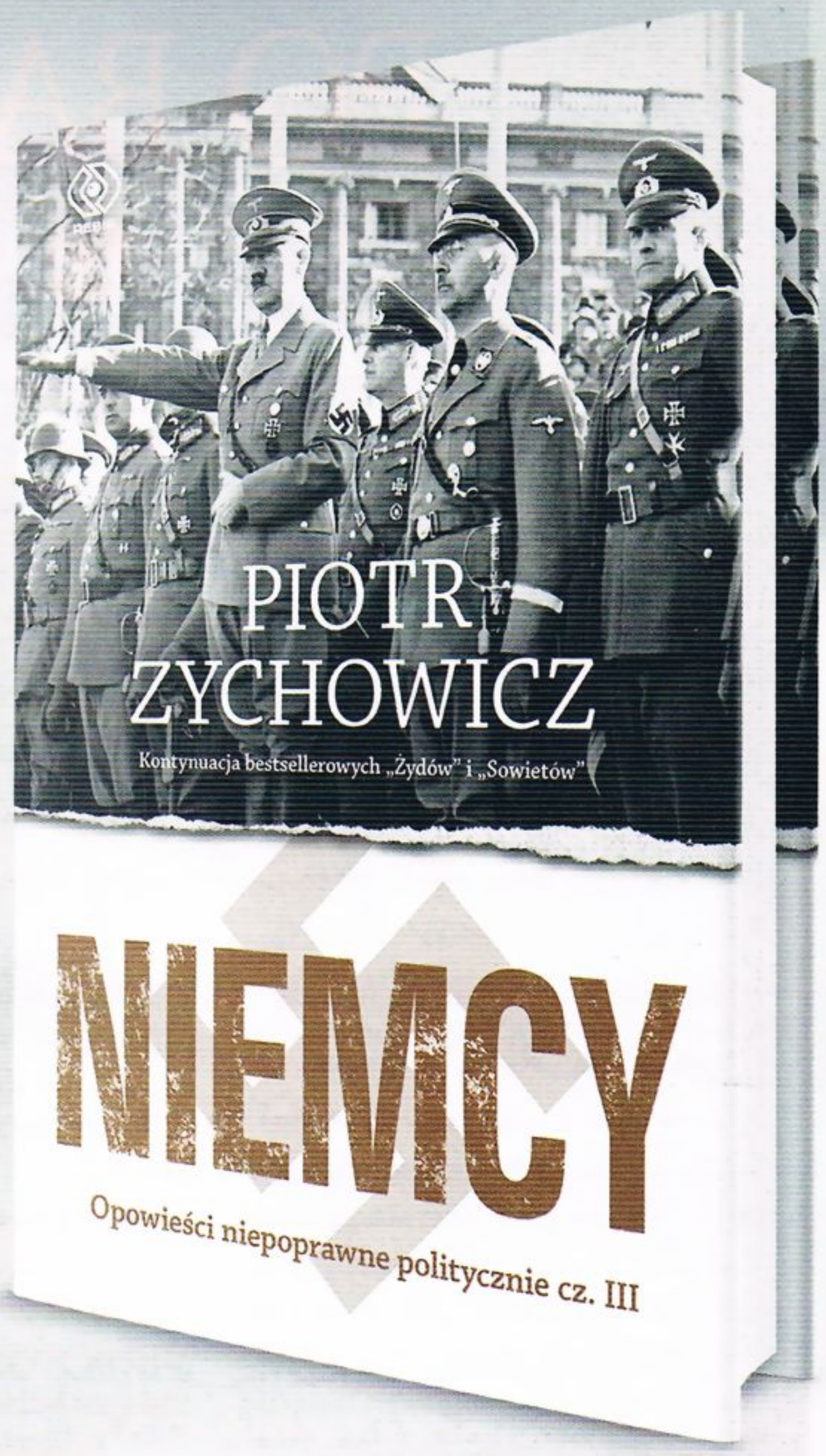

Najbardziej niewygodne prawdy o niemieckiej historii, kontynuacja bestsellerowych *Żydów* i *Sowietów*

DO RZECZY HISTORIA DO RZECZY

Teraz *Obłęd '44* także w wersji audio!

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

FB/DWREBIS www.rebis.com.pl

PADA BARYKADA PO BARYKADZIE

LESZEK ADAMCZEWSKI

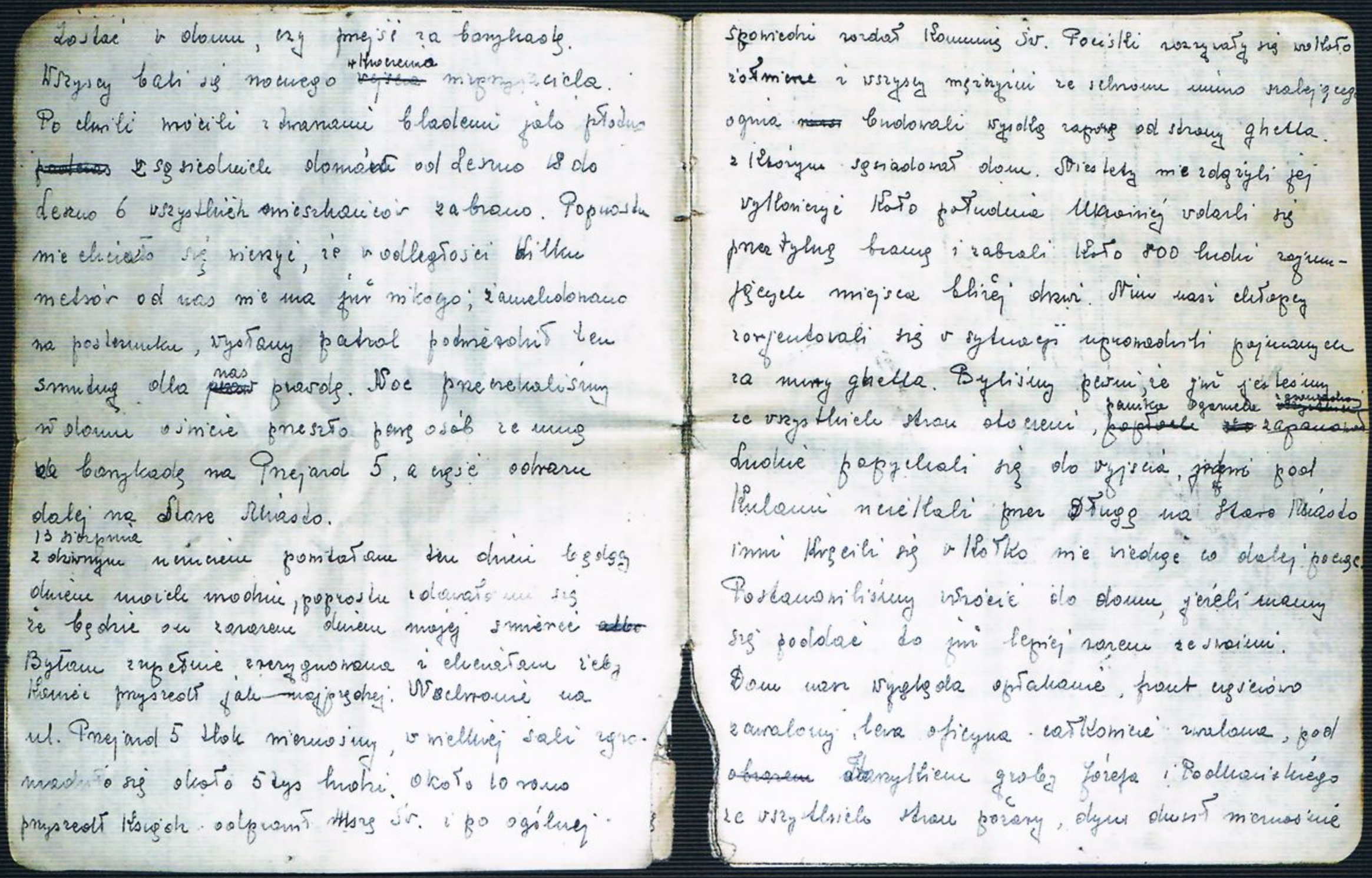

Przez wiele, wiele lat gdzieś na dnie szuflady spoczywał ten rękopis. Kiedyś treść tego unikatowego dziennika spisano na komputerze, ale nie podjęto próby jego publikacji. Aż do dziś...

O Powstaniu Warszawskim 1944 roku napisano już chyba wszystko, a na pewno napisano sporo za dużo, zwłaszcza jeśli chodzi o polityczne tło tego straceńczego zrywu Polaków. Setki tysięcy poległych i zabitych, tysiące inwalidów i zniszczone miasto – to bilans 63 dni powstania. Każdy z tych dni to tysiące ludzkich dramatów i tragedii nie tylko żołnierzy, ale również mieszkańców Warszawy.

Niedawno – przez przypadek, jak to zwykle bywa – wpadł w moje ręce nigdzie wcześniej niepublikowany dziennik z powstania oglądanego oczami 34-letniej wówczas kobiety. Znałem ją dobrze tak, jak nastoletni uczeń może znać swoją nauczycielkę. Bo autorka zamieszczonych tu wspomnień, magister Stefania Tokłowicz, w latach 1962–1967 była wychowawczynią mojej klasy w Technikum Ekonomicznym im. Stanisława Staszica w Poznaniu. Ciężką ręką dzierżyła wychowawstwo jedynej w długich dziejach tej szkoły całkowicie męskiej klasy. Wielu z nas wyprowadziła na ludzi.

www.odkrywca.pl

Stefania Tokłowicz, z domu Mańkowska, urodziła się 13 sierpnia 1910 roku w Warszawie. Z wykształcenia była chemiczką i ten wątek pojawia się w jej dzienniku, gdy okupacyjny szef zleca opracowanie metod produkcji mydełek toaletowych i płynu na pluskwy. W 1940 roku wyszła za mąż za Mariana Tokłowicza. Pisząc o „moich chłopcach" czy „moich biedakach" miała na myśli właśnie męża i brata Tadeusza Mańkowskiego, którzy w 1944 roku byli więźniami hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Auschwitz. Po wojnie państwo Tokłowiczowie przeprowadzili się do Poznania. Stefania została nauczycielką, a Marian był dziennikarzem, jednym ze współtwórców Telewizji Poznań.

Stefania Tokłowicz zmarła w grudniu 1994 roku, zostawiając napisany piórem maczanym w atramencie dziennik, obejmujący okres między końcem lipca a 2 września 1944 roku, gdy w tłumie innych warszawiaków musiała opuścić stolicę. Do publikacji w „Odkrywcy" wybrałem fragmenty wspomnień z dni, gdy ginęła stolica. Oprócz drobno zapisanych kartek, Stefania Tokłowicz nie zostawiła żadnych wyjaśnień, kim byli opisani przez nią ludzie. Poza drobnymi poprawkami stylistycznymi i uzupełnieniem interpunkcji nie dokonywałem w tekście Stefanii Tokłowicz poważniejszych zmian. Nie tylko dlatego, że jakoś niezręcznie było mi ingerować w dziennik mojej dawnej nauczycielki, ale także, a może przede wszystkim dlatego, by zachować autentyzm jej dramatycznych wspomnień.

Mieszkanie państwa Tokłowiczów spłonęło podczas powstania. A wraz z nim spłonęły również rodzinne zdjęcia. Syn Stefanii Tokłowicz w papierach matki znalazł tylko jedną jej fotografię, która prawdopodobnie pochodzi sprzed powstania. Nad tym mocno uszkodzonym zdjęciem pracowałem kilka godzin, pieczołowicie retuszując je, by nadawało się do reprodukcji.

Drugie zdjęcie przedstawia Stefanią Tokłowicz mniej więcej taką, jaką znałem.

DZIENNIK STEFANII TOKŁOWICZ (FRAGMENTY)

1 SIERPNIA 1944 ROKU:

(...) Piąta po południu. Jakaś awantura wybuchła na ulicy. Huk strzałów rewolwerowych i karabinowych wspomagany terkotem karabinów maszynowych wstrząsnął powietrzem. Wieczór nadchodzi, strzelanina nie tylko nie ustaje, ale przybiera na sile. Postanowiłam zejść i dowiedzieć się u dozorcy, co to znaczy. Boże! Czy to możliwe? Powstanie. Czyż naprawdę po tylu latach doświadczeń i męki Bóg na końcu odebrał nam rozum. Po wrześniu 1939 roku, kiedy nasza regularna armia nie była w stanie odeprzeć wroga, dziś bez broni, bez przygotowania porywamy się, znając tak dobrze jego potęgę i siłę. Całą noc nikt nie zmrużył oczu. Za węgłem bramy, w klatce schodowej grupki współlokatorów debatują nad sytuacją. Zgadzają się, że jeżeli w przeciągu dwóch dni przyjdzie pomoc z zewnątrz, a nasze oddziały utrzymają się przez te dwa dni – nie będzie tak tragicznie. Z naszego domu trzech lokatorów jest w akcji, dwie kobiety i dziecko zaskoczyło powstanie na ulicy. (...)

Oto dwie strony dziennika Stefanii Tokłowicz z Powstania Warszawskiego 1944 roku.

Magister Stefana Tokłowicz na zdjęciu z lat 60. XX wieku.

Jedyne zachowane w rodzinnym archiwum zdjęcie Stefanii Tokłowicz z lat młodości.

2 SIERPNIA 1944 ROKU:

Nadszedł świt. Huk dział dochodzi jakby z oddali. Z okien frontowych wyglądamy na ulicę. Dziwny widok. Przy murach przemykają się grupki cywilnych mężczyzn z biało-czerwonymi opaskami, z rewolwerami w ręku, niektórzy bez broni. Czasami przejdzie grupka kobiet też z opaskami AK lub Czerwonego Krzyża. Ulica wolna, gmach telefonów na rogu Przejazdu zdobyty. Przez ulicę trzeba tylko biec szybko i pojedynczo, bo jest silny ostrzał od ulicy Żelaznej i Banku Emisyjnego. Wolska, Młynarska, Chłodna, Elektoralna, plac Bankowy, część Leszna, Długa, Miodowa i tak dalej w naszych rękach. Niektóre tylko domy trzymają Niemcy, nasi przypuszczają do nich atak. Niestety, trudno jest zdobyć silny żelbetonowy gmach mając tylko parę granatów i rewolwery. W śródmieściu podobno wszędzie walka. Tam my mamy domy, ulice są opanowane przez wroga. Mali chłopcy i dziewczynki biegają pod kulami roznosząc gazety, których wyszło 18 wydawnictw. Staramy się być dobrej myśli, choć trudno się na to zdobyć, trudno zapomnieć o tym, że nasi żołnierze mają czasami tylko karabin lub rewolwer, a najczęściej >>>

fot. Leszek Adamczewski, arch. autora

>>> butelkę benzyny, że na zdobycie Banku Emisyjnego przeznaczono 5 granatów, bo więcej cały oddział nie posiadał, podczas gdy przeciwnik wyposażony w najnowocześniejszy sprzęt posiada karabiny maszynowe, armaty, czołgi, samochody pancerne, no i samoloty. Staramy się za wszelka cenę zapomnieć o samolotach. [Na razie] nie ma ich, wszystkie przepadły, ani jeden nie wystartował nad walczącą Warszawę.

NOC Z 2 NA 3 SIERPNIA 1944 ROKU:

Do odgłosu karabinowych strzałów, huku rozrywających się granatów wmieszał się odgłos nowy – głuchy huk dział frontowych. Ziemia cała drży, a w nas budzi się nadzieja szybkiego wyzwolenia.

3 SIERPNIA 1944 ROKU:

Prasa podaje, że walki toczą się między Wawrem a Otwockiem i z drugiej strony od Mokotowa. O godzinie 12:15 pierwsze zrzuty angielskie dla powstańców. Całe noce dyżurujemy przy bramie. Dozorca w ogóle nie kładzie się spać, zawsze jest na posterunku. Dziwnie zachowuje się nasz Józef. Rano wypija kieliszek czystej i cały dzień jest spokojny i uśmiechnięty, wszystkim dodaje otuchy, choć ja najlepiej wiem, że nie wierzy w pomyślny koniec tej beznadziejnej rozgrywki. (…)

4 SIERPNIA 1944 ROKU:

Rozkaz naczelnego wodza brzmi: „Wszystkie gmachy będące w naszym ręku mają wywiesić flagi narodowe". Ze łzami w oczach zawieszają mieszkańcy dzielnicy dawno niewidziane sztandary nad bramami swych domów i na balkonach. Rozważniejsi ociągają się, pytając siebie, czy dobrym posunięciem taktycznym jest ujawnianie stanu naszego posiadania? Czy istotnie dowództwo zapomniało o istnieniu samolotów, przed którymi stosuje się zawsze maskowanie chronionych obiektów, a nie jak gdyby tendencyjne ich wskazywanie. Ale rozkaz jest wyraźny i koło południa całe ulice dzielnicy zachodniej powiewają flagami. Żołnierze, bardzo zmęczeni 48-godzinną walką w ulewnym deszczu bez snu i odpoczynku, zachowują się dzielnie, dodając otuchy cywilom. Młodzież pełna entuzjazmu, [ale] starsi żołnierze i oficerowie zdają sobie sprawę z powagi sytuacji, w napięciu oczekują na pewno niemiłej niespodzianki, jaką szykuje im nieprzyjaciel w tej ciszy przed burzą. Dotąd przeciwko naszym rewolwerom, zdobytym karabinom i czasem rozpylaczom i granatom, używano też tej samej broni. Nie wszyscy są tak naiwni, żeby wierzyć, że innej broni przeciwko nam nie ma, że wojsko niemieckie opuszcza ulice Warszawy w obawie przed oddziałami powstańców. (…) Rąk nie brakuje, tylko broni i amunicji. Sprawy aprowizacyjne załatwiamy sami, gotując we wszystkich domach dla żołnierzy i dla szpitali.

Godzina 6:00 wieczór. Wszyscy patrzą w niebo, które od pierwszego dnia walki po raz pierwszy się rozjaśniło, skąd słychać szum samolotu. To samolot niemiecki rozrzuca ulotki wzywające do poddania się i udania się na zachód z białymi chustkami. Nie ucichły jeszcze komentarze nad tym wezwaniem, a już nadleciała eskadra bombowców i zrzuciła zapalające oraz burzące „ulotki". Wybuchły pożary na ulicy Elektoralnej, Chłodnej. (…) W nasz dom trafiły dwie bomby zapalające – obie ugaszono. Popłoch straszny, ludzie znoszą z pięter cały dobytek do piwnic. Lęk przed następnym bombardowaniem wyziera ze wszystkich oczu. Pospiesznie zdejmują sztandary, żeby lotnicy nie orientowali się, gdzie są nasze oddziały. Jesteśmy bezsilni wobec lotnictwa. Czekamy nocy i huku frontu, który powinien być już bardzo blisko.

NOC Z 4 NA 5 SIERPNIA 1944 ROKU:

Nadchodzi noc, cały dom nie śpi, mamy dyżury przy bramie, reszta mieszkańców szykuje na gwałt schron i piwnice. Nadsłuchujemy, czy pośród odgłosu walk lokalnych odróżnimy odgłosy walk frontowych. Niestety, od strony Pragi, od strony Mokotowa nie dochodzi nic poza głuchą ciszą. Twarze powoli bledną, nadzieja zamiera w sercach. Działa frontowe umilkły, bolszewicy zostali odepchnięci, albo cofnęli się sami. Zrzuty rewolwerów, drobnej amunicji nie uratują sytuacji. Jeżeli bolszewicy się cofają, cała potęga rozwścieczonego nieprzyjaciela runie na biedną, goniącą ostatkiem sił stolicę. (…)

5 SIERPNIA 1944 ROKU:

Ranek (…) przyniósł nam falę uciekinierów z ulicy Wolskiej. Przerażeni, z węzełkami uratowanego dobytku na plecach, z bólem zastygłym na osmalonych od dymu i ognia twarzach, szli ci pierwsi zwyciężeni z dzielnicy zachodniej, którzy nie chcieli się poddać nieprzyjacielowi. Tam zaczęła się

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS

ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

www.odkrywca.pl

A detachment of the Polish Home Army snatching a moment to have some Food"

prawdziwa walka z użyciem całego sprzętu, z którym nie mogli się zmierzyć nasi chłopcy, i z całym okrucieństwem zwycięzcy. Atak czołgów i piechoty na Wolę i Wolską, poprzedzany tłumem bezbronnych kobiet, dzieci i mężczyzn polskich pędzonych przed tygrysami, mających przed sobą nasze barykady, kule i pociski swoich synów, mężów i braci, a za sobą lufy armat niemieckich, nie został odparty. Pozycji na Wolskiej nie udało się utrzymać, po przejściu czołgów, piechota podpalała dom za domem, wielu ludzi zginęło w płomieniach, wielu padło od pocisków, część uciekła kierując się w naszą stronę, resztę [Niemcy] popędzili na zachód. Za Wolską zniszczono tegoż dnia ulicę Młynarska. Płomień zbliżał się do ulicy Chłodnej. Po południu, koło czwartej, przypuszczono atak na barykadę przy zbiegu ulicy Leszno i Żelaznej. Czterdziestu żołnierzy broniących tej barykady, nie mając żadnej broni poza butelkami z benzyną, musiało barykadę opuścić. Wszyscy bezbronni mieli rozkaz udania się na Stare Miasto. [...]

W naszym domu panuje straszny nastrój. Jesteśmy ostatnim domem przed barykadą i z naszych okien będą rzucać benzynę, a jeżeli nas zgarną, to my będziemy zdobywać i rozbierać w ogniu kul przez nas zrobioną barykadę. Po południu nic się nie zmieniło, tygrys nie zbliżał się, a od czasu do czasu podjeżdżał do placu Bankowego i Karmelickiej. Widocznie w planie wroga nie wybiła jeszcze godzina zniszczenia naszej ulicy. Dla mnie dzień skończył się smutnie, bo zwichnęłam nogę w kostce i przenieśli mnie do schronu na ulicę Przejazd 1 za barykadę. Przeleżałam bez ruchu trzy dni na ławce w wilgotnej piwnicy, noga bolała mnie okropnie, modliłam się tylko, żeby nie trzeba było mnie opuszczać, bo nie mogłam nawet stanąć. Józef nosił mi śniadania i obiady, co parę godzin odwiedzał mnie przynosząc wiadomości z pola walki. U nas sytuacja nie zmieniła się. Nasz stan posiadania w dzielnicy zachodniej kurczy się. Niemcy zajęli ulice Chłodną, Żelazną, Elektoralną, niedługo w planie metodycznego niszczenia, którego zawsze byłam pewna, przyjdzie kolej na nas. Na Dworcu Gdańskim pojawił się pociąg pancerny, który nieustannie zieje ogniem pocisków ciężkiego kalibru na dzielnice naszą i Stare Miasto. [...]

12 SIERPNIA 1944 ROKU:

Od samego rana rozpoczął się atak czołgów na naszą barykadę. Ze schronu wyjść już nie można, jedynie dyżurni i Józef są na stanowisku. Józef od rana trochę pił, ale

Powstańczy posiłek.

zupełnie spokojny powiedział mi, że bez względu co się stanie, domu nie opuści. Z godziny na godzinę silniejszy ogień, w piwnicy tynk się sypie i jest okropnie duszno. W pewnej chwili dom się zatrząsł w posadach, zrobiło się zupełnie ciemno – pocisk ugodził nasz dom. Równocześnie usłyszeliśmy rozpaczliwy krzyk matki Podkańskiego, który był na posterunku w bramie i został zabity odłamkiem. Biller stracił rękę, a o Józefie nikt nic nie mówi, choć wszyscy wiemy, że to milczenie jest znakiem śmierci. Nikomu nie wolno wyjść z piwnicy. Pan Ubysz i jego zięć wnieśli ciała do mieszkań. Józefowa milczy, a dzieci przerażone tulą się do niej. Czołg wali bez przerwy. Zdaje się nam, że to ostatnia godzina wybiła. O godzinie piątej po południu czołg umilkł. Józefowej oddano obrączkę męża. Wszyscy jesteśmy dziwnie przybici jego śmiercią. Do ostatniej chwili był na posterunku i choć nie w mundurze, był prawdziwym żołnierzem do końca. (...) O szóstej Jerzy E. i jego kuzyn poszli do sąsiednich domów na Lesznie przez podziemne korytarze, żeby naradzić się, co robić dalej. Zostać w domu, czy przejść za barykadę. Wszyscy bali się nocnego wkroczenia nieprzyjaciela. Po chwili wrócili z twarzami bladymi jak płótno. Z sąsiednich domów od Leszno 18 do Leszno 6 wszystkich mieszkańców zabrano. [...] Noc przeczekaliśmy w domu, a o świcie parę osób wraz ze mną przeszło za barykadę na Przejazd 5, a część od razu dalej na Stare Miasto.

13 SIERPNIA 1944 ROKU:

Z dziwnym uczuciem powitałam ten dzień będący dniem moich urodzin, po prostu zdawało mi się, że będzie on zarazem dniem mojej śmierci. Byłam zupełnie zrezygnowana i chciałam, żeby koniec przyszedł jak najprędzej. W schronie na ulicy Przejazd 5 tłok nieznośny, w wielkiej sali zgromadziło się około 5 tysięcy ludzi. Około 10:00 rano przyszedł ksiądz, odprawił mszę świętą i po ogólnej spowiedzi rozdał Komunię Świętą. Pociski rozrywały się wokoło. (...) Koło południa Ukraińcy wdarli >>>

fot. NAC

www.odkrywca.pl

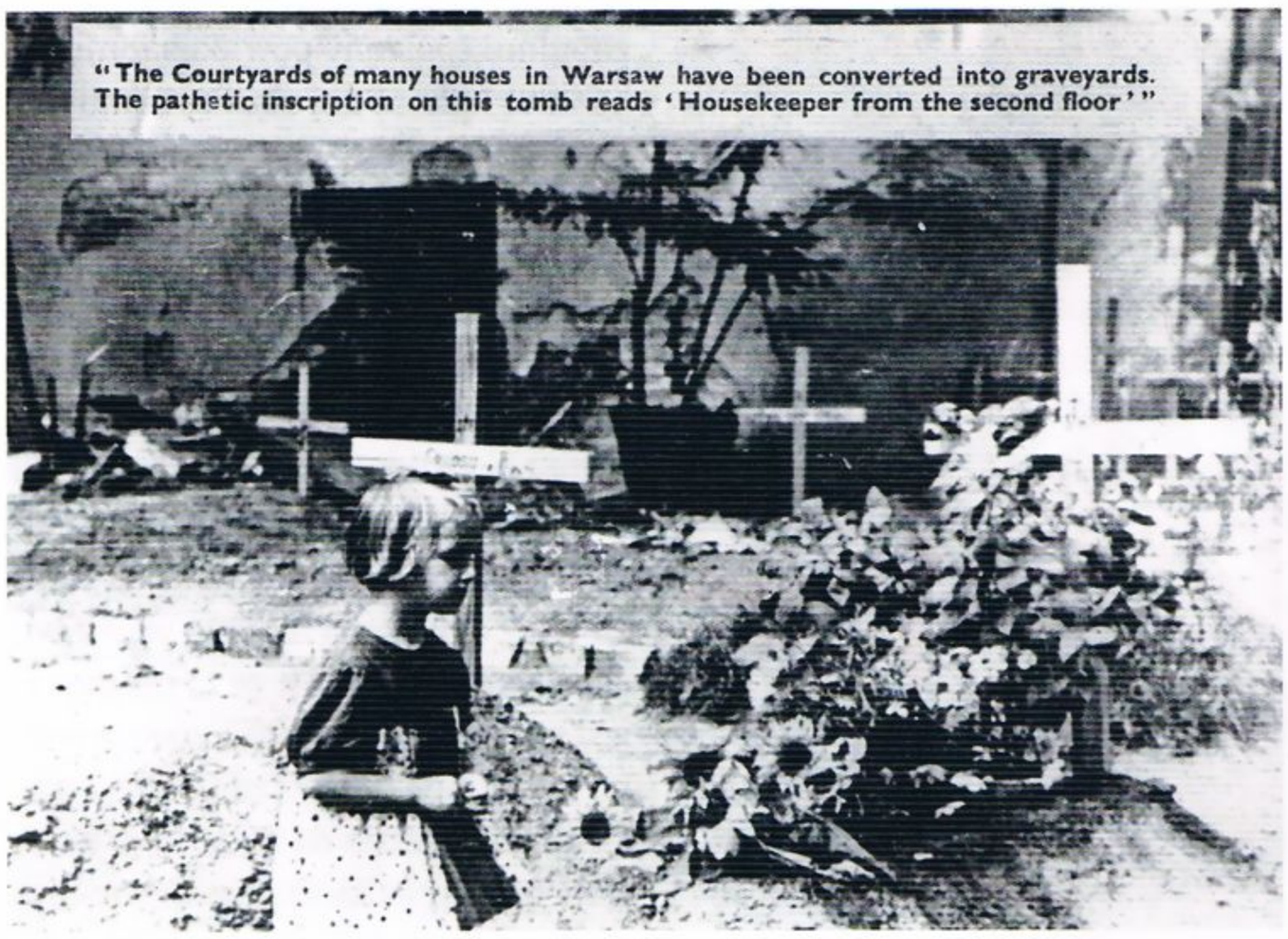

Ulice i podwórka Warszawy stawały się cmentarzami. W przenośni i dosłownie.

>>> się przez tylną bramę i zabrali około 800 ludzi zajmujących miejsca bliżej drzwi. Nim nasi chłopcy zorientowali się w sytuacji, uprowadzili pojmanych za mury getta. Byliśmy pewni, że już jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni. Panika ogarnęła zgromadzonych. Ludzie popychali się do wyjścia, jedni pod kulami uciekali przez Długą na Stare Miasto, inni kręcili się w kółko nie wiedząc co dalej począć.

Postanowiliśmy wrócić do domu. Jeżeli mamy się poddać, to już lepiej ze swoimi. Dom nasz wygląda opłakanie, front częściowo zawalony, lewa oficyna całkowicie zwalona, pod ołtarzykiem groby Józefa i Podkańskiego. Ze wszystkich stron pożary, dym dusi nieznośnie. W naszej piwnicy żołnierze z granatami w rękach bronią przejścia podziemnego przed wtargnięciem nieprzyjaciela, w jednej i drugiej bramie barykada. Zdajemy sobie sprawę, że jeżeli rozpocznie się atak, zginiemy wszyscy. […] Świt powitałam z ulgą. Trzynasty minął, a ja żyję.

14 SIERPNIA 1944 ROKU:

O piątej rano zdecydowaliśmy się opuścić dom. Pan K. wahał się, pani Dziuta nie chciała zostawić męża, choć całą duszą wyrywała się do Zosi, która poprzedniego dnia z Jurkiem udała się na Miodową. Sprawę rozstrzygnął pan R., który przyszedł z narażeniem życia, ażeby nas przeprowadzić. Nigdy nie zapomnę tej wędrówki. Niemcy otworzyli ogień wzdłuż ulicy Długiej, przez którą trzeba było przejść. Pochyleni biegliśmy pojedynczo w pewnym od siebie oddaleniu, od barykady do barykady chroniąc się przed zaporą z kul i odłamków. Ulica zniszczona, zmieniona nie do poznania. W bramach spotykaliśmy ludzi z tłumoczkami, z twarzami, na których malowało się przerażenie i rozpacz, którzy nie mogli zdobyć dość siły i odwagi, aby iść dalej, spotykając po drodze gęsto rozsiane trupy swoich poprzedników trafionych w ucieczce kulą lub odłamkiem pocisku. Wreszcie przez przechodnią bramę Długa 13 doszliśmy do domu Miodowa 23, który miał być kresem naszej wędrówki. Dom trzypiętrowy o kilku oficynach, dawna SGGW [Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego], mieścił w swoich murach parę tysięcy mieszkańców. W podziemiach była drukarnia „Warszawianki", „W Walce", „Walki" i wielu innych gazet. Jedna oficyna mieściła szpital i składnicę farmaceutyczną. Tu znajdowała się siedziba Delegatury Rządu, Zarząd Policji i inne [instytucje Polski Podziemnej]. W schronach panuje straszne przepełnienie. Znalazłam dla siebie jakiś chwiejący się stołek, który ustawiłam w kącie za drzwiami. […] Ulica Miodowa dotąd niewiele ucierpiała. Dom, w którym się znalazłam, tętnił życiem jeszcze dość zorganizowanym. Pod 21 i 25 były kuchnie RSO, w których gotowano raz na dzień zupę, najczęściej jakąś kaszę lub fasolę i rano kawę. O chlebie nie można było marzyć, piekarnie były albo zrujnowane, albo nie miały mąki. Głód dokuczał nam wszystkim, najbiedniejsze były małe dzieci, dla których nie było ani kropli mleka. Płacz tych biedactw nie pozwalał zasnąć, co wywoływało ordynarne awantury ze strony bezdzietnych kobiet. Mężczyźni byli o wiele subtelniejsi i wyrozumialsi.

15 SIERPNIA 1944 ROKU:

Przeżyliśmy makabryczną noc, na jezdnię przed domem spadł zestrzelony, płonący samolot aliancki, z całą amunicją przeznaczoną na zrzuty. Trzeba go było rozładować jak

REKLAMA

www.wykrywacze24.pl

POLECAMY SZEROKI WYBÓR DETEKTORÓW
DLA KAŻDEGO POSZUKIWACZA

JESTEŚMY DYSTRYBUTORAMI MAREK

DORADZAMY...SPRZEDAJEMY...SERWISUJEMY...
tel. 660 797 830, e-mail: El-car@tlen.pl
72-200 Nowogard, ul. 3 Maja 44

www.odkrywca.pl

najszybciej, żeby zapobiec wybuchowi. Dwaj piloci zabici, pochowaliśmy ich zwłoki w małym ogródku z honorami wojskowymi. Tej nocy w naszej dzielnicy spadły trzy samoloty. Los sprzyja naszym wrogom. Dziś usłyszeliśmy nową broń nieprzyjaciela, tak zwaną szafę inaczej krową zwaną. Jest to miotacz min, który wyrzuca z siebie z ogromną siłą sześć pocisków zdolnych zburzyć piętrowy gmach. Na zgrzyt tego potwora, po którym następuje wybuch, wszyscy uciekają do schronów. Siła sprężonego powietrza daje się odczuć nawet w piwnicach, powodując pęknięcia bębenków, dlatego otwieramy wszyscy usta zatykając uszy. (...)

16–29 SIERPNIA 1944 ROKU:

O 6:00 rano pierwszy nalot, jaki tu przeżyłam, skończył się tragicznie. Trzy bomby uderzyły w naszą oficynę, częściowo ją niszcząc. Zginęło parę osób. W schronie zasypało nas całkowicie tynkiem i gruzem, [ale] dzięki przytomności umysłu kapitana Ubysza, który w ciemnościach przeprowadził nas do wyjścia, nie zadusiliśmy się. Przeszliśmy do poprzedniej oficyny i zatrzymaliśmy się w prywatnym schronie państwa Maliszewskich. Schron dość solidny, podstemplowany, umeblowany łóżkami i kanapami. W rogu przy stole w białym czepeczku pani doktorowa częstuje czekoladą rannego kapitana Ryszarda, spoczywającego wygodnie na leżaku. Mieszkańcy schronu z odrazą patrzą na intruzów, obsypanych tynkiem, cuchnących siarką i dymem. Stoimy skromnie pod filarami podtrzymującymi schron i patrzymy na ludzi, którzy wyobrażają sobie, że bomby i pociski nie ośmielą się wtargnąć do ich patentowanej piwnicy. O podaniu krzesła czy wody nikt oczywiście nie pomyśli. Po co? Zbytnia gościnność może być źle zrozumiana – rozzuchwalone intruzy mogłyby zostać na noc, zakłócić spokój cichego schronu. (...)

Tego dnia było jeszcze pięć nalotów. Bomby latających bezkarnie stukasów trafiały w budynki ulic Długiej, Miodowej i Starego Miasta. Wieczór przyniósł, jak zwykle, odprężenie. Niemcy nie lubią latać nocami. (...)

Przez cały tydzień sytuacja nie uległa zmianie. Przeżywaliśmy dziennie po kilka nalotów, które z niemiecką dokładnością następowały po godzinnych przerwach od 7:00 rano do 7:00–8:00 wieczór. Długa, Miodowa, Stare Miasto rozsypywały się w gruzy. Nasze bloki ucierpiały bardzo. Obecność drukarni, szpitala, zakwaterowanie się w ostatnich dniach sztabu głównego nie wróżyły nam nic dobrego. Nic nie ukryło się przed okiem wroga. Zbyt dużo szpiegów włóczyło się w ruinach, dając znaki świetlne latającym potworom. Mimo bohaterskich wysiłków obrońców, padała barykada po barykadzie. [...]

30 SIERPNIA 1944 ROKU:

Po tragicznej nocy o świcie rozegrała się tragedia Pasażu Simonsa, który dotąd oszczędzano ze względu na bliskość Arsenału zajętego przez Niemców. Nocą Niemcy opuścili go, a bombowce dopełniły dzieła. Nadwątlone nieustannym ogniem tygrysów i szaf mury siedmiopiętrowego gmachu runęły, grzebiąc pod gruzami wielu żołnierzy i kilkuset [osób] z ludności cywilnej. (...) <

"A wounded soldier of the Polish Home Army receiving First Aid in the street"

Ranny powstaniec otrzymuje pierwszą pomoc.

Leszek Adamczewski

Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor ponad 20 książek, cieszących się wielkim zainteresowaniem czytelników, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. W czerwcu ubiegłego roku ukazała się „Klęska gauleitera. Sensacje z Kraju Warty". W maju tego roku ukazała się najnowsza książka „Prusy w ogniu".

HISTORIA ODBUDOWY GOLIATHA

ZBIGNIEW NOWOSIELSKI

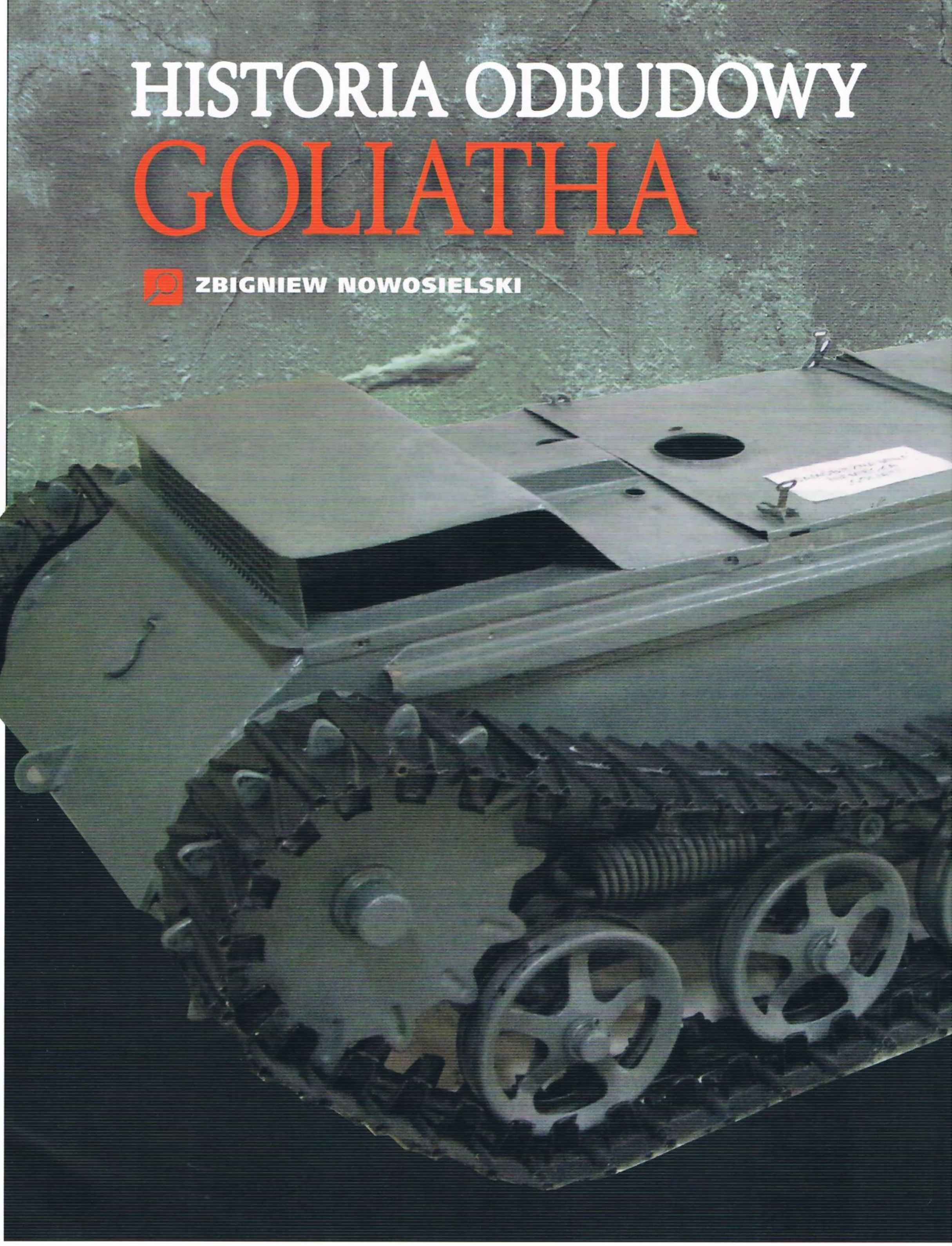

Dotrzymaliśmy słowa: zrealizowaliśmy obietnicę złożoną żyjącym Powstańcom Warszawskim, że zbudujemy replikę Goliatha, aby z udziałem Grup Rekonstrukcji Historycznych pokazać młodzieży, co Oni przeżywali...

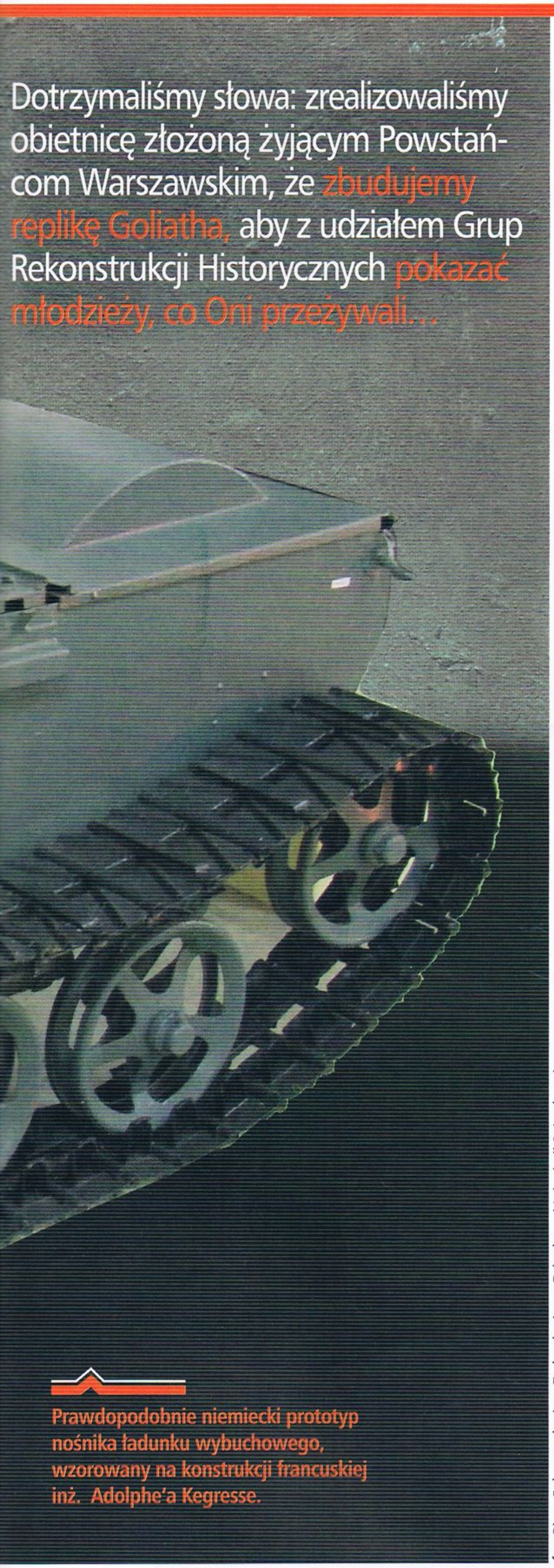

Prawdopodobnie niemiecki prototyp nośnika ładunku wybuchowego, wzorowany na konstrukcji francuskiej inż. Adolphe'a Kegresse.

fot. Biuro Rekonstrukcyjno–Technologiczne Zabytkowej Inżynierii Pojazdowej

Zwiad historyczny, którego obiektem był Goliath, rozpocząłem w lipcu 2008 roku, kiedy na prośbę dyrekcji Muzeum Powstania Warszawskiego pojechałem do Hamburga, gdzie zlokalizowano Leichte Ladungsträger Goliath E-motor. Miałem ocenić oryginalność zespołów bezzałogowego pojazdu gąsienicowego SdKfz 302.

Pojazdy te w czasie wojny były wykorzystywane głównie do niszczenia umocnień i wykonywania przejść w polach minowych, podejmowane były także próby niszczenia pojazdów pancernych. Ze względu na małą prędkość (ok. 10 km/h) i ograniczenia związane z ich sterowaniem okazały się mało przydatne jako broń przeciwpancerna.

Pierwszych piętnaście Goliathów SdKfz 302 (seria próbna) zostało przekazanych 3. kompanii oddziału pancernego – 3p/ Panzer – Abteilung 300 stacjonującego w Cottbus. Pojazdy SdKfz 302 uczestniczyły w walkach o Sewastopol, wykorzystywane były w Afryce Północnej przez oddział Versuchs – Kommando Troppen. Produkcja była kontynuowana do kwietnia 1943 roku.

Jest mało prawdopodobne, aby pojazdy SdKfz 302 były używane przez Niemców podczas powstania warszawskiego. Natomiast zostało udokumentowane wykorzystanie w powstaniu kolejnej wersji SdKfz 303 Goliatha z silnikiem spalinowym, produkowanej od 1943 roku.

Poddany oględzinom egzemplarz nie spełniał kryteriów technicznych kwalifikujących go do grupy pojazdów o charakterze zabytkowym. Został wykonany współcześnie, bez należytej dbałości o szczegóły konstrukcyjne i z użyciem technologii niestosowanych w ówczesnym procesie produkcyjnym. Do napędu użyte zostały silniki elektryczne szeregowe współczesnych rozruszników samochodowych. W pojazdach SdKfz 302 stosowano jednostki napędowe firmy Bosch ze Stuttgartu. Były to silniki elektryczne typu MM/RQL 2500/24RL2 o mocy 2,5 KW każdy.

Podsumowując, zwiad w Hamburgu okazał się, mało owocny – szukaliśmy egzemplarza oryginalnego. >>>

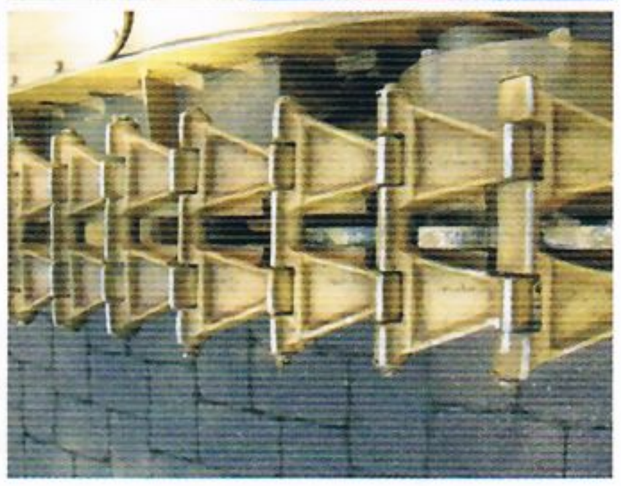

Niezbyt wierna kopia Goliatha elektrycznego z dzisiejszymi rozrusznikami.

www.odkrywca.pl

>>> Potem zwiad zmieniłem na zwiedzanie. Odwiedzałem muzea osobiście i za pośrednictwem Internetu. Interesujące obiekty w Musée d l'Armée w Paryżu, w Dentsches Panzermuseum Munster w Niemczech były „nie do ruszenia". Kilka Goliathów w Kubince też było poza naszym zasięgiem. Odwiedziliśmy muzeum we wrocławskim Arsenale. Niestety, egzemplarz będący w posiadaniu tej instytucji strach dotykać. Przebywanie przez kilkadziesiąt lat w wodach Odry doprowadziło do daleko posuniętej destrukcji. Drugi egzemplarz też wydobyty z Odry, a wystawiony w Bydgoszczy, jest w podobnym stanie.

Podjęliśmy rozmowy z Muzeum Wojska Polskiego, gdzie eksponowany jest nieźle zachowany egzemplarz. Najpierw jest zgoda („Muzeum Wojska Polskiego z uznaniem wita wszelkie inicjatywy, które przyczyniają się do przywrócenia sprawności technicznej pojazdów związanych z dwudziestowieczną historią Wojska Polskiego"), a potem muzeum wycofuje się nagle z wcześniejszych uzgodnień. Przekonują mnie argumenty muzealników, że powinien zostać na nim kurz powstania. Nie należy zmieniać historii. Niech zostanie jako nienaruszone świadectwo tamtych dni. Można przecież zbudować replikę, wykorzystując niedawno zdobyte cenne doświadczenia w zakresie inżynierii odwrotnej.

W międzyczasie zdobywam informacje na temat następnego Goliatha w Muzeum Bovington w Anglii. Tam służy on jako skarbonka, do której zwiedzający wrzucają pieniądze na jego rewaloryzację…

Tutaj niespodziewanie pojawia się całkiem nowy wątek. Podczas Pikniku Lotniczego w Góraszce do harcerek obsługujących eksponowany na „terytorium" AUTOMOBILISTY gąsienicowy transporter opancerzony Bren Carrier podszedł człowiek i zapytał: „Gdzie jest właściciel tego pojazdu?". Odpowiedziały, że zaraz mnie, czyli właściciela, zawołają. Kiedy po paru minutach

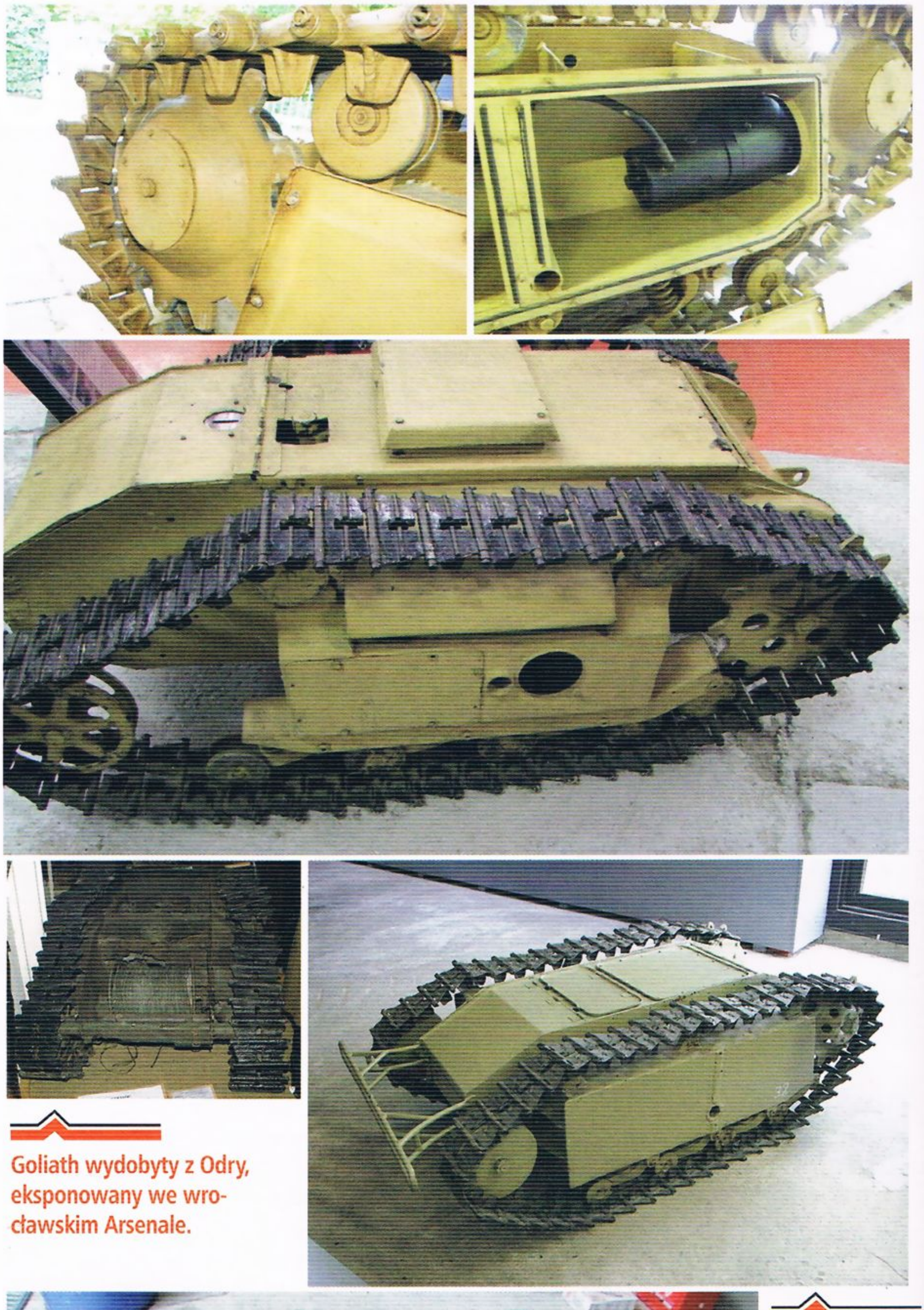

Goliath wydobyty z Odry, eksponowany we wrocławskim Arsenale.

Goliath-skarbonka w Bovington.

Zespół napędowy Goliatha Sd.Kfz.303 pozyskany w ramach wymiany kolekcjonerskiej.

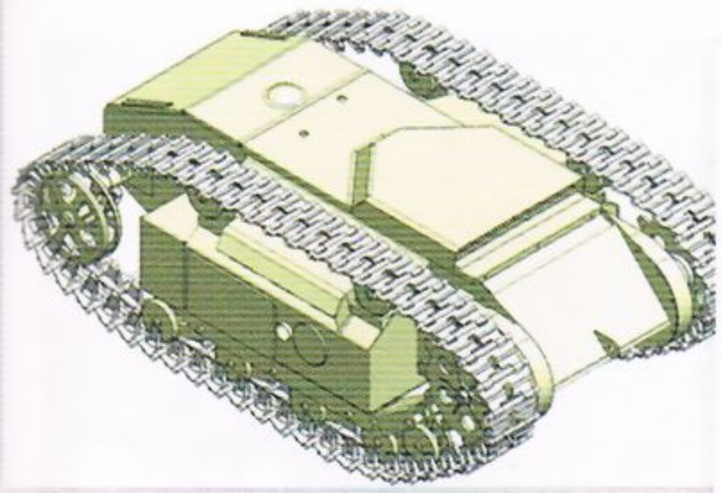

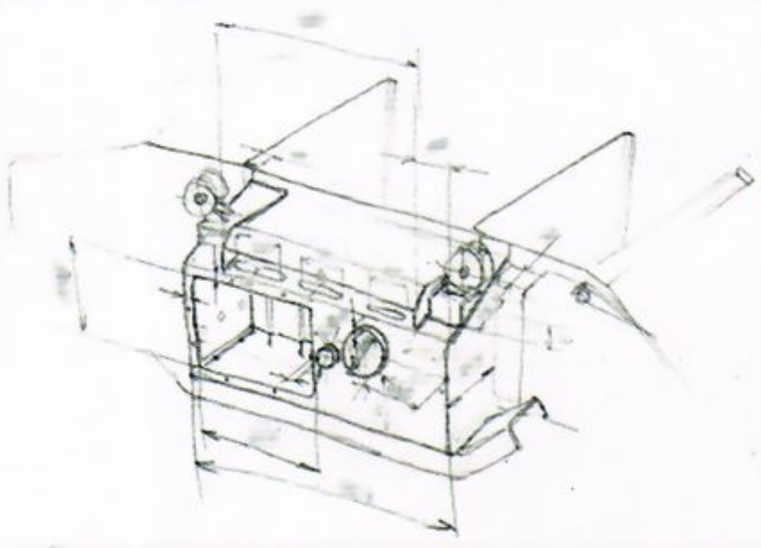

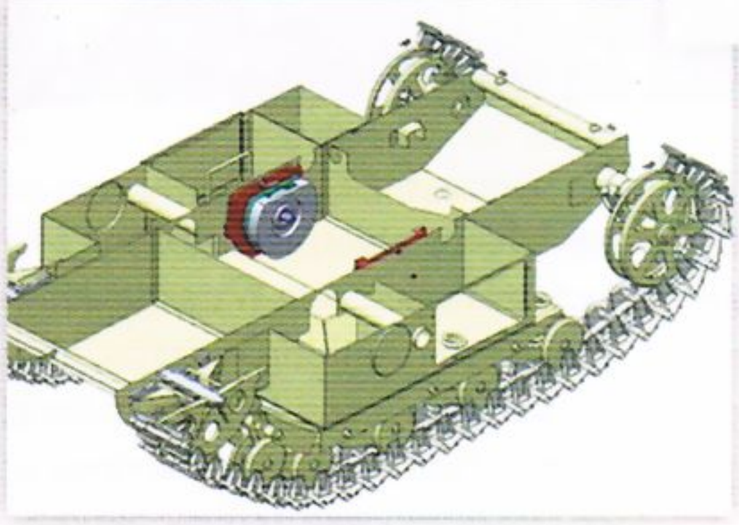

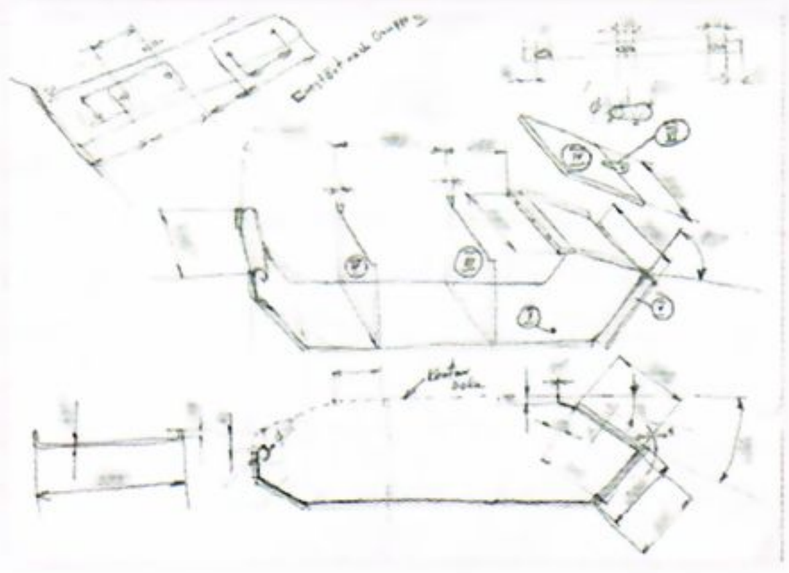

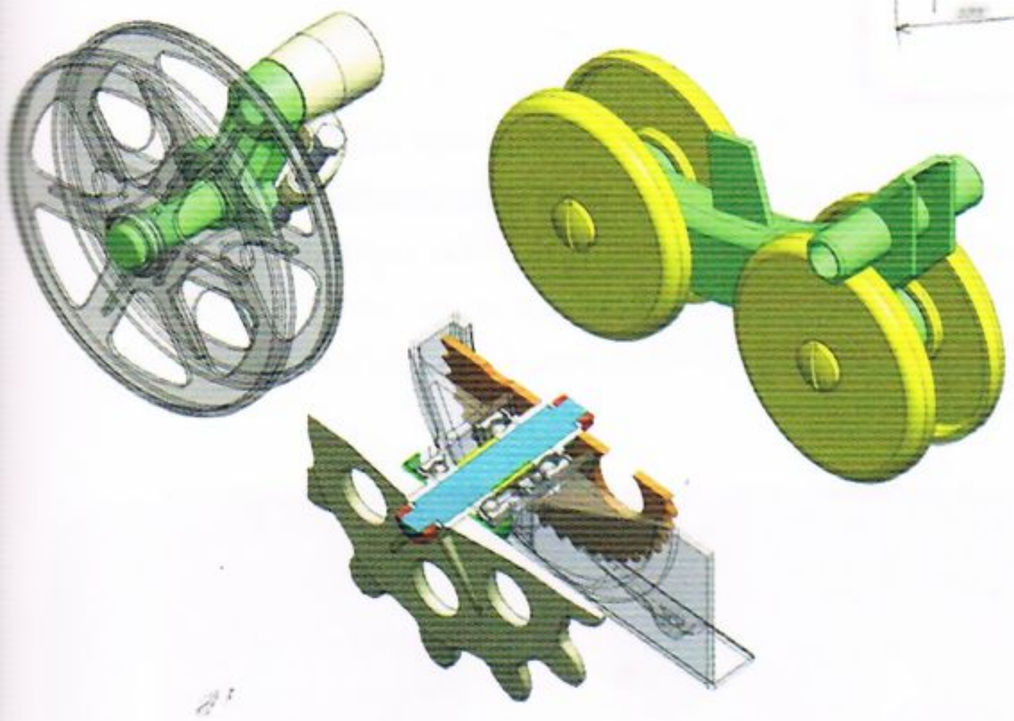

Szkice, w oparciu o które powstała prezentowana obok dokumentacja 3D.

Naprawa główna silnika i układu napędowego.

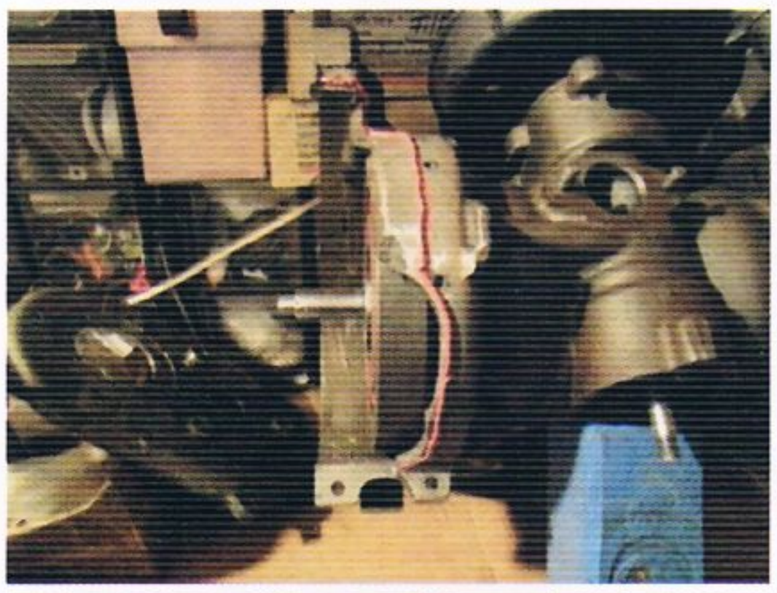

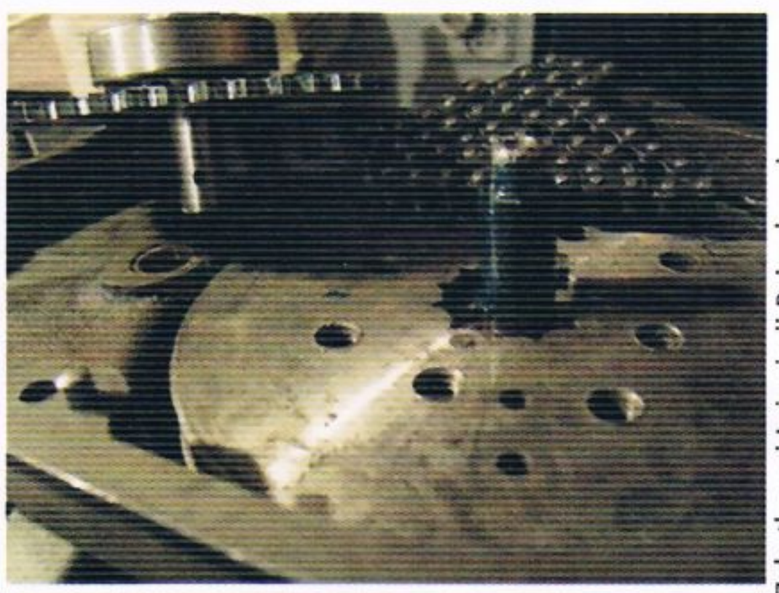

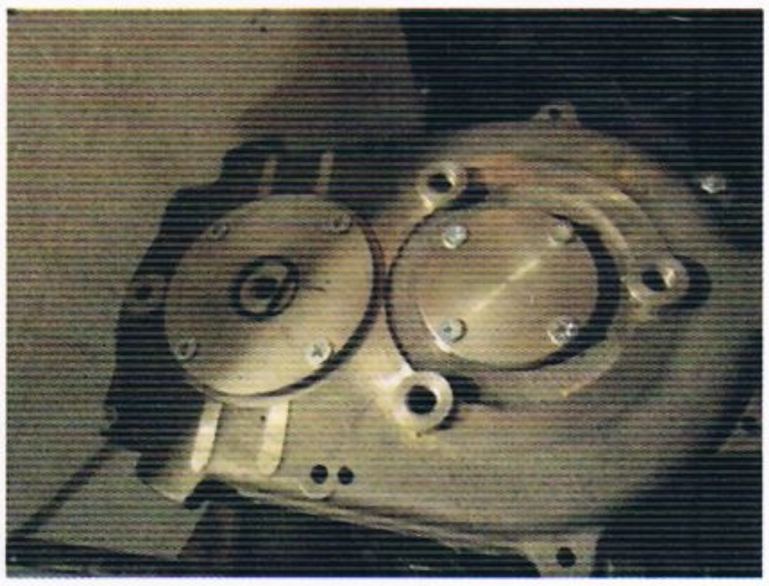

fot. Biuro Rekonstrukcyjno–Technologiczne Zabytkowej Inżynierii Pojazdowej

spotkaliśmy się, p. Zbigniew Denka z Józefowa, zaraz po przedstawieniu się zadeklarował, że może mi przekazać silnik od Goliatha. Byłem zaskoczony i niezwykle szczęśliwy zarazem. Pojawia się natychmiast myśl o jego odbudowie. Jest to najważniejszy element pojazdu!

Miałem taki oto plan. Po pierwsze, wróciłem myślami do obiektu, który oglądałem w sali tradycji Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych znajdującej się na terenie kompleksu koszarowego w Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych we Wrocławiu. Pojazd ten jest prawdopodobnie pierwszym niemieckim doświadczeniem w budowie nośników ładunku wybuchowego. Jest bardzo podobny w konstrukcji do prototypu pojazdu gąsienicowego będącego dziełem Adolphe'a Kegresse'a. Po zapoznaniu się ze szczegółowymi zdjęciami wykonanymi przed trzema laty doszedłem do wniosku, że silnik zdobyty na zasadzie wymiany kolekcjonerskiej bez żadnych przeróbek da się zainstalować do obiektu w Muzeum Wojsk Lądowych we Wrocławiu. Napisałem więc stosowne pismo do władz wojskowych, zwracając się z prośbą o umożliwienie przeprowadzenia prób.

Czekając na odpowiedź, zwróciłem się z prośbą o umożliwienie sporządzenia dokumentacji cyfrowej egzemplarza będącego w posiadaniu Muzeum Wojska Polskiego. Otrzymałem zgodę i natychmiast przystąpiliśmy do inwentaryzacji obiektu. Zespół pod moim kierownictwem w składzie: doświadczony inżynier Sergiej Sawow, dyplomant Rafał Krajewski (student SiMR PW), doktorant Piotr Szponder (SiMR PW), korzystając z życzliwości dyrekcji Muzeum Wojska Polskiego, sporządzili dokumentację 3D i 2D, w oparciu o którą za niedługo odbudujemy replikę pojazdu.

Silnik pozyskany w Józefowie przetrwał dzięki uporowi taty pana Zbigniewa Denki, który był zdolnym samoukiem konstruktorem. Wykorzystywał go do napędu >>>

www.odkrywca.pl

>>> prądnicy 24 V generującej napięcie do oświetlenia domu oraz do napędu prądnicy 80 V, która w układzie z silnikiem pracowała jak spawarka wirowa. Minusem tego zastosowania były przeróbki i zmiany konstrukcyjne w układzie przekazania napędu. Wymagało to odbudowy niektórych elementów. Na szczęście napęd lewej gąsienicy jest lustrzanym odbiciem prawej, więc z dorobieniem brakujących elementów nie było technicznych problemów, pozostały tylko finansowe. Silnik po próbie na zaimprowizowanej hamowni został zainstalowany do repliki pojazdu.

Problem, jakim było zaprojektowanie, oprzyrządowanie i wykonanie ogniw gąsienicy (po 50 szt. na każdą stronę) też został rozwiązany. Ogniwa gąsienicy wykonane zostały z tłoczonych elementów blaszanych, zgrzewanych punktowo. Każde ogniwo składa się z pięciu detali blaszanych + sworzeń + zawleczki sztuk 2 (do każdego sworznia).

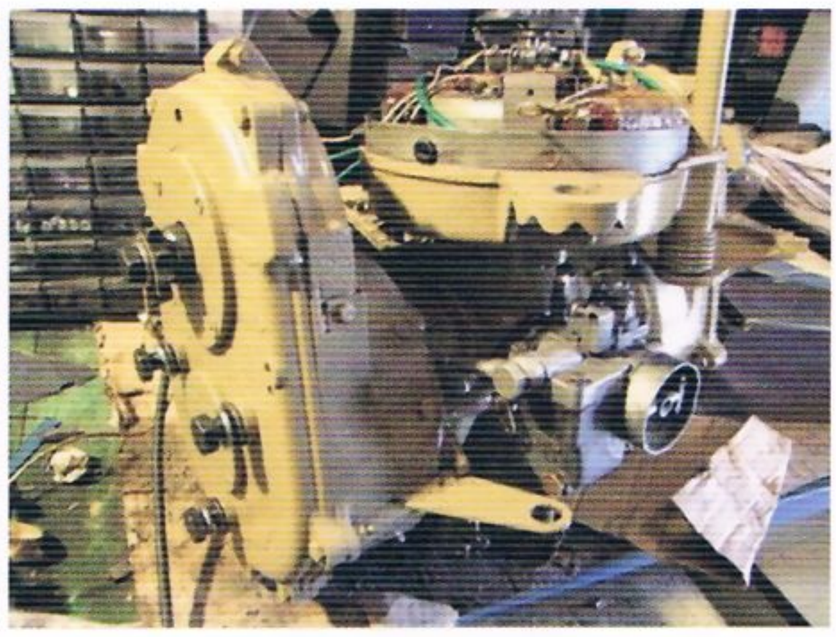

Wszystkie planowane cele zrealizowaliśmy do 15 kwietnia, kiedy na Wydziale SiMR Politechniki Warszawskiej podczas sympozjum „Historyczny Rozwój Konstrukcji Pojazdów" odbyła się prezentacja pojazdu. Wzbudziła ona wielkie zainteresowanie pracowników naukowych Politechniki Warszawskiej, muzealników, kolekcjonerów, redaktorów czasopism motoryzacyjnych i rzeczoznawców.

Kopie ogniw gąsienic zamodelowane w technologii inżynierii odwrotnej, wykonane wg pomysłu opracowanego w Biurze Rekonstrukcyjno-Technologicznym Zabytkowej Inżynierii Pojazdowej.

Dotrzymaliśmy słowa, zrealizowaliśmy obietnicę, złożoną żyjącym Powstańcom Warszawskim, o budowie repliki Goliatha, aby z udziałem Grup Rekonstrukcji Historycznych pokazać młodzieży, co Oni przeżywali, broniąc barykady atakowanej przez samobieżną minę wypełnioną 100 kg dynamitu i zdalnie detonowaną.

W czasie powstania teren Politechniki Warszawskiej był wielokrotnie atakowany z wykorzystaniem Goliathów. 19 sierpnia

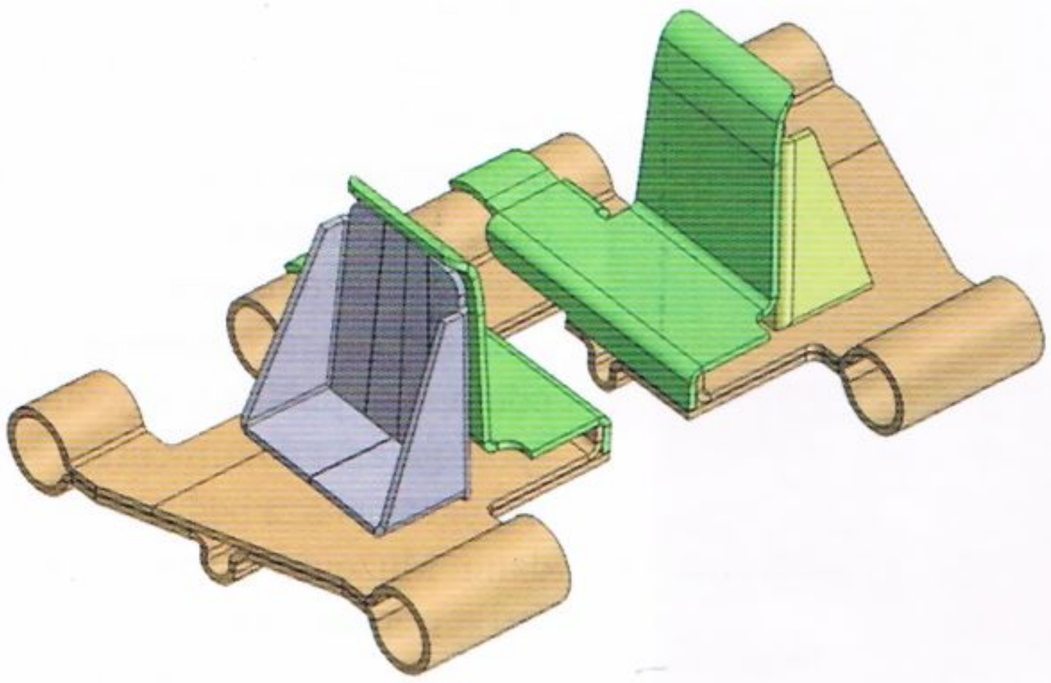

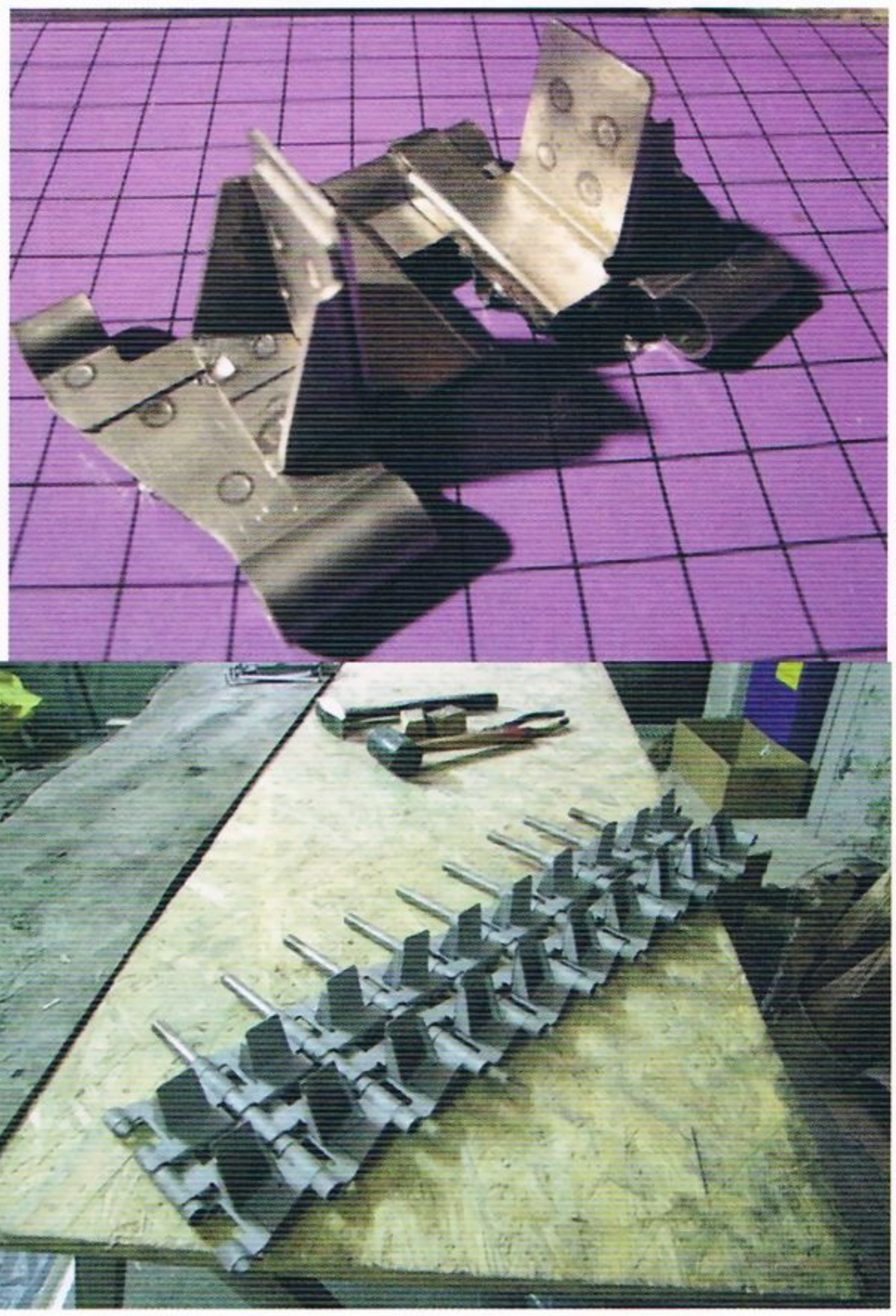

fot. Biuro Rekonstrukcyjno–Technologiczne Zabytkowej Inżynierii Pojazdowej

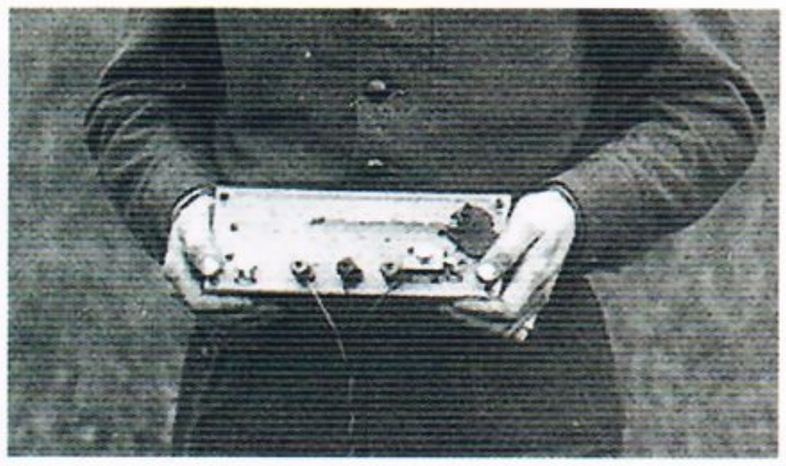

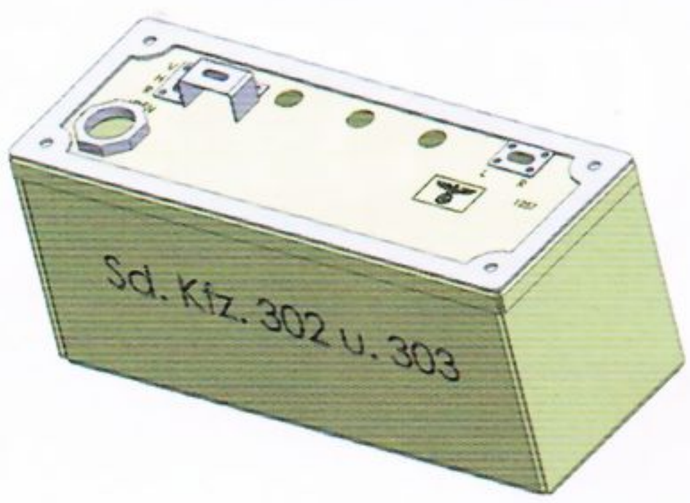

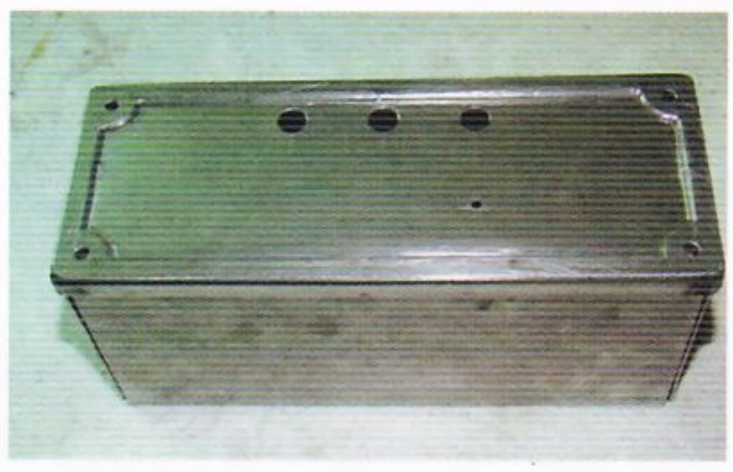

1944 roku Niemcy skierowali je na teren Politechniki od strony kotłowni. Robią one wyrwę do I piętra w murze o grubości 1 m. Przez ten wyłom na teren Politechniki Niemcy dostali się z miotaczami ognia.

Goliathy były bardzo groźną bronią. Kilka pojazdów udało się bohaterskim powstańcom unieszkodliwić, były wtedy źródłem zaopatrzenia w materiał wybuchowy.

Prezentację na Wydziale SiMR Politechniki Warszawskiej pomogli zorganizować członkowie Grup Rekonstrukcyjnych: Zgrupowania „Radosław", Towarzystwa Pamięci 7 Pułku Ułanów Lubelskich (studenci Wydziału SiMR), Plutonu 1112 „JELEŃ" (harcerze z Mińska Mazowieckiego), Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznej AA7. <

Zbigniew Nowosielski
Biuro Rekonstrukcyjno-Technologiczne Zabytkowej Inżynierii Pojazdowej
www.br-tzip.pl
e-mail: zn.serwis.sos@o2.pl.

Prof. M. Pyrz i mgr inż. Z. Nowosielski po prezentacji kopii Goliatha podczas Ogólnopolskiego Sympozjum Historyczny Rozwój Konstrukcji Pojazdów na wydziale SiMR PW.

REKLAMA

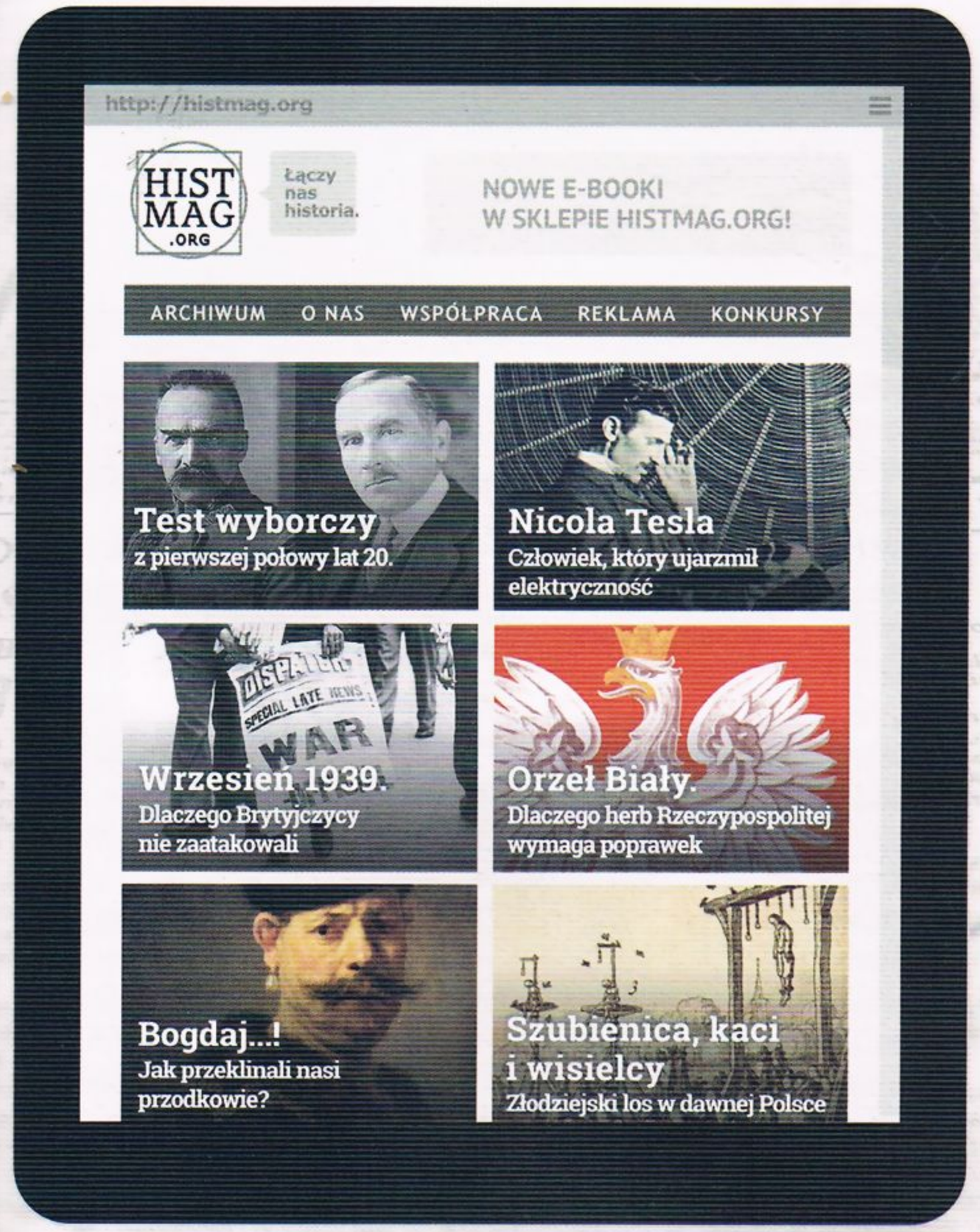

Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!

HIST MAG .ORG

Łączy nas historia!
www.histmag.org

OSTATNIE STRZAŁY POD

MACIEJ SZCZEREPA

Niemcy bronili się w rejonie zamku właściwie do końca, do północy dnia 8 na 9 maja 1945 roku...

Na początku maja 1945 roku nad zamkiem Czocha w dalszym ciągu powiewała hitlerowska flaga, a linia frontu przebiegała kilkanaście kilometrów na północ od tej średniowiecznej warowni. Front w tym rejonie ruszył dopiero w godzinach porannych 8 maja 1945 roku, kiedy to z rejonu Nowogrodźca do natarcia przeszła radziecka 54 Dywizja Strzelecka. W drugiej połowie dnia nieopodal zamku Czocha, nad rzeką Kwisą i utworzonym w 1905 roku na niej zbiorniku zaporowym zwanym Jeziorem Leśniańskim doszło do potyczki z cofającymi się Niemcami. Epizod ten jest całkowicie nieznany w historiografii, a jego opisanie stało się możliwe dzięki odtajnionym radzieckim archiwaliom.

54 Dywizja Strzelecka dowodzona przez pułkownika Gawriła Bułanowa wchodziła w skład 71 Korpusu Strzeleckiego generała majora Siergieja Kniaźkowa. Ten natomiast był częścią 31 Armii generała lejtnanta Piotra Szafranowa, która w kwietniu 1945 roku została przerzucona z Prus Wschodnich na Pogórze Izerskie oraz Pogórze Kaczawskie i podporządkowana 1 Frontowi Ukraińskiemu dowodzonemu przez marszałka Iwana Koniewa. Z dziennika działań bojowych 31 Armii wynika, że 5 maja 1945 roku 71 Korpus Strzelecki trzema dywizjami (54, 88, 331[1]) zajmował przeszło 30 km rubieży obronnej, poczynając od Nawojowa Śląskiego po Twardocice. Dywizja Bułanowa zajmowała pozycje na wschodnim brzegu Kwisy od Nawojowa Śląskiego przez południowe przedpola Nowogrodźca do wzniesienia 255,6 w pobliżu Gościszowa. W skład dywizji wchodziły między innymi trzy pułki strzeleckie (81, 118, 337) oraz 86 Pułk Artylerii. Sztab dywizji mieścił się w Ocicach. Naprzeciwko pozycje obronne zajmowały oddziały niemieckie z 37 Regimentu Grenadierów, wchodzące w skład 6 Dywizji Piechoty[2].

W dniu 6 maja 1945 roku 1 Front Ukraiński rozpoczął operację praską. W sektorze zajmowanym przez 54 Dywizję Strzelecką natarcie rozpoczęło się dwa dni później. 7 maja w godzinach porannych pułkownik Gawrił Bułanow otrzymał ze sztabu korpusu w Starych Jaroszowicach pod Bolesławcem rozkaz rozpoczęcia uderzenia 8 maja o godzinie 4.00. Zgodnie z nim 54 Dywizja Strzelecka po krótkim przygotowaniu artyleryjskim miała przerwać linię niemieckiej obrony i do końca dnia osiągnąć przedpola Lubania. Wzdłuż wschodniego brzegu Kwisy natarcie miał prowadzić 337 Pułk Strzelecki, w centrum 118 Pułk Strzelecki, a z okolic Mściszowa i Gościszowa – 81 Pułk Strzelecki. Wyprzedzając fakty, wspomnieć należy, że sytuacja militarna, jaka się wytworzyła 8 maja 1945 roku w pasie natarcia dywizji, pozwoliła jej na osiągnięcie większych zdobyczy terenowych i dotarcie do brzegów Kwisy i Jeziora Leśniańskiego w okolicach Bożkowic, nieopodal zamków Rajsko i Czocha.

Miejsce forsowania Kwisy przez 54 Dywizję Strzelecką w nocy z 8 na 9 maja 1945 roku.

Starcia nad Kwisą i Jeziorem Leśniańskim

Przyjrzyjmy się działaniom tych pułków strzeleckich dywizji, które 8 maja 1945 roku dotarły między innymi w pobliże zamku Czocha. Zacznijmy od 118 Pułku Strzeleckiego dowodzonego przez podpułkownika Wołkowa, który jako pierwszy dotarł do Kwisy i Jeziora Leśniańskiego. Zajmował on pozycje w centrum,

fot. Robert Zawadzki, Maciej Szczerepa

ZAMKIEM CZOCHA

Dawna pocztówka okolic Leśnej. Na jednym ze zdjęć most na Kwisie, który został wysadzony w ostatnich godzinach wojny przez Niemców.

w sektorze na południowy wschód od Nowogrodźca. Jak odnotowano w dzienniku 118 Pułku Strzeleckiego, przeciwnik na jego odcinku nie przejawiał aktywnych działań bojowych. Co ciekawe, rozkaz do natarcia pułk otrzymał ze sztabu dywizji dopiero o godzinie 3.00, a więc godzinę przed planowanym uderzeniem. Błyskawicznie wysłano grupy zwiadowców, którzy otrzymali zadanie rozpoznania stanowisk niemieckich. Ci szybko wykonali zadanie i zameldowali, że te są ... puste. Okazało się bowiem, że w nocy z 7 na 8 maja 1945 roku oddziały niemieckie opuściły zajmowane pozycje i rozpoczęły odwrót w kierunku Lubania. Padł rozkaz rozpoczęcia natarcia. Po krótkim przygotowaniu artyleryjskim bataliony 118 Pułku Strzeleckiego ruszyły w pościg. Główne siły pułku na całej długości włamały się w głąb pozycji niemieckich, nie napotykając żadnego oporu. Po opanowaniu Uniegoszczy, wschodniej części Lubania i kompleksu leśnego na południowy wschód od miasta pułk około godziny 12.00 osiągnął wieś Grodnica, gdzie natknął się na zorganizowany opór przeciwnika. Była to ariergarda jednego z pododdziałów 6 Dywizji Piechoty, złożona ze wzmocnionej kompanii grenadierów, baterii moździerzy oraz dwóch lub trzech dział samobieżnych. Niemcy, wykorzystując liczne wzniesienia we wschodniej części wsi, próbowali powstrzymać marsz Rosjan. Bezskutecznie. Po krótkim pojedynku ogniowym Rosjanie wykonali kontratak, w wyniku którego odrzucili Niemców ze wsi. Ci pospiesznie wycofali się w kierunku położonych nad Jeziorem Leśniańskim Bożkowic. Po zajęciu Grodnicy pułk natychmiast ruszył w dalszy pościg za nieprzyjacielem, osiągając przedpola Bożkowic, bronionych przez hitlerowców. Z analizy wniosków nagrodowych pułku wynika, że potyczka o Bożkowice była największym starciem, jakie stoczył on w ostatnich dniach wojny. Co najmniej kilkunastu żołnierzy pułku za swoją postawę na polu walki w dniach 8–9 maja 1945 roku odznaczono później Medalem za Odwagę. Tak było w przypadku szeregowca Stiepana Niebolszina. Tuż przed natarciem na Bożkowice Rosjanie przeprowadzili rozpoznanie. Grupa zwiadowców, w której był też Niebolszin, rozpoznała stanowiska ogniowe Niemców, a podczas wypełniania zadania natknęła się na grupę żołnierzy przeciwnika. Najwięcej zimnej krwi zachował właśnie Niebolszin. Miał on ogniem z automatu zastrzelić pięciu Niemców i pomóc towarzyszom w schwytaniu jeńca. Po przeprowadzeniu rozpoznania Rosjanie uderzyli na Bożkowice. Przy wsparciu baterii dział 45 mm oraz pułkowych moździerzy, które celnym ogniem obezwładniały stanowiska niemieckich erkaemów i kaemów, czerwonoarmiści zdecydowanym atakiem wtargnęli do tej wsi, wyrzucili >>>

>>> z niej przeciwnika i ją opanowali. W czasie walki o Bożkowice zasłużył się między innymi strzelec z 2 kompanii Piotr Martynow. Był on w gronie tych żołnierzy, którzy pierwsi osiągnęli zabudowania wsi. Granatem zlikwidował obsługę niemieckiego erkaemu, dzięki czemu jego kompania mogła także wedrzeć się do wsi. Odznaczono go później Medalem za Odwagę.

Tymczasem Niemcy wycofali się z Bożkowic przez most i kładki na Kwisie na południowy brzeg rzeki i Jeziora Leśniańskiego, gdzie zajęli pozycje obronne w rejonie wsi Stankowice i zamku Czocha oraz wzdłuż Kwisy w stronę Jeziora Złotnickiego. Wszystkie przeprawy zostały wysadzone w powietrze. Taki bieg wydarzeń skutecznie powstrzymał natarcie czerwonoarmistów, choć trzeba przyznać, że bardzo blisko przejęcia mostu na Kwisie w Bożkowicach był pluton starszego sierżanta Aleksieja Iwanowa. Spóźnił się jednak i nie zdołał uchwycić strategicznej przeprawy przed odwrotem Niemców.

8 maja Bożkowice nad Jeziorem Leśniańskim osiągnął jeszcze 81 Pułk Strzelecki. Dowodził nim pułkownik Sołogub, a jego bataliony tego dnia nacierały na lewo od 118 Pułku Strzeleckiego z rejonu Mściszowa i Gościszowa. O godzinie 4.00 rozpoczęły uderzenie, a już pół godziny później czołówki pułku bez większych problemów osiągnęły przedni skraj niemieckiej obrony. W ciągu kolejnych trzydziestu minut pierwsza linia transzei przeciwnika została zajęta, przy niewielkim oporze ze strony Niemców. Tu także okazało się, że niedługo przed atakiem oddziały niemieckie zaczęły się wycofywać. Rozpoczął się pościg. Pułk w bojowym szyku wkroczył do Mściszowa, po czym ruszył w ślad za Niemcami przez Radostów Średni, Radostów Górny, Olszynę, gdzie skręcił w kierunku Bożkowic. Na drodze Olszyna – Bożkowice czerwonoarmistów na chwilę tylko zatrzymał ostrzał z niemieckiego działa 75 mm, zajmującego stanowisko w okolicach Biedrzychowic. O godzinie 18.00 czołowe oddziały pułku osiągnęły zdobyte już przez 118 Pułk Strzelecki Bożkowice oraz brzeg Jeziora Leśniańskiego.

Forsowanie Kwisy w rejonie zamku Czocha

Oba radzieckie pułki rozłożyły się na północnym brzegu Kwisy i Jeziora Leśniańskiego, gdzie przeszły do obrony. Szczególnie

Pozostałości po wysadzonym moście na Kwisie w rejonie Bożkowic – widok z południowego brzegu.

Pozostałości wysadzonego mostu na Kwisie w rejonie Bożkowic — widok z północnego brzegu.

fot. Robert Zawadzki, Maciej Szczerepa

zabezpieczono prawe skrzydło, gdyż po tej stronie rzeki w rejonie zapory na Jeziorze Leśniańskim i Baworowa było ugrupowanie niemieckie broniące podejścia do Leśnej. Z przeprowadzonych badań terenowych wynika jednak, że Rosjanie nie wykonali na północnym brzegu żadnych większych prac o charakterze obronnym lub nie zachowały się po nich ślady. Z kolei na południowym brzegu do dziś ciągnie się wzdłuż Kwisy od Jeziora Leśniańskiego do Jeziora Złotnickiego świetnie zachowany kilkukilometrowy pas okopów i stanowisk, które w maju 1945 roku częściowo obsadzili Niemcy. W niektórych sektorach, zwłaszcza w rejonie wysadzonych przepraw oraz miejsc dogodnych do przeprawy, znaleziono łuski i elementy niemieckiego wyposażenia wojskowego.

Sowieci prowadzili intensywne rozpoznanie północnego brzegu Kwisy, szukając miejsc dogodnych do przeprawy, oraz przygotowywali podręczne środki przeprawowe. Zadania nie ułatwiali im Niemcy, którzy, co potwierdziły badania terenowe, prowadzili ostrzał karabinowy i moździerzowy. Po północy 9 maja ogień z pozycji niemieckich umilkł. W tym samym mniej więcej czasie do Rosjan dotarła radosna informacja o bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy. Do godziny 2.00, 9 maja 1945 roku żołnierze obu pułków zdołali zbudować kilka tratw, natychmiast >>>

Łuski niemieckie na południowym brzegu Kwisy w rejonie Stankowic.

JAK ROSJANIE DOTARLI DO ZAMKU CZOCHA 9 MAJA 1945 R.

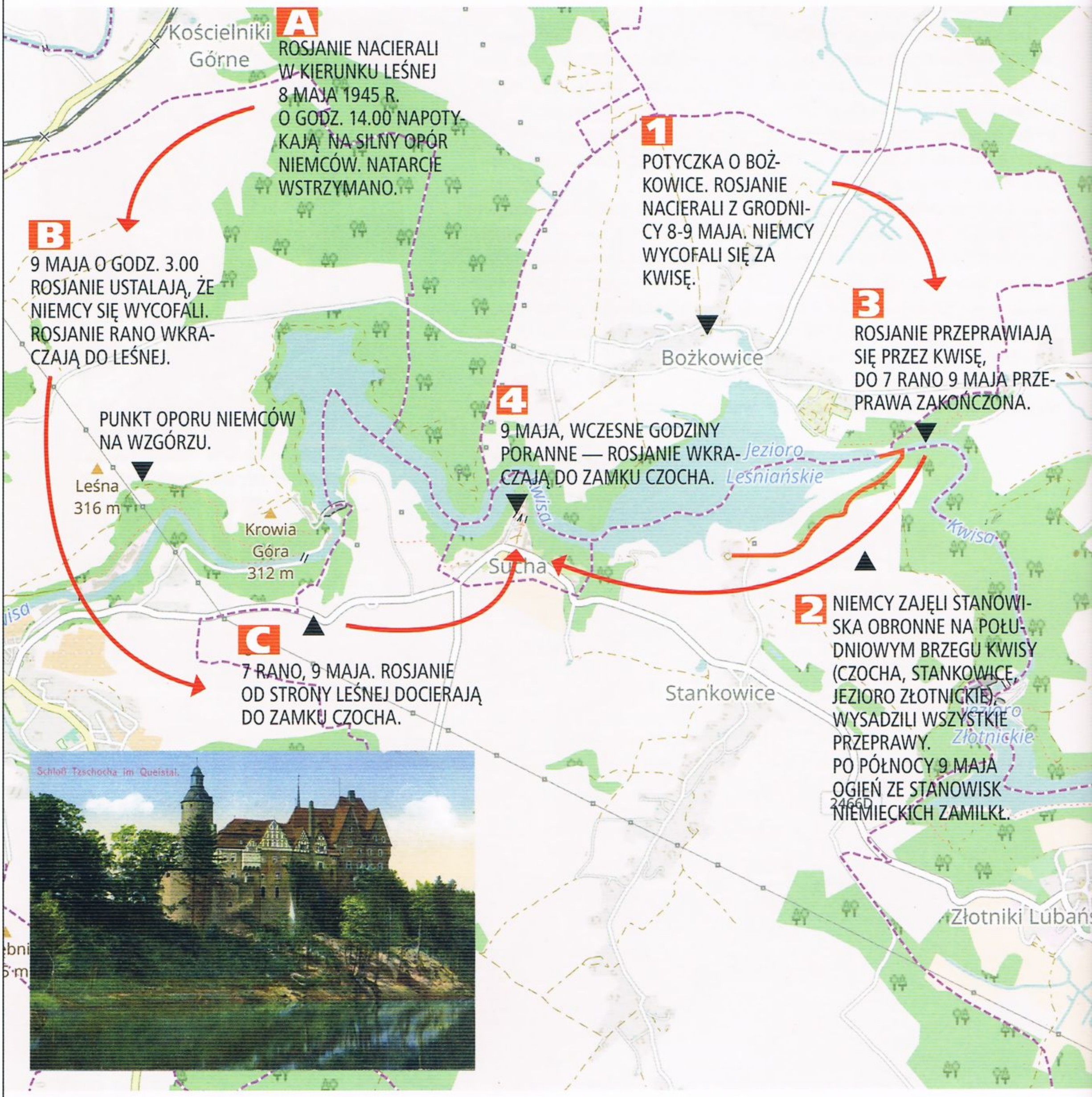

>>> rozpoczęto forsowanie Kwisy. Na południowym brzegu rzeki panowała zupełna cisza, nie padł żaden strzał. Pierwsi czerwonoarmiści, którzy przeprawili się na drugi brzeg, zabezpieczyli rejon przeprawy. Rosjanie natychmiast wykorzystali sytuację. Z podręcznych materiałów zbudowano kładkę, którą przerzucono przez wysadzony most. Akcja przebiegała na tyle sprawnie, że wkrótce zarzucono przeprawę piechoty tratwami, które zaczęto wykorzystywać do transportu cięższego uzbrojenia, w tym erkaemów i cekaemów. Do godziny 7.00 przeprawa była zakończona.

Tymczasem czerwonoarmiści, którzy stopniowo przeprawiali się na drugi brzeg przeprowadzili rozpoznanie wsi Stankowice.

Zamek Czocha na dawnej pocztówce.

We wczesnych godzinach porannych 9 maja 1945 roku radziecki patrol dotarł także do zamku Czocha. Generalnie żołnierzy niemieckich nigdzie nie było, choć we wniosku nagrodowym starszego sierżanta Dmitrija Nowikowa, który jako pierwszy żołnierz 118 Pułku Strzeleckiego przeprawił się na południowy brzeg Kwisy, odnotowano, że w rejonie Stankowic

www.odkrywca.pl

zlikwidował on czterech żołnierzy niemieckich. Nie jest jasne, czy należeli oni do jakiejś niewielkiej grupy osłonowej, czy też byli to zwykli maruderzy.

Około godziny 7.00 szosą od strony Leśnej nadjechała kolumna samochodów z artylerią. Była to kolumna transportowa 81 Pułku Strzeleckiego, którego pojazdy wykonały objazd z Bożkowic przez Leśną do Suchej i Stankowic. Taki manewr był możliwy dzięki 337 Pułkowi Strzeleckiemu podpułkownika Jurina z 54 Dywizji Strzeleckiej. Jego żołnierze od godzin porannych 8 maja 1945 roku nacierali na prawo od 118 Pułku Strzeleckiego wzdłuż brzegu Kwisy w kierunku Lubania, a następnie Leśnej. Także i tu przeciwnik wycofywał się na całej linii. O godzinie 14.00, gdy pułk osiągnął rejon pomiędzy Kościelnikami Górnymi a Baworowem, natknął się na zorganizowany opór przeciwnika, który bronił podejścia do Leśnej. Rosjanie zostali zmuszeni do zajęcia pozycji obronnych. Główne pozycje niemieckie były zlokalizowane na wzniesieniu 315,7 (na wschód od Baworowa). Niemcy kontrolowali także zaporę na Jeziorze Leśniańskim. Pułk był ostrzeliwany ogniem kaemów, moździerzami 81 mm oraz baterii, prawdopodobnie zdobycznych radzieckich haubic 122 mm (ich stanowiska znajdowały się na południowy zachód od Leśnej). Rosjanie ponieśli straty. Miały one wynieść 11 zabitych i 19 rannych. Opór niemiecki był na tyle silny, że natarcie Rosjan w tym dniu zostało zatrzymane. W świetle źródeł radzieckich Leśna nie została więc opanowana przez Armię Czerwoną 8 maja 1945 roku, jak niekiedy podaje się w polskiej literaturze. Radzieccy zwiadowcy do godziny 3.00 9 maja 1945 roku ustalili, że Niemcy opuścili swoje pozycje w tym sektorze i się wycofali. Wykorzystując to, 337 Pułk Strzelecki we wczesnych godzinach porannych natychmiast wkroczył do Leśnej i bez walki zajął miasto, a następnie ruszył dalej w kierunku Czech.

W pościg za uchodzącymi oddziałami niemieckiej 6 Dywizji Piechoty wyruszyły także z rejonu Stankowic i zamku Czocha 81 i 118 Pułk Strzelecki. Droga pierwszego wiodła ze Stankowic przez Giebułtów, Nové Město pod Smrkem, gdzie jeszcze w nocy z 7 na 8 maja 1945 roku kwaterował sztab 6 Dywizji Piechoty. Ostatecznie pod koniec dnia pułk osiągnął wieś Bílý Potok. Ten drugi z kolei ze Stankowic, maszerując przez Świecie i Nové Město pod Smrkem, również osiągnął rejon tej wsi. Tak opisano ten dzień w dzienniku działań bojowych pułku: „po drodze pułk oczyszczał miejscowości z żołnierzy przeciwnika, którzy składali broń i poddawali się do niewoli. Strat w składzie osobowym i uzbrojeniu nie było. Lotnictwo przeciwnika nie prowadziło działań. Nasze lotnictwo prowadziło loty rozpoznawcze[3]".

Niemieckie okopy na południowym brzegu Kwisy w rejonie Stankowic.

W następnych dniach 54 Dywizja Strzelecka wykonywała zadania w Górach Izerskich w rejonie miasta Tanvald. 11 maja 1945 roku marszałek Iwan Koniew wydał rozkaz nakazujący 31 Armii przemieścić się na obszar położony na północ od Gór Izerskich. Wszystkie dywizje z wyjątkiem 88 Dywizji Strzeleckiej, która pozostała w rejonie Tanvald i Jablonca nad Nisou, miały do końca 13 maja ześrodkować się w wyznaczonych rejonach na Pogórzu Izerskim i Pogórzu Kaczawskim. Dla 54 Dywizji Strzeleckiej jako sektor ześrodkowania wyznaczono Leśną, Świecie, Bożkowice. Jej pułki ruszyły w drogę w godzinach porannych 12 maja i do końca następnego dnia osiągnęły wyznaczone miejsca, gdzie stacjonowała przez kilka kolejnych tygodni.<

Maciej Szczerepa
Historyk, regionalista i publicysta. Zainteresowania: działania militarne na Śląsku i Łużycach w 1945 roku. Współautor książek „Bóbr 1945. Za liniami wroga", „Legnica 1945", „Kierunek Festung Breslau".

ŹRÓDŁA I LITERATURA

ЦАМО, фонд: 33, опись: 690306, ед.хранения:519, № записи: 40493177, Приказ подразделения №: 33 от: 20.05.1945
ЦАМО, фонд: 33, опись: 686196, ед.хранения:7007, № записи: 27517593, Приказ подразделения №: 35 от: 29.05.1945
ЦАМО, фонд: 33, опись: 686196, ед.хранения:6534, № записи: 28943890, Приказ подразделения №: 36 от: 29.05.1945
ЦАМО, фонд: 33, опись: 686196, ед.хранения:7007, № записи: 27517630, Приказ подразделения №: 37 от: 29.05.1945
ЦАМО, Журнал боевых действий войск 31 А за май 1945 г.
ЦАМО, Журнал боевых действий 81 сп за май 1945 г.
ЦАМО, Журнал боевых действий 118 сп за май 1945 г.
ЦАМО, Журнал боевых действий 337 сп с 30.07.1944 по 10.06.1945 г.
ЦАМО, Боевой приказ штаба 71 ск с 10.00 с 07.05.1945 г.
Horst Großmann, Geschichte der rheinisch-westfälischen 6. Infanterie-Division 1939 – 1945, Bad Nauheim 1958
http://www.lexikon-der-wehrmacht.de/

PRZYPISY

[1] W nocy z 6 na 7 maja 1945 roku korpus przekazał 331 Dywizję Strzelecką 36 Korpusowi Strzeleckiemu 31 Armii.
[2] http://www.lexikon-der-wehrmacht.de/Gliederungen/Infanteriedivisionen/6ID.htm [dostęp: 9 kwietnia 2017 r.]
[3] ЦАМО, Фонд 6447, Опись 61760, Дело 10: Журнал боевых действий 118 сп за май 1945 г., s.2.

fot. Robert Zawadzki, Maciej Szczerepa

www.odkrywca.pl

WALTHER SCHNURR

Walther Julius Schnurr

DYREKTOR ZAKŁADÓW DAG WERK CHRISTIANSTADT. PAPIEŻ MATERIAŁÓW WYBUCHOWYCH III RZESZY

CZĘŚĆ 2

MIŁOSZ GROBELNY

DAG Fabrik Christianstadt (1942–1945)

Prowincja Trzeciej Rzeszy Niemieckiej, powiat Sorau, miasteczko nad rzeką Bóbr – Christianstadt. To właśnie tutaj w 1939 roku ruszyły prace nad przygotowaniem terenu pod przyszłą budowę nowego kompleksu zbrojeniowego. W niespełna dwa lata później, w styczniu 1941 roku, Verwertchemie przejęło budynki od biura budowlanego DAG Bauleitung. Cztery miesiące później (kwiecień 1941 rok)[1] ruszyła produkcja w obiektach Werk Christianstadt.

W 1942 roku[2], gdy Schnurr przybył do Christianstadt, duża część budynków była już oddana do użytku. Na 17 km^2 ogrodzonego terenu powstały zakłady poboru i uzdatniania wody, ciepłownie i hale turbin. Według założeń nakreślonego planu, ostatecznie miał on składać się z około 800 budowli.

Zakład umownie podzielono na dwie części. W południowej – strefie produkcyjnej o kryptonimie „Ulme" – wybudowano cztery linie produkcji nitrocelulozy. Ich końcowy produkt zaopatrywał m.in. zakłady Deutsche Sprengchemie w Forst. Strefa o kryptonimie Rüster, która znajdowała się w północnej części fabryki, wpisana została w plan produkcji heksogenu. Tam funkcjonował również zakład kwasów, tzw. Säure Werkstadt; na jego terenie kombinat produkował na własne potrzeby kwas azotowy – surowiec niezbędny w produkcji materiałów wybuchowych.

Do zakładu Verwertchemie dr Schnurr przyjechał ze swoją najbliższą rodziną. Szwagrowi, dr. Heinzowi Ratzowi, powierzył kierowanie strefą o kryptonimie Rüster, w której to podjęta została produkcja heksogenu na dużą skalę. Tego samego krewniaka obsadził również na stanowisku kierowniczym w stacji elaboracji bomb[3].

Przez cały okres sprawowania funkcji dyrektora fabryki w Christianstadt, Schnurr z pewnością nie mógł nie spotkać się ze zjawiskiem, które do końca II wojny światowej napędzało gospodarkę niemiecką i funkcjonowanie obiektów militarnych, w tym również DAG Fabrik Christianstadt – eksploatacją do granic możliwości robotników i jeńców wojennych jako niewolniczej siły roboczej. Tych w Christianstadt były tysiące. Szacuje się, że w momencie przybycia naukowca do kombinatu, pracowało tam około 7 tys. robotników różnych narodowości, zakwaterowanych w barakach, uformowanych w obozy mieszkalne otaczające kombinat. Większość topornych, drewnianych konstrukcji obozowych znajdowała się przy bramach wjazdowych do Fabrik Christianstadt. Wjeżdżając na teren zakładu, nie sposób było ich nie zauważyć. Jedna z robotnic po wojnie zeznała, że utkwił jej w pamięci widok kadry naukowej zakładów, którego członkowie „byli na terenie naszego obozu i chodzili w białych fartuchach[4]". Były to najbliższe osoby z otoczenia dr. Schnurra: dr Winter, dr Kaiser…

Południowo-zachodnie obrzeża fabryki w Christianstadt. Widok na jeden z pięciu ogromnych silosów na metanol, czyli alkohol metylowy. Był on jednym z głównych surowców produkcyjnych dla procesów realizowanych na terenie kombinatu. Potencjał był na tyle ogromny, że zużywano tysiące litrów metanolu. Dla zachowania ciągłości produkcji trzeba go było magazynować. Stan współczesny.

W wyniku wyczerpującej pracy, złych warunków bytowych, psychicznego i fizycznego terroru ze strony brygadzistów oraz straży przemysłowej, jak i częstych wypadków, w tym również eksplozji, na terenie zakładu straciły życie setki pracowników. Interesującą informacją jest to, że przez większość czasu obecności Schnurra nie było tam jednostek SS. Za całość porządku odpowiadał on sam – „szef", jak

fot. fot. Zbiory Arquivo Nacional, Rio de Janeiro, Brasil, Cartões de Imigração, 1900-1965, Grupa 1, zdjęcie 48/203, 004556036, familysearch.org, Fotografia i zbiory Dariusz Chmielewski

www.odkrywca.pl

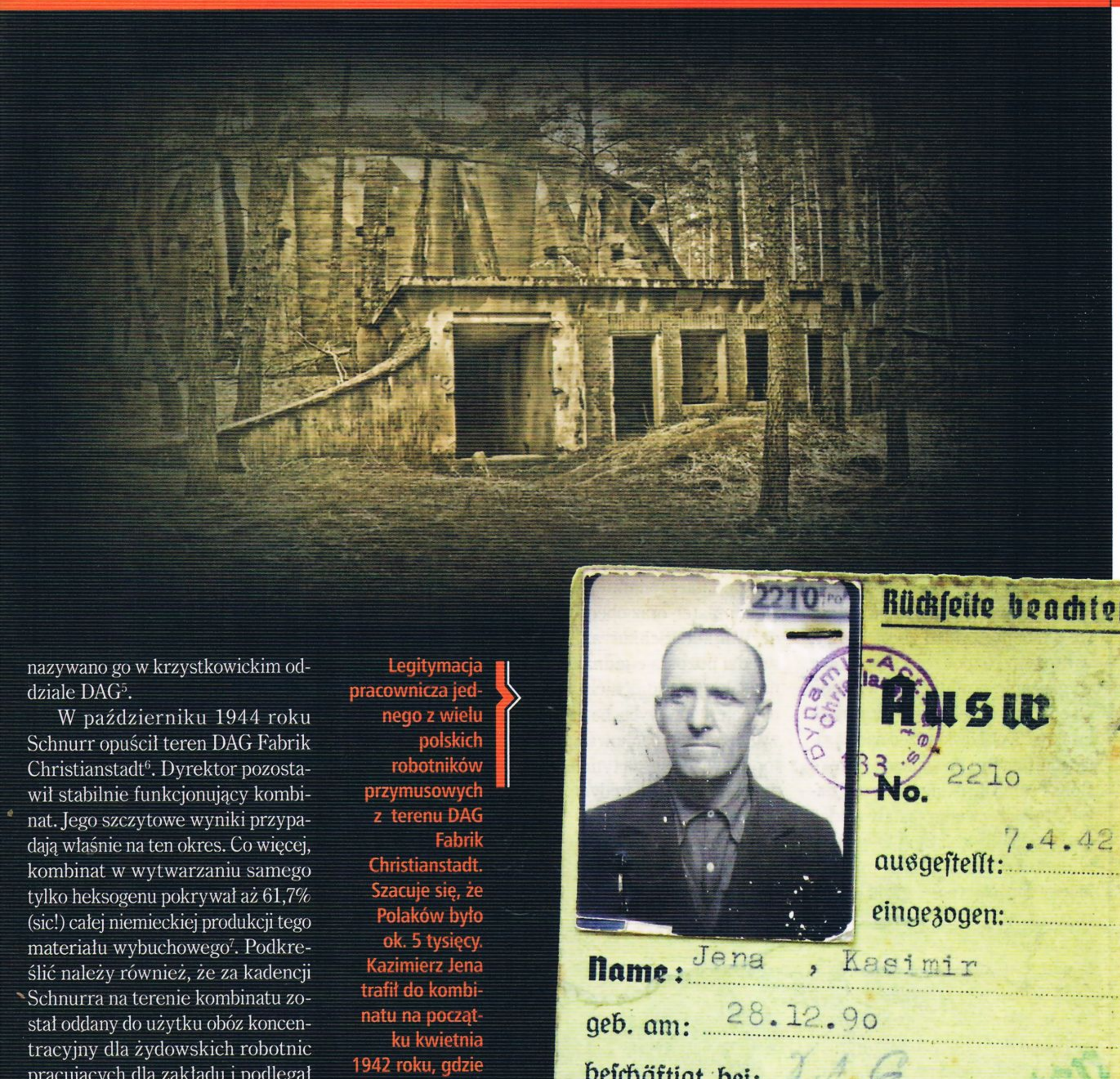

nazywano go w krzystkowickim oddziale DAG[5].

W październiku 1944 roku Schnurr opuścił teren DAG Fabrik Christianstadt[6]. Dyrektor pozostawił stabilnie funkcjonujący kombinat. Jego szczytowe wyniki przypadają właśnie na ten okres. Co więcej, kombinat w wytwarzaniu samego tylko heksogenu pokrywał aż 61,7% (sic!) całej niemieckiej produkcji tego materiału wybuchowego[7]. Podkreślić należy również, że za kadencji Schnurra na terenie kombinatu został oddany do użytku obóz koncentracyjny dla żydowskich robotnic pracujących dla zakładu i podlegał administracyjnie, jako jedna z filii, pod zarząd obozu Gross-Rosen[8]. Mniej więcej pomiędzy czerwcem a wrześniem 1944 roku Werk Christianstadt, przy współpracy z SS, rozpoczął wykorzystywanie pracy żydowskich kobiet z Polski, Niemiec, Czech i Węgier. W dowód uznania za szczególne wyniki w koncernie Schnurr otrzymywał pensję opiewającą na 19,920 RM rocznie[9].

Nowym dyrektorem zakładu został dr Ernst Thönert, naukowiec specjalizujący się >>>

Legitymacja pracownicza jednego z wielu polskich robotników przymusowych z terenu DAG Fabrik Christianstadt. Szacuje się, że Polaków było ok. 5 tysięcy. Kazimierz Jena trafił do kombinatu na początku kwietnia 1942 roku, gdzie Schnurr od kilku miesięcy pełnił już funkcje kierownicze.

www.odkrywca.pl

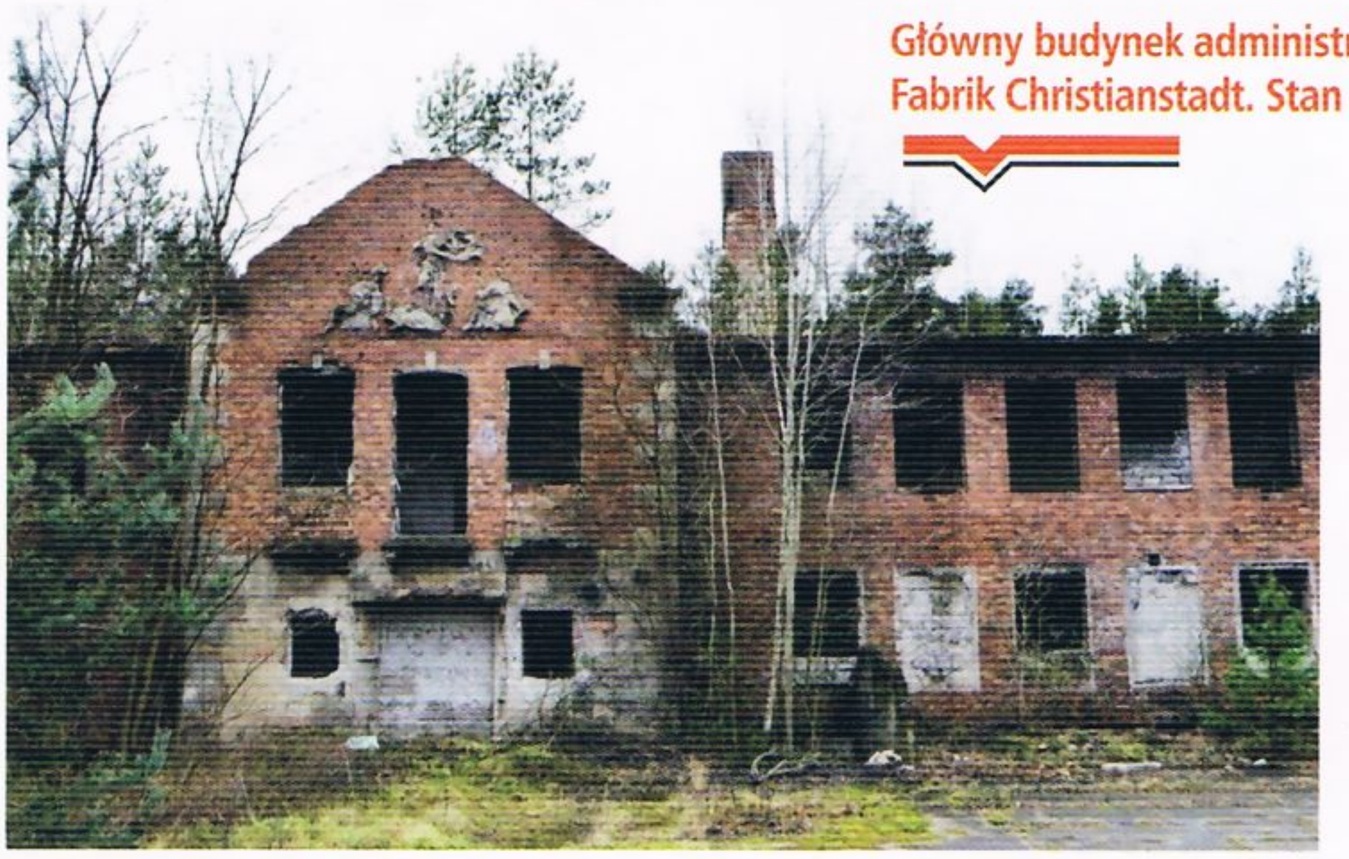

Główny budynek administracji na terenie DAG Fabrik Christianstadt. Stan obecny.

>>> w rozwiązywaniu problemów technicznych i naukowych w kombinacie. Wcześniej pełnił on funkcję głównego inżyniera nadzoru do spraw produkcji zakładu Verwertchemie[10].

Następca Schnurra otrzymał we władanie zakład zbrojeniowy, w którym rozpoczęto stopniowe wygaszanie produkcji ze względu na odgórne dyrektywy nakazujące ewakuację placówki przed nadciągającym frontem. Po walkach o rzekę Bóbr i sam Christianstadt, oddziały Armii Czerwonej zastały zakład praktycznie pusty. Było to w połowie lutego 1945. W tym miejscu należy zadać pytanie: gdzie w tym czasie przebywał dr Schnurr? Jedna z relacji rzuca światło na tę białą plamę w życiorysie naukowca. „Kiedy Ruscy zdobyli Śląsk, zakład [w Christianstadt – dop. aut.] ewakuowano do Hamburga-Krümmel, skąd musiałem razem z oddziałem specjalnym i dwoma samochodami ciężarowymi udać się do Hohensaaten nad Odrą, gdzie znajdowała się aparatura doświadczalna dr. Schnurra, którą mieliśmy demontować. Wszystkie te maszyny przybyły do Anschau nad rzeką Inn i tu zostały ponownie zmontowane. Byliśmy już gotowi z montażem, gdy pojawili się Amerykanie" – wspominał jeden ze ślusarzy Dynamit A.-G., Oskar Q[11]. Raport powojennego wywiadu U.S Army[12] potwierdza lokalizację placówki doświadczalnej na terenie zakładu Dynamit A.-G. Werk Hohensaaten oraz obecność w niej dr. Walthera Schnurra. Bez odpowiedzi pozostaje jednak pytanie, nad jakim zagadnieniem z dziedziny materiałów wybuchowych pracował niemiecki naukowiec, choć autor opowiada się za tym, że były to prace nad nitroguanidyną.

Papierowy druk od skrzyni transportowej (3 kg) „czołgołamaczy", magnetycznych granatów nasadowych o butelkowym kształcie. Były one używane przez niemieckie siły zbrojne w okresie II wojny światowej. O ile nie ma pewności, czy granaty pochodzące ze skrzyni były napełniane w zakładzie DAG Christianstadt, o tyle pewne jest, że materiałem wybuchowym, którym posłużono się do ich wypełnienia, był heksogen wyprodukowany właśnie w krzystkowickim zakładzie w 1944 roku.

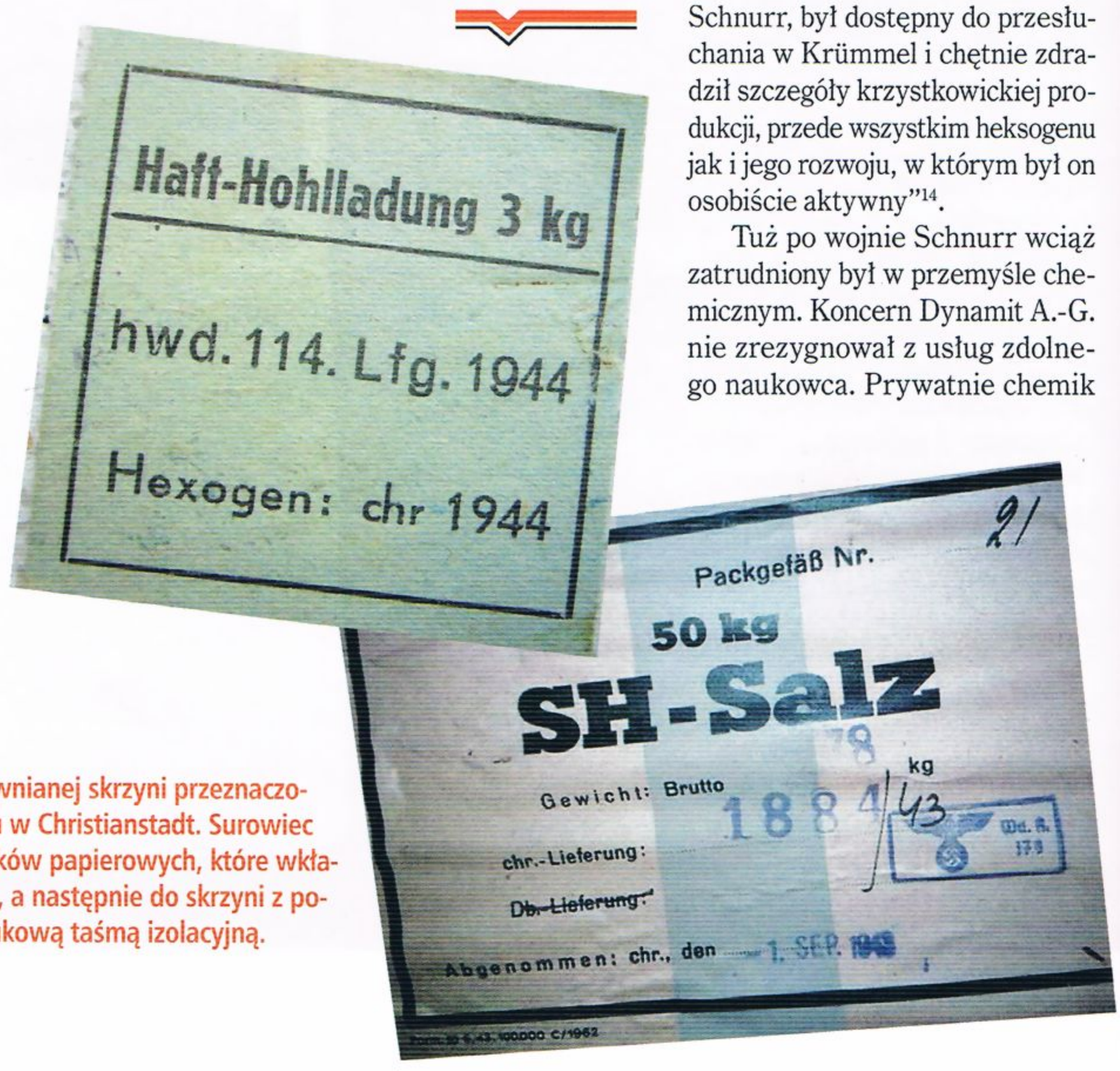

Fragment druku przyklejonego do drewnianej skrzyni przeznaczonej do transportu heksogenu z zakładu w Christianstadt. Surowiec pakowany był w ilości 12,5 kg do worków papierowych, które wkładano kolejno do pudełka tekturowego, a następnie do skrzyni z pokrywą zawiasową uszczelnianą kauczukową taśmą izolacyjną.

Okres powojenny 1945–1948

Na terenie zbombardowanych zakładów w Krümmel chemik dostał się w ręce brytyjsko-amerykańskiego Mieszanego Podkomitetu ds. Celów Wywiadu[13]. Podczas przesłuchań, które miały miejsce 28 maja 1945 roku, chętnie wyjawił cały proces technologiczny kombinatu. Na pierwszych stronach części III ściśle tajnego raportu o urzędniczej sygnaturze 2/79b, który został sporządzony m.in. na podstawie tych rozmów, możemy przeczytać: „Fabryka Dynamit A.G. w Christianstadt była usytuowana przy rzece Bóbr, około 100 mil na południowy wschód od Berlina. Była to dotąd także wewnętrzna rosyjska strefa i nie była w żadnym czasie dostępna do inspekcji. Była ona przedmiotem naszego szczególnego zainteresowania od czasu, gdy stała się największym producentem heksogenu, używającym bezpośrednio procesu nitrowania. Na szczęście jednak naczelny dyrektor krzystkowickiej fabryki, doktor Walther Schnurr, był dostępny do przesłuchania w Krümmel i chętnie zdradził szczegóły krzystkowickiej produkcji, przede wszystkim heksogenu jak i jego rozwoju, w którym był on osobiście aktywny"[14].

Tuż po wojnie Schnurr wciąż zatrudniony był w przemyśle chemicznym. Koncern Dynamit A.-G. nie zrezygnował z usług zdolnego naukowca. Prywatnie chemik

mieszkał w Troisdorf przy ulicy Kaiserstrasse 1. Lata 1945–1947 były dla niego czasem niepokoju o przyszłość pracodawcy, która związana była nierozłącznie ze skutkami transformacji przemysłu wojennego, jak i ograniczeń narzuconych w strefach okupacyjnych. Schnurr odpowiedzialny był za pozyskiwanie surowców do fabryk i ich nowego przeznaczenia. Utrzymał posadę i zaangażowany był głównie w badania nad materiałami zastępczymi – plastikami. W roku 1947 jego zarobki zmniejszyły się prawie o połowę w porównaniu z wcześniejszymi poborami i opiewały na kwotę 10,2 tys. RM rocznie[15].

W październiku 1947 roku, podczas obrad wchodzących w skład procesu nr 6 w Norymberdze, podjęto sprawę I.G. Farben. Walter Schnurr był przesłuchiwany w roli świadka. Zeznał on, że w latach 1937–1944 był odpowiedzialny za proces produkcji heksogenu w różnych zakładach Dynamit A.-G[16].

Warto w tym miejscu dodać, że dr Walther Schnurr w tym czasie znajdował się pod ścisłą obserwacją aliantów. Poddany został denazifikacji, otrzymując kategorię „V" – uwolniony od podejrzeń. Lustracja wykazała, że Schnurr nie był w okresie wojennym aktywny politycznie. Niejasne były również jego powiązania partyjne. Wstąpił do NSDAP w 1940 roku, choć data jego członkostwa została cofnięta do 1 maja 1937. Nie stwierdzono przynależności do innych organizacji politycznych. Nie wykazano również żadnych powojennych podejrzanych zachowań: „Schnurr jest lubiany przez wszystkich pracowników i jest darzony wielkim szacunkiem przez mieszkańców Troisdorf, mówi się, że to za sprawą jego »człowieczeństwa«, jak również ma dobre wyniki w badaniach naukowych, poza tym, pomimo powyższych, bardzo pomaga lokalnej społeczności. Jest żonaty, posiada trójkę dzieci w wieku od 4 do 8 lat – każde chore na gruźlicę i jest to do zaakceptowania, że żyje on tylko dla rodziny i swoich naukowych prac" – brzmiała wystawiona opinia Amerykanów pochodząca z dokumentu datowanego na dzień 12 kwietnia 1948 roku[17].

CDN <

Miłosz Grobelny
Historyk, jego zainteresowania badawcze skupiają się na przemyśle zbrojeniowym III Rzeszy z wyszczególnieniem sektora materiałów wybuchowych.

Główna siedziba DAG Fabrik Krümmel. To w tym budynku Walther Schnurr wpadł w ręce Aliantów.

Dom należący do rodziny Schnurrów w okresie II wojny światowej mieszczący się w Berlinie Lichterfelde na ulicy Weddigenweg 37.

PRZYPISY

[1] Pszczółkowski M., „Betonowa tajemnica Fabryki materiałów wybuchowych DAG", Muzeum Okręgowe im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy, Bydgoszcz 2010, s. 93.
[2] Loebner M., „Geheime Reichssache Christianstadt – Das Ende einer Kleinstadt zwischen Oder und Neiße sowie der Sprengstoff-Fabrik Ulme", dysertacja doktorska, Universität Hannover 2002., s. 97.
[3] Ibid., s. 84.
[4] OKBZPNP-IPN, sygnatura akt 1 Ds. 16/67, s. 78.
[5] Loebner M., op. cit., s. 84.
[6] Ibid., s. 82.
[7] Panufnik J. Jr., „Dynamit AG i zakłady Verwertchemie w Krzystkowicach", Wydanie prywatne, Zielona Góra 2009, s. 84.
[8] Loebner M., op.cit., s. 149.
[9] War Crimes – Procurement of Witnesses, Ref 808/PS/14/1, op.cit..
[10] Loebner M., op.cit., s. 82.
[11] Loebner M., op.cit., s. 81.
[12] Plants of Dynamit A G, vormal, Alfred Nobel & Co., Troisdorf, Clausthal, Krummel and Duneberg, Germany, United States Strategic Bombing Survey. Propelants Branch, U.S. G.P.O., 1947, s. 36.
[13] Ang. Combined Intelligence Objectives Subcommittee – CIOS.
[14] CIOS-Report PB 925,General Summary of Explosive Plants D.A.G. Krümmel, Düneberg, Christianstadt, zbiory NARA, kserokopia, arch. aut., s. 21.
[15] War Crimes – Procurement of Witnesses, Ref 808/PS/14/1, op.cit.
[16] Loebner M., op. cit., s. 97.
[17] War Crimes – Procurement of Witnesses, Ref 808/PS/14/1, op.cit.

fot. Prywatne zbiory autora, Sammlermarkt-Nord, Olaf Niemann, Bodo Kubrak, Źródło: Buxell G., (red.), 1865-1965, 100 Jahre Dynamit Nobel , Troisdorf 1965, s. 42..

CZOŁGI

Typowa sylwetka czołgu jest powszechnie znana. Jednak mają one długą historię, sięgającą nawet średniowiecza i w trakcie rozwoju technologicznego przybierały częstokroć zadziwiające kształty i nie mniej kuriozalne rozwiązania technologiczne.

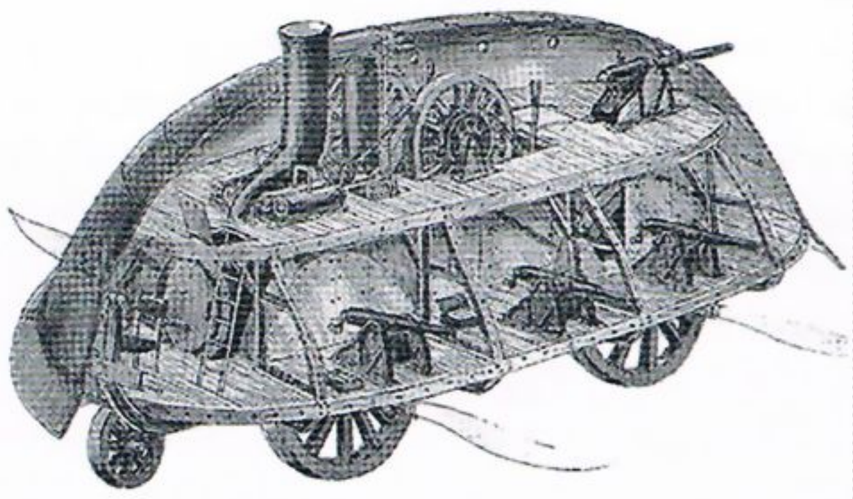

BITWA POD BAŁAKŁAWĄ

Wojna krymska, prowadzona w latach 1853–1856, rozegrała się w błotach i była pierwszą, w której znalazły zastosowanie rowy strzeleckie. Szybko też dała się odczuć potrzeba wozów przystosowanych do tych okoliczności i kilka machin tego typu miało oddać Anglikom usługi w bitwie pod Bałakławą. Jedną z nich był zbudowany w 1855 roku przez Anglika Jamesa Covena bojowy wóz opancerzony, poruszany siłą pary i uzbrojony w siedem armat oraz szybko wirujące sierpy. Ówczesny premier, lord Henry Palmerston, widząc ten projekt, wyraził się o nim: „utter nonsense" (kompletna bzdura) i nie uznał za celowe dalszego zajmowanie się nim.

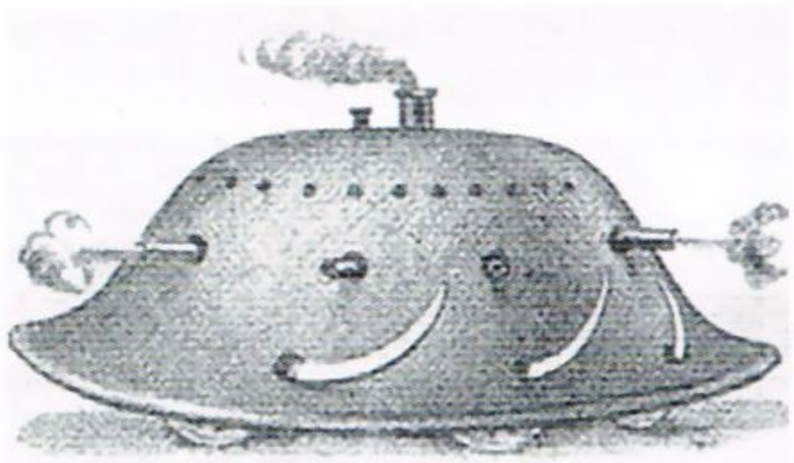

WAR-CAR

W latach dzielących wojnę krymską od wojny burskiej widzimy tu i ówdzie powracanie do idei czołgu pod taką czy inną postacią. W 1870 roku inżynier Nadar jako pierwszy zbudował bojowy wóz pancerny w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Funkcjonował bardzo sprawnie i odpowiadał warunkom podówczas prowadzonych wojen. Wysiłki kolejnych wynalazców szły w kierunku napędzanych silnikiem spalinowym pojazdów gąsienicowych. W roku 1886 Daimler wynalazł motor spalinowy. Był to wynalazek, który miał pozwolić na ostateczne rozwiązanie problemu czołgu. Frederic R. Simms urodził się w Hamburgu, wykształcenie pobierał w Niemczech, lecz i w Londynie. Znany jest jako brytyjski inżynier mechanik, biznesmen i płodny wynalazca, a zarazem pionier przemysłu motoryzacyjnego. Do historii przeszedł za sprawą pierwszego w świecie pojazdu pancernego (motor-war car), uzbrojonego w dwa karabiny maszynowe w obrotowych wieżyczkach i napędzanego silnikiem spalinowym.

Pojazd nazwany też lądowym okrętem (land ship) lub ruchomą fortecą (fortress car), wywarł na oglądających wielkie wrażenie. Simms zaprojektował go już w 1899 roku, a pojedynczy egzemplarz zbudowały zakłady Vickers, Sons and Maxim na podwoziu i silnikiem Daimlera. Uzbrojony został w dwa karabiny maszynowe Hiram >>>

www.odkrywca.pl

DZIWOLĄGI CZĘŚĆ 1.

JACEK JAWORSKI

>>> Maxim, umieszczone w ruchomych wieżyczkach. Wyglądał jak odwrócona, monstrualna wanna. Z powodu licznych porażek praca nad nim trwała aż do początku 1902 roku. Poruszał się, w zależności od wersji, na kołach bądź na gąsienicach.
Projekt zyskał poparcie kilku wpływowych osobistości świata polityki, w tym Winstona Churchilla, lecz w okresie poprzedzającym wybuch I wojny światowej brytyjski rząd nie był skłonny do wydatkowania znacznych sum na takie„mechaniczne zabawki". Wówczas jeszcze polegano na kawalerii i piechocie. Brytyjski czołg „Little Willy" pojawi się dopiero w 1915 roku.

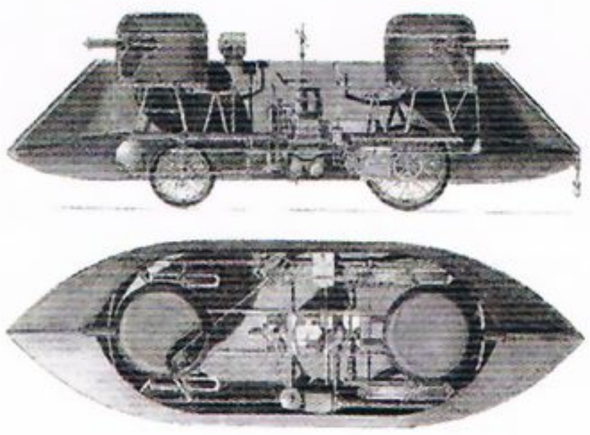

CZOŁG PENNINGTONA

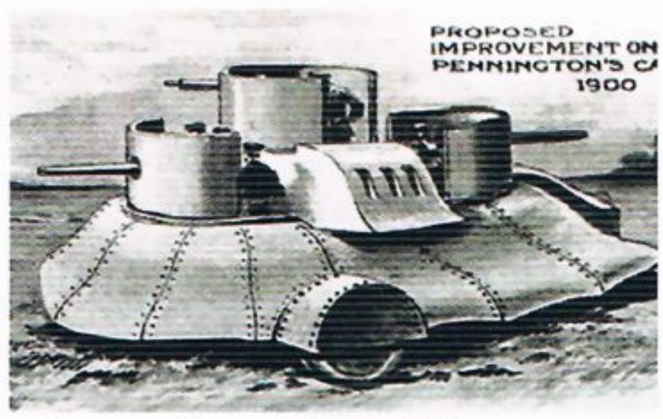

Amerykański konstruktor Edward J. Pennington wyprzedził nieco Simmsa, już w 1900 roku, prezentując swój projekt podobnego pojazdu pancernego w dwóch wersjach; początkowa z dwoma wieżyczkami armatnimi i nieco późniejsza z trzema armatami i trzema ckm-ami. Druga wersja wyróżniała się też większym kątem nachylenia pancerza, co miało zasadnicze znaczenie dla odporności na ostrzał artyleryjski. Poza brakiem gąsienic, pojazdy te zasadniczo, już wówczas, spełniały wymogi, jakie stawiano nieco późniejszym konstrukcjom tanków.

CZOŁG AŻUROWY

I wojna światowa to szczególny okres ze względu na obfitość niezwykłych konstrukcji czołgowych. Amerykański czołg szkieletowy (skeleton tank) jest dobrym przykładem tej pełnej fantazji twórczej działalności. Jego idea polegała na uczynieniu go jak najmniej podatnym na ostrzał i to nie przez opancerzenie, a wręcz odwrotnie – na maksymalnym jego zredukowaniu, do tego stopnia, by pociski przechodziły poprzez niego, nie mając w co trafić.
Patrząc na jego fotografie, wydaje się, że niepotrzebne są dodatkowe wyjaśnienia, dlaczego konstrukcja takiego czołgu nie przyjęła się. A jednak idea takiego ażurowego czołgu inspirowała wówczas także francuskich inżynierów. W 1915 roku w warunkach wojennych powstała podobna, lecz znacznie większa wersja francuskiego czołgu Boirault. Była to właściwie jedna tocząca się gigantyczna gąsienica, o dużych załamujących się sekcjach. Ta szkieletowa konstrukcja była ażurowa i nie posiadała jakiegokolwiek opancerzenia ani uzbrojenia.

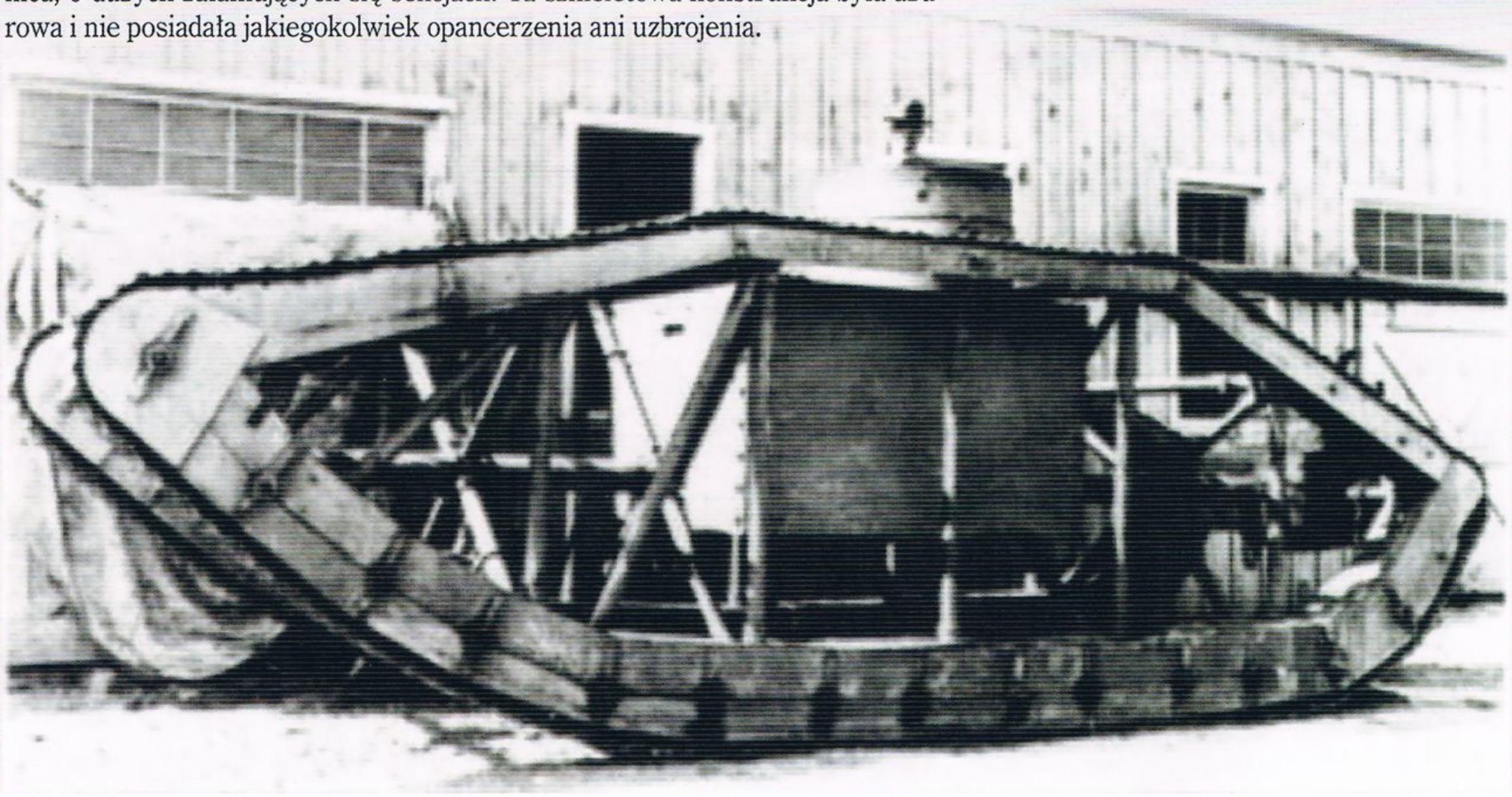

www.odkrywca.pl

STALOWY KOŃ

W 1914 roku włoscy inżynierowie zbudowali„stalowego konia", czyli jedyny w swoim rodzaju czołg bez opancerzenia. Ponieważ była to bardziej samobieżna armata, więc jej żelazna laweta, do pewnego stopnia, służyła załodze za osłonę. To potężne działo (305 mm) miało zasięg prawie 18 km. Poruszało się na stalowych kołach o około dwumetrowej średnicy i bieżniku przypominającym ówczesne ciągniki. Dwa tylne były skrętne, o małym promieniu skrętu, dzięki czemu działo można było użyć na wąskich i krętych drogach Alp.

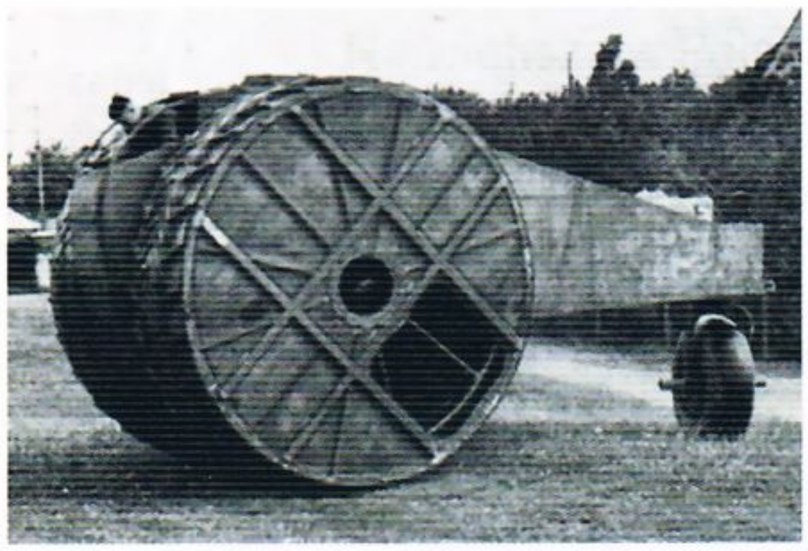

LAUSTER WARGEL LW 3

Niemcy podczas w 1942 roku skonstruowali dziwny twór Lauster Wargel LW 3. Ważył 7,65 t, posiadał dwa silniki Tatry o mocy 75 KM i był mało sterowny. Jak wiele ówczesnych prototypów, nie został zakupiony przez armię.

CZOŁG ROTACYJNY

W lipcu 1942 roku inżynier konstruktor W. Aksjonow przysłał do Narkomatu Obrony swój projekt czołgu rotacyjnego (rotarnyj tank). Autor nie widział technicznych przeszkód dla jego masowej produkcji, choć konstrukcja nie była typową dla ówczesnych czołgów. Miał być zbudowany na okrągłej ramie, poruszającej się na gąsienicach. Jego pancerz stanowił stalowy kołpak, obracający się na rolkach wokół pionowej osi z szybkością od 20 do 50 m/sek. Dzięki temu miała zapewnić wyjątkową odporność na penetrację pocisków przeciwpancernych. To z kolei pozwoliłoby zmniejszyć wagę pancerza o 3–4 razy, przy zachowaniu właściwości pancerza typowych czołgów. Mniejsza masa przekładała się z kolei na większe osiągi prędkości. Ruch obrotowy zapewniał ochronę od granatów zapalających (koktajl Mołotowa), bo odbijały się od szybko wirującego pancerza. Dzięki wielkiej masie dynamicznej taki czołg miał być wyjątkowo stabilny i odporny na taranowanie, samemu mogąc z powodzeniem taranować nawet cięższe czołgi wroga. Doskonałą widoczność zapewniały gęsto rozmieszczone podłużne wizjery. Konstruktor zaprojektował system prowadzenia ognia przez wizjery poprzez zsynchronizowanie go z mechanizmem obrotowym, podobnie jak miało to miejsce w myśliwcach, strzelających z działek poprzez śmigło. Co więcej, system obrotowy pancerza wprowadzał zarazem w ruch obrotową piłę, wystającą poza podstawę czołgu, uszkadzającą pojazdy wroga, gdy te wejdą w bezpośredni kontakt z czołgiem rotacyjnym, ścinającą drzewa i niszczącą siłę żywą przeciwnika. W tym elemencie konstrukcji przypominał średniowieczne wozy bojowe z obracającymi się kosami czy nawet brytyjski czołg z 1855 roku. Ogólnie miał to być lekki czołg o masie od 10 do 15 t, z dwuosobową załogą, silnie uzbrojony w 7 ckm i armatę.

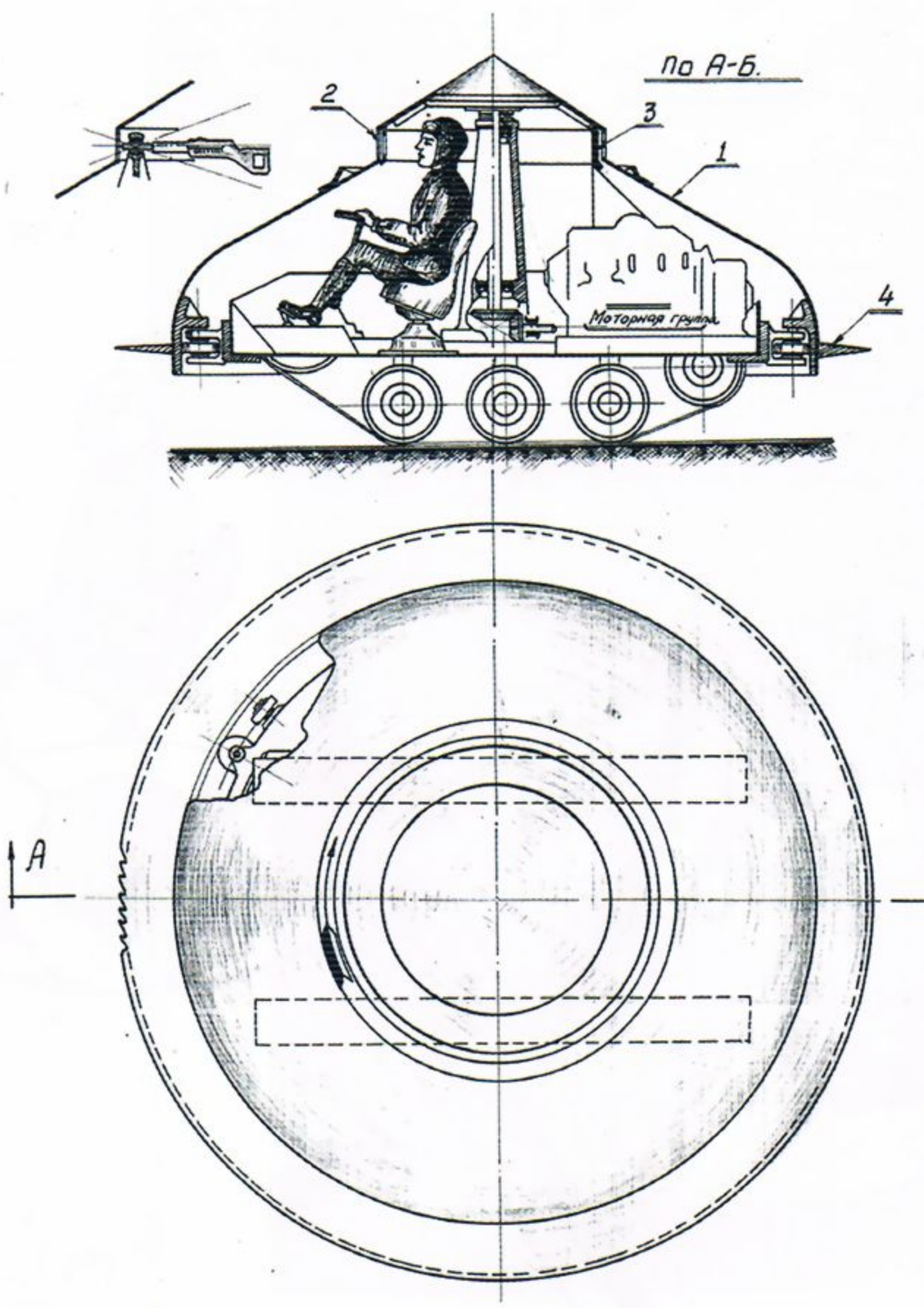

Принципиальный проект роторного танка по предложению Аксенова В.В.

>>>

www.odkrywca.pl

>>>

KARAR

Inny radziecki człowiek, Aleksander Korniejew, pragnący mieć swój osobisty wkład w rozdeptanie „znienawidzonej faszystowskiej gadziny", napisał wprost do „drogiego" Josifa Wasirionowicza list, w którym przedstawił swój wynalazek, nazwany przez niego „Karar". Jest wykluczone, by Stalin i jego otoczenie nie dostrzegli tej propozycji, bo swą oryginalnością daleko odbiegała od wszystkiego, co wówczas konstruowano na wyposażenie Armii Czerwonej. Była to opancerzona, skacząca maszyna wysokości 3 m i średnicy 1,5 m. Konstruktor zalecał jej wykonanie z lekkich stopów metali. Według jego oceny jej wyjątkowość nie polegała tylko na samej, niespotykanej dotąd ogólnej idei, lecz i na szczegółach konstrukcji, zaletach taktycznych i bojowych. Tych jednak nie podaje, tłumacząc, że pomysł przyszedł mu w warunkach trwającej już wojny, gdzie brak było możliwości do kreślenia, przeprowadzenia obliczeń i zasięgnięcia konsultacji. Zasadniczą częścią maszyny była stalowa bania, umocowana na sześciu ruchomych nogach, rozmieszczonych gwiaździście, w efekcie ich podstawy leżały w odległości 3,5 m. Silnik mieszczący się pod kapsułą wprawiał w ruch resorowane sprężynami nogi za pomocą licznych przekładni i dźwigni. To pozwalało skaczącemu czołgowi wykonywać susy od 5 do 20 m. Kierować miał nim tylko jeden człowiek, siedzący na obrotowym fotelu, będąc jednocześnie kierowcą i strzelcem. Czołg ten miał być tanią bronią, z silnikiem niewielkiej mocy. Jego taktyczna zaleta polegała na walorze zaskoczenia i szybkim ataku (skoku). Mógł być użytecznym do błyskawicznych rozstrzygnięć w walkach z piechotą, dzięki czterem stacjonarnym pepeszom. Przydatność w walce z bronią pancerną miała polegać na możliwości podrzucania (z doskoku) środków wybuchowych i stosowaniu dwóch rusznic ppanc. Jego dodatkowe uzbrojenie to „kulowelyzator", wyrzucający strumień płonącego płynu. 24 „Karary" miało stanowić pluton, 72 – brygadę. Na bojowej linii miały być rozstawione w odległości 50 m od siebie.

Jacek Jaworski
Politolog, arabista, z zamiłowania, historyk wojskowości, wiceprezes Stowarzyszenia Klub Miłośników Dawnych Militariów Polskich, autor kilku książek, klikudziesięciu artykułów, uczestnik konferencji naukowych w kraju i zagranicą.

Рис. № 2. Разрез башни с показом основных узлов ходовой части.

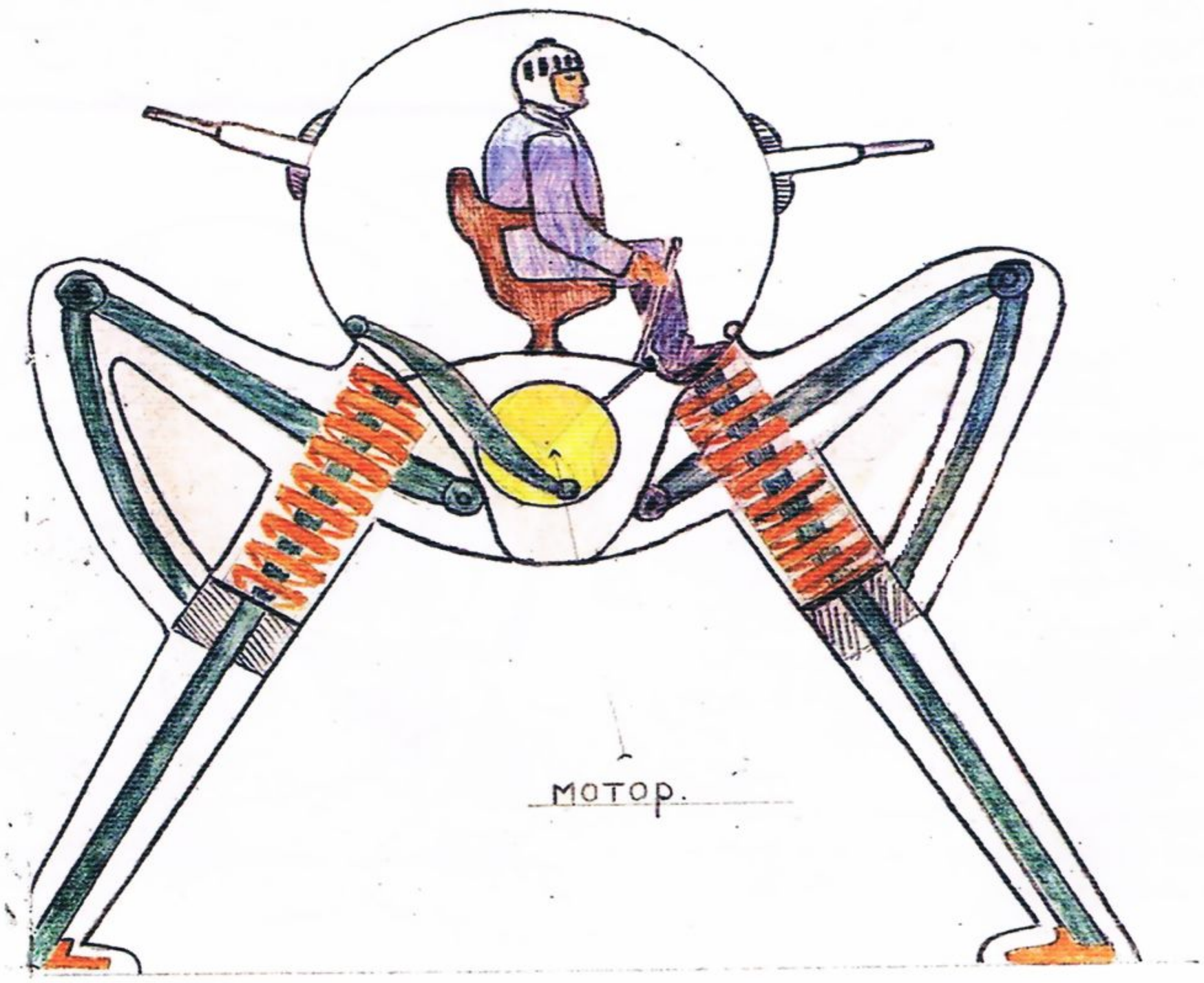

fot. archiwum autora

www.odkrywca.pl

DOLNOŚLĄSKI

Festiwal Tajemnic

w Zamku Książ w Wałbrzychu

12 – 13 sierpnia 2017 r.

Największe w Polsce
spotkanie eksploratorów, historyków
i miłośników tajemnic historii.

- dwa dni spotkań z eksploratorami, archeologami, autorami książek oraz specjalistami zajmującymi się odzyskiwaniem zaginionych dóbr kultury.
- najnowsze odkrycia w Górach Sowich.
- Menachem, wnuk Abrahama Kaisera, więźnia Gross Rosen, autora słynnej książki „Za drutami śmierci" opowie, jak odnalazł kryjówkę dziadka.
- najświeższe wiadomości o „Portrecie młodzieńca" Rafaela Santi.
- promocja książki Joanny Lamparskiej i Piotra Kałuży „Miasta do góry nogami. Podziemia Europy i ich tajemnice".
- śląski gabinet osobliwości, czyli zbiór wszelkich niezwykłości z zamków i pałaców.
- widowisko historyczne z czasów Legionów Polskich i Marszałka Józefa Piłsudskiego. Oddział legionistów rozgromi wojska carskiej Rosji łupiące dobra klasztorne w czasie Wielkiej Wojny.
- konferencja pt. „Zaginione – poszukiwane – odnalezione" z udziałem pracowników Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Narodowego Instytutu Dziedzictwa oraz policji.
- żywe dioramy, artyleria i mnóstwo sprzętu militarnego.
- w sobotę wieczorem „Charlie żołnierzem" niemy film z muzyką na żywo zespołu Czerwie.

A wszystko w jednym z najpiękniejszych zamków w Polsce!

Zapraszamy!

Więcej informacji:
www.festiwaltajemnic.pl
www.facebook.com/FestiwalTajemnic/

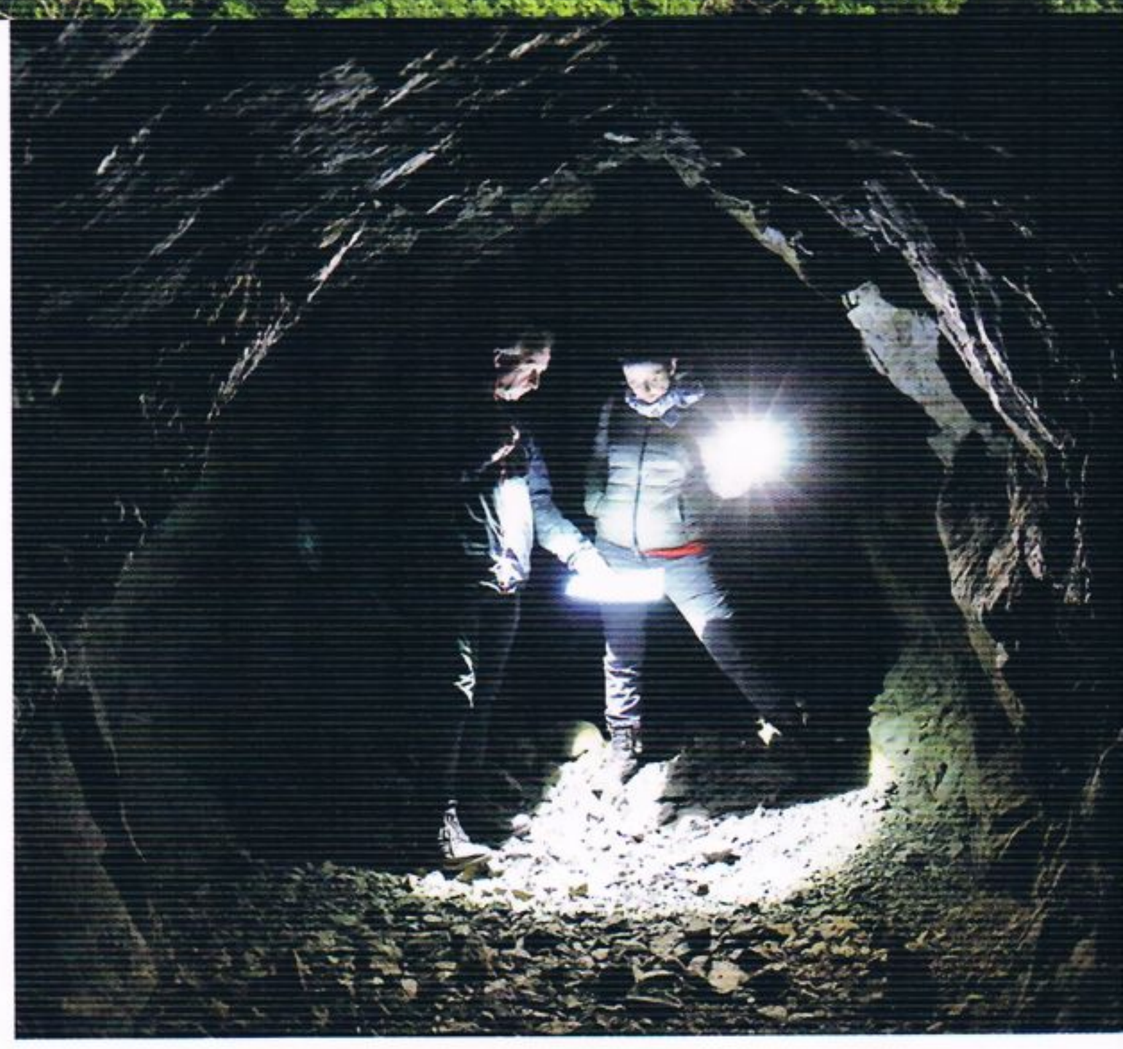

Organizator:

Partnerzy:

Sponsorzy:

Partnerzy medialni:

SYSTEM ŁĄCZNOŚCI TR

JACEK DROŻDŻ

Jedną z najważniejszych kwestii w każdej armii jest łączność. Musi być ona stabilna, skuteczna i odporna na zakłócenia. Zdawali sobie z tego sprawę również Rosjanie, podejmując na początku lat 80. decyzję o budowie sprawnego systemu dla Układu Warszawskiego. Warunki te spełniała łączność troposferyczna, która umożliwia przesyłanie informacji na duże odległości, wykorzystując właściwości najniższej warstwy atmosfery Ziemi – troposfery. System nazwano BARS (ros. „leopard").

Zbudowany on był m.in. z urządzenia R-417 Baget-S, które pracowały na częstotliwościach 4,435–4,555 GHz i 4,630–4,750 GHz (pasmo S), a moc nadawcza mogła osiągać wartości 1,5k W – 2,5k W. System dostarczał 60 cyfrowych kanałów głosowych lub przepustowość danych na poziomie 480 kbit/s. Maksymalny zasięg pojedynczego urządzenia R-417 wynosił 200 km. Obiekty wchodzące w skład systemu były autonomiczne: posiadały zapasy żywności i wody, generatory, filtry powietrza i zapasy tlenu. Były budowane według różnych koncepcji – niektóre były kilkukondygnacyjnymi podziemnymi schronami (tak wybudowano przynajmniej 2 obiekty w Polsce i kilka w NRD oraz na terenie dzisiejszej Ukrainy) a inne umieszczano w budynkach przypominających zwykłe koszary.

Od początku lat 80. budowano obiekty tego systemu w Związku Radzieckim, Polsce, NRD, Bułgarii, Czechosłowacji i na Węgrzech. Węzły umożliwiały sprawne przesyłanie danych między tymi krajami. W sumie powstało ich 26, z czego w Polsce – 7: BARS 201 – Przywary k/Lublińca, BARS 202 – Chocianów (Patera), BARS 203 – Czarna, BARS 204 – Chorągiewka (obecnie JW 1344), BARS 205 – Lipianka (obecnie Monar), BARS 206 – Łężyce (obecnie CWTiD MW), BARS 207 – Suchowo.

Po upadku Układu Warszawskiego los tych jednostek był różny. Obiekt 203, położony w lasach niedaleko Mielca, nigdy nie został dokończony. Kilka lat temu został zniszczony i w zasadzie nie pozostało po nim nic. Obiekt 205 pozbawiono wyposażenia, a budynki przekazano Monarowi. BARSy 205, 206 i 207 pozostały w rękach wojska i są niedostępne. Zachowały się jeszcze dwa – 201 i 202.

W archiwalnym numerze Odkrywcy nr 7–8 z 2003 roku opisano BARS 202, znany pod nazwą „Patera". Porównanie zdjęć z tamtego numeru ze stanem obecnym pokazuje jak daleko posunięto się w dewastacji tego miejsca. Nie zachowało się nic z wyposażenia – ostały się tylko mury i budynek strażnicy – dziś zamieszkany.

Przyjrzyjmy się dwóm obiektom, które nie gościły jeszcze na łamach Odkrywcy – każdy z nich jest interesujący z innego powodu.

Jeden z nich jest oznaczony kodem 201 i znajduje się na terenie dawnej Jednostki Wojskowej 2464 w Sierakowie Śląskim niedaleko Lublińca. Rozległy teren, ostatecznie opuszczony przez Wojsko w 2012 roku, jeszcze w 2008 budził zainteresowanie czterema ogromnymi masztami antenowymi górującymi nad lasem. Jednostka stanowiła istotny węzeł łączności – znajdował się tutaj nie tylko obiekt systemu BARS, ale również potężny, trzykondygnacyjny obiekt łączności krótkofalowej – dziś również niedostępny. Wybudowany kilka lat wcześniej zapewniał łączność przy pomocy anten rozlokowanych >>>

BARS 201 – jedno z wyjść ewakuacyjnych.

fot. Jacek Drożdż

www.odkrywca.pl

OPOSFERYCZNEJ BARS

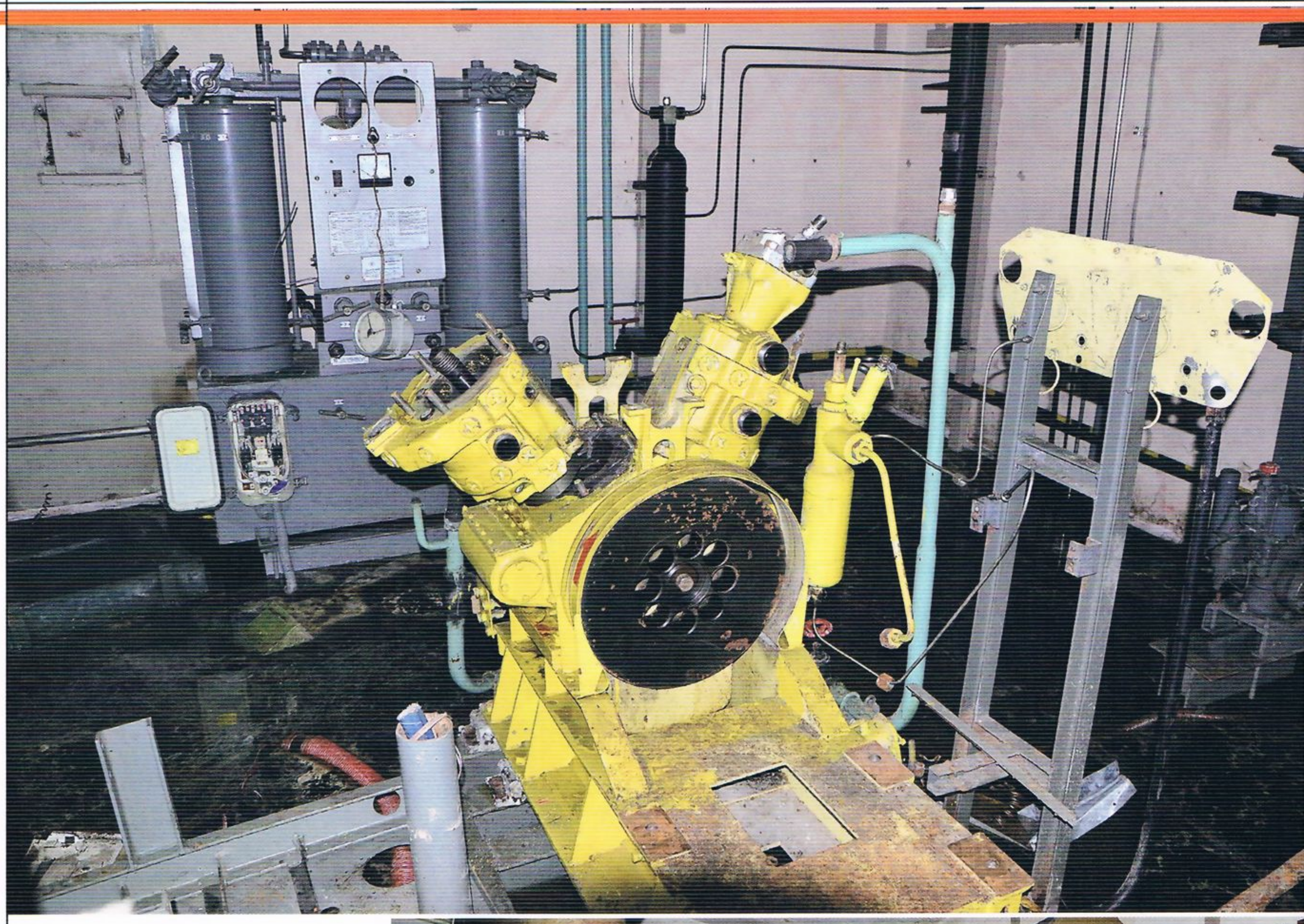

>>> w lesie. Do dziś znaleźć można w lesie resztki kabli antenowych. Być może stanowił też zaplecze dla pobliskiej (ok. 20 km) jednostki wojskowej w Szumiradzie...

Gdy wojsko opuszczało teren, maszty zlikwidowano, wejścia zburzono, zalano betonem, usunięto również czerpnie powietrza, kablownie i wyjścia ewakuacyjne. Po schronie zostały tylko cztery niepozorne górki. W dawnych koszarach zorganizowany zakład karny, a jeden z obiektów jednostki przeznaczono na strzelnicę.

W samym schronie zachowało się jednak wyposażenie, którego próżno szukać w Chocianowie. Ocalały wszystkie śluzy i wejścia. W pomieszczeniach łączności częściowo zachowana została aparatura nadawcza, szafy z elektroniką czy pulpit sterowniczy. W świetnym stanie jest instalacja filtracji powietrza z charakterystycznymi filtrami – typowymi dla radzieckich obiektów >>>

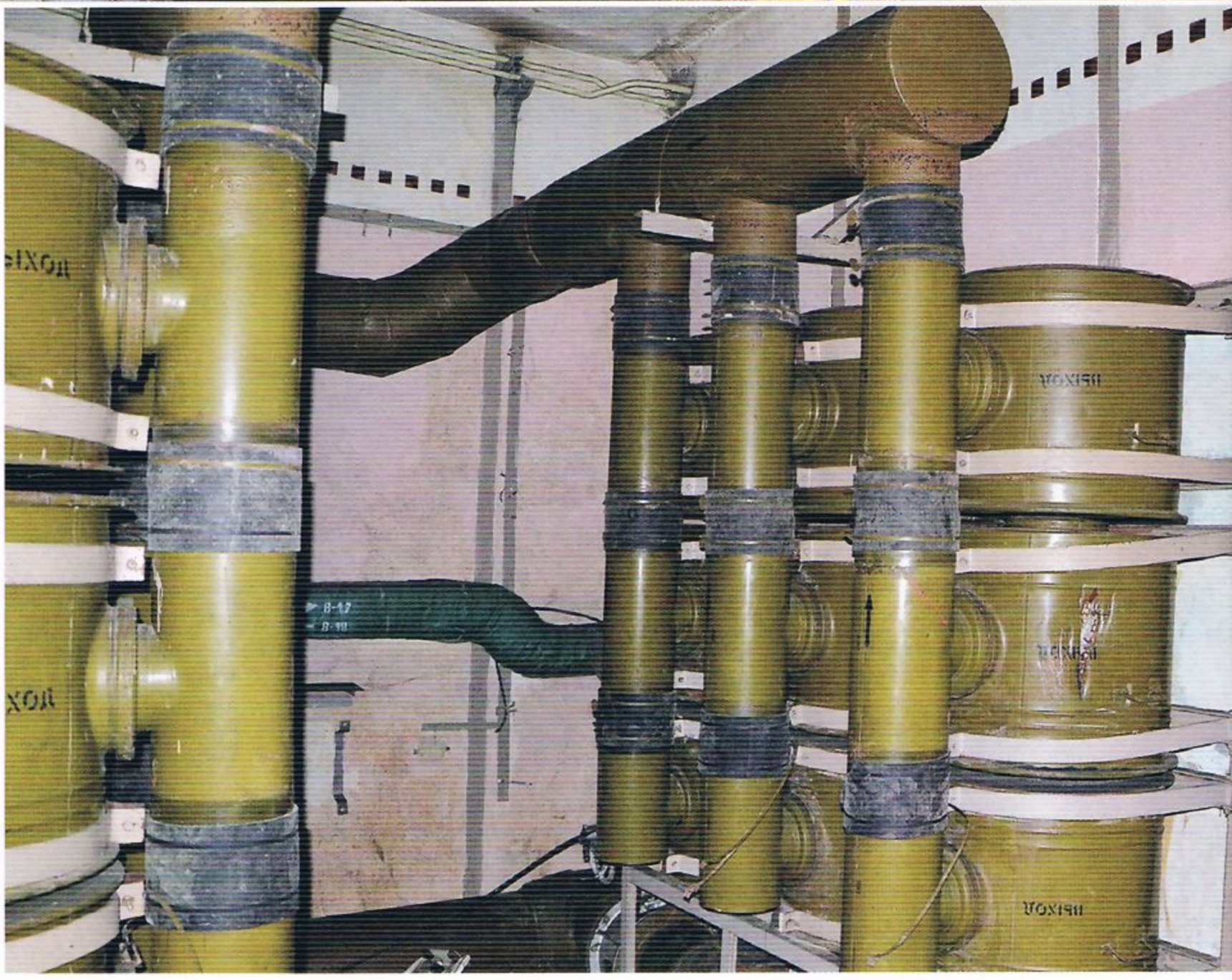

fot. Jacek Drożdż

BARS 201 – jedna z kilku sprężarek.

BARS 201 – filtry powietrza systemu wentylacji.

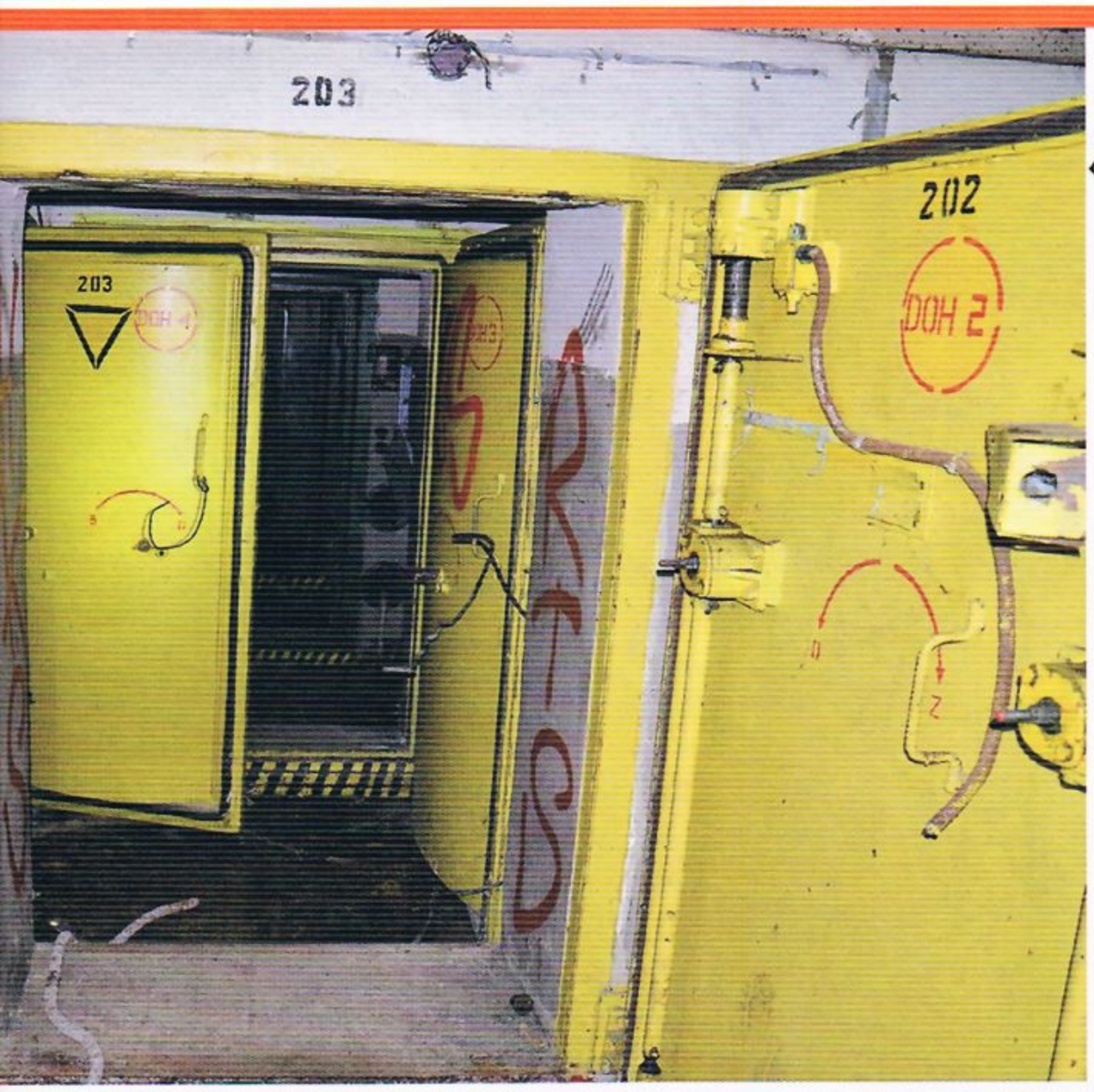

BARS 201 – zachowane w całości śluzy wejściowe. Uwagę zwracają doskonale zachowane uszczelki.

BARS 205 – jedyna ocalała wieża antenowa. Identyczne były w BARS 201. Po lewej budynek z częścią nadawczą.

BARS 201 – główny pulpit sterowniczy.

BARS 201 – butle sprężonego powietrza oddechowego.

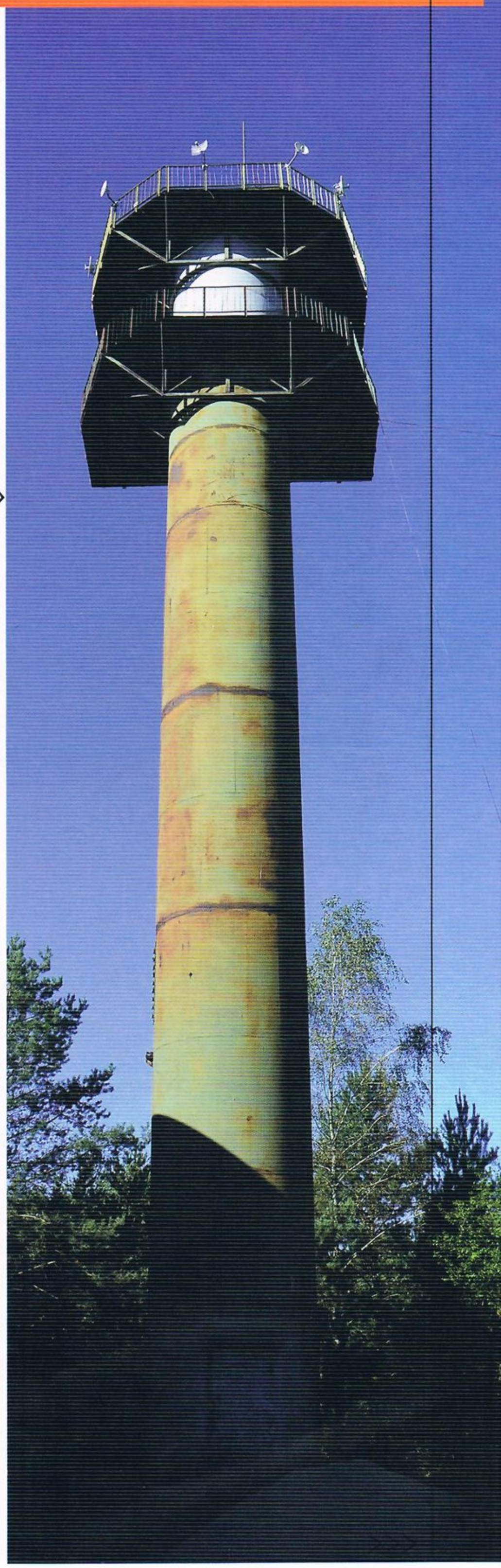

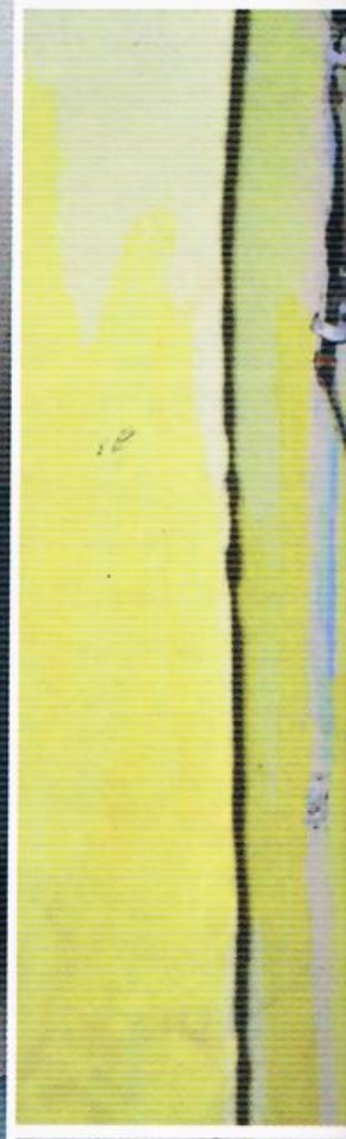

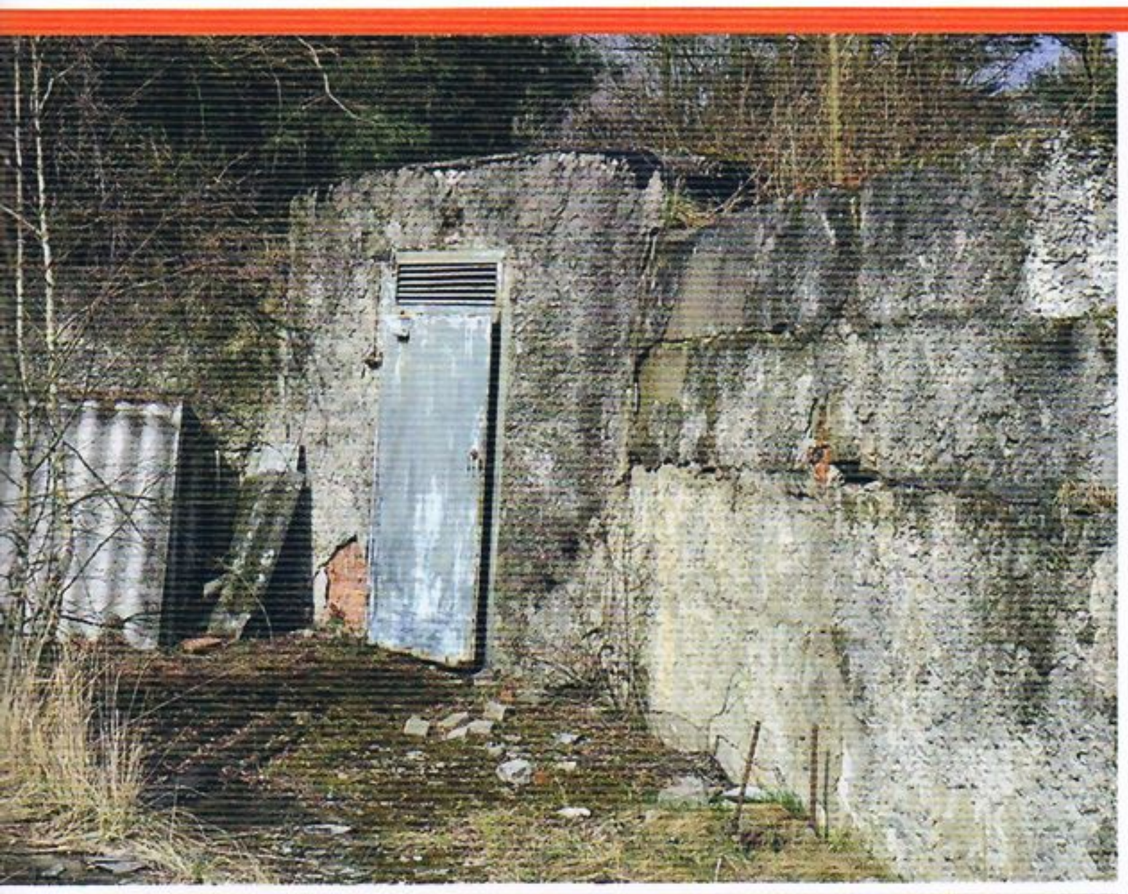

BARS 202 „Patera" – tak wygląda dzisiaj wejście do obiektu 202.

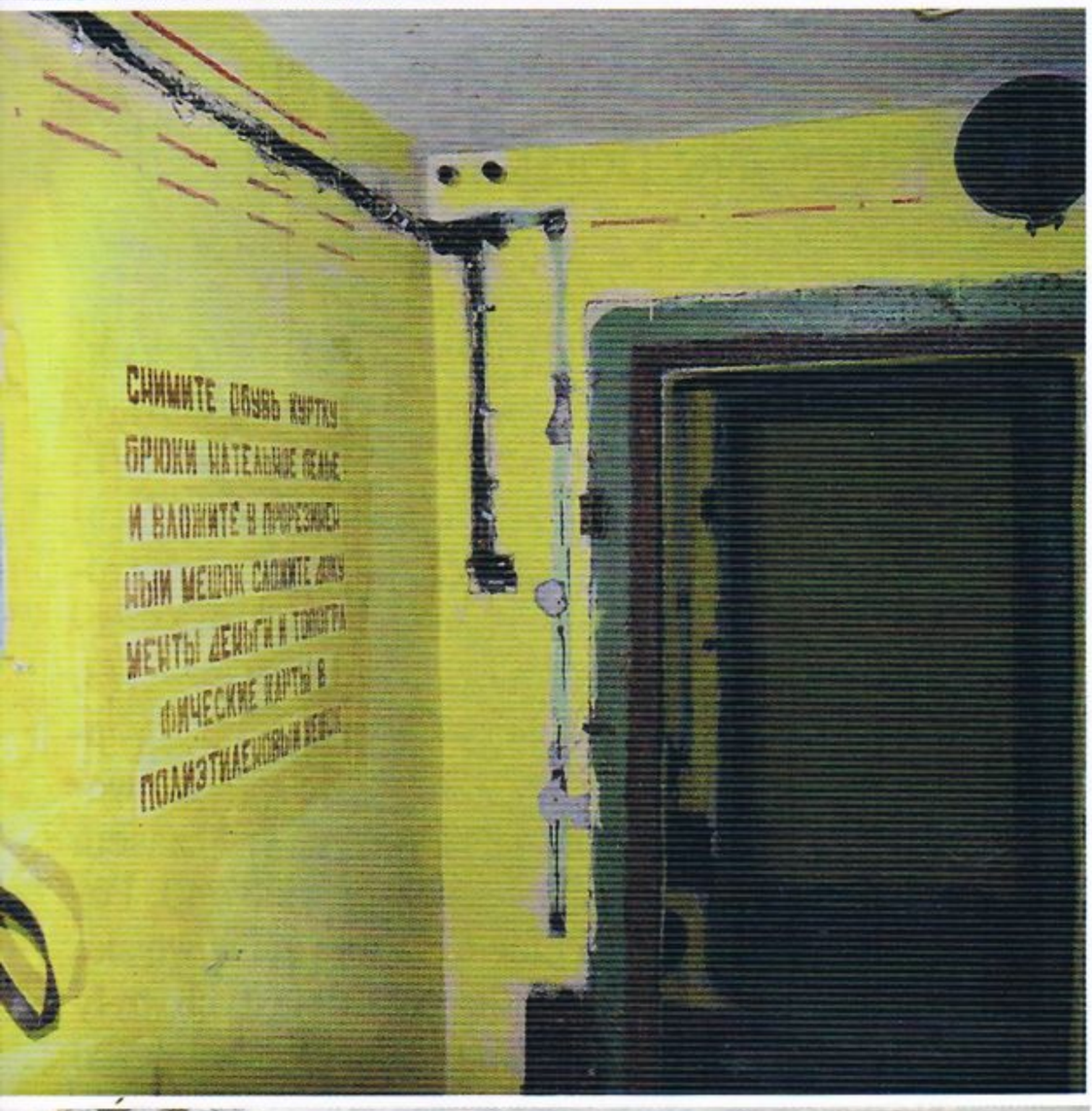

„Patera" – wyrwano nawet kable ze ścian.

„Patera" – wejście do schronu „antenowego".

fot. Jacek Drożdż

>>> z tamtych lat. Na dolnej kondygnacji ostały się nawet zbiorniki na olej napędowy oraz butle z sprężonym powietrzem oddechowym. Natknąć się można na pozostałości agregatów, sprężarek (w tym sprężarki powietrza oddechowego), instalacji pomiarowych i sygnalizacyjnych. Przewody opisane cyrylicą gęsto oplatają wnętrze schronu. Doskonale są opisane pomieszczenia, wyjścia ewakuacyjne, poszczególne pomieszczenia techniczne – pomieszczenia dekontaminacji, akumulatorownia, aneks kuchenny, prycze, magazyny, toalety, stacje wentylatorów. Owszem, widoczne są efekty działania rodzimych amatorów złomu i zwykłych wandali, ale mimo wszystko stan zachowania jest imponujący w porównaniu do Patery. Obiekt jest już niedostępny, teren monitorowany a próby penetracji są surowo karane.

205

Oglądając zdjęcia z 201 i 202 można przypuszczać, że wszystkie schrony łączności BARS były budowane w podobny sposób – ukryte pod powierzchnią ziemi, odporne na ataki chemiczne, bombowe czy wręcz atak nuklearny. Jest to jednak przeświadczenie błędne – o czym można było przekonać się, odwiedzając kolejną jednostkę tego systemu – tym razem tę oznaczoną kodem 205. Obiekt ukryty w lesie niedaleko Ostrołęki służy dziś potrzebom Stowarzyszenia MONAR. BARS 205 niemal w całości mieścił się w typowym budynku koszarowym. Jednak dopiero po wejściu do środka widać, że jego przeznaczenie było zupełnie inne. Pozostałości okablowania, podstaw pod generatory, nawiewów, wentylacji, liczne trasy kablowe, przepusty – wszystko to pokazuje, co znajdowało się w środku. Obok budynku zachowana jest jedna wieża antenowa i betonowe podstawy po pozostałych. Niestety z uwagi na stan wieży, wejście na nią jest niemożliwe.

Wokół jednostki znaleźć można jeszcze zachowane ogrodzenie z drutem kolczastym, resztki izolatorów i innych wojskowych pozostałości.

Artur Mares pisał w 2003 roku – „Widać »sowieckie« jeszcze nie w modzie". Po 14 latach od tamtego artykułu pozostaje tylko ubolewać, że nie dotrwały do dzisiejszych czasów te swoiste pamiątki zimnej wojny. Dziś BARSy, Wilkocin czy dawne magazyny głowic są już głównie świadectwem braku szacunku dla historii – nawet tej słusznie minionej.

Autor dziękuje Pani Renacie Michalik z Ośrodka Szkoleniowego CAMP RAPTOR za zapoznanie z historią byłej jednostki BARS 201 oraz Panu Mariuszowi Kowarskiemu – Kierownikowi Ośrodka Leczenia, Terapii i Rehabilitacji Uzależnień w Lipiance za oprowadzenie po byłej jednostce BARS 205.

Jacek Drożdż

Pasjonat historii, Dolnego Śląska. Miłośnik wędrówek po ciekawych miejscach w Polsce. Członek Grupy Poszukiwawczej Riese.

ROGATYWKA PO
W LUDOWYM WOJSKU POL

PIOTR ORMAN

Rogatywki polowe zniknęły z WP w latach 90. Jednak wiadomo, że trwają prace nad jej nowym modelem. Oto dotychczasowa historia tej typowo polskiej czapki.

Charakterystyczny typ czapki z czworobocznym denkiem, futrzanym otokiem i pierwotnie bez daszka pojawił się w wojsku polskim w XVIII wieku. W kolejnym stuleciu i nieco zmienionej formie był traktowany już jako czapka typowo polska, zwana krakuską, rogatywką lub, ponoć za sprawą konfederatów barskich, którzy ją chętnie nosili, konfederatką. Używały ich Legiony Polskie we Włoszech, potem armia Księstwa Warszawskiego, ułani Królestwa Polskiego, różne formacje powstania listopadowego i partie powstańców styczniowych. W czasie pierwszej wojny światowej rogatywkę nosili Hallerczycy, II Brygada Legionów, potem też wojska wielkopolskie.

W II RP rogatywka była standardowym garnizonowym nakryciem głowy w piechocie, artylerii i kawalerii. W roku 1937 po raz pierwszy pojawiła się klasyczna rogatywka w charakterze czapki polowej. Była miękka, wygodna i znacznie praktyczniejsza od używanej wcześniej furażerki, przewidziano do niej orzełka haftowanego białą nicią na sukiennej podkładce. Czapkę, zgodnie z powszechną w tym okresie tendencją, zaopatrzono w opuszczany otok chroniący w razie potrzeby twarz i uszy.

Rogatywka polowa czasów LWP

W okresie PRL rogatywka w charakterze czapki garnizonowej była obecna w armii tylko na początku jej funkcjonowania, w latach pięćdziesiątych została wyparta przez czapki z okrągłym denkiem. W schyłkowym okresie opisywany typ czapki przyjęto jako nakrycie głowy kompanii reprezentacyjnej. Inaczej było w przypadku rogatywek polowych, te funkcjonowały przez cały okres istnienia LWP. Każdy, kto oglądał „Czterech pancernych i psa", pamięta zapewne rogatywki na głowach polskich żołnierzy armii Berlinga z orłem wz.43, potocznie zwanym „kuricą". Czapki te były wzorowane na przedwojennej rogatywce wz.37 i czasem określa się je jako wz.37/43. Powszechnie używano ich w wojsku do końca lat czterdziestych, były wytwarzane w Rosji i stosunkowo łatwo je zidentyfikować po potniku wykonywanym z ceraty czarnej lub granatowej barwy. W latach pięćdziesiątych żołnierze LWP używali sukiennych lub drelichowych

Rogatywka sukienna wz.49. Wyszywany orzełek na sukiennej podkładce z rogatywki polowej wz.37.

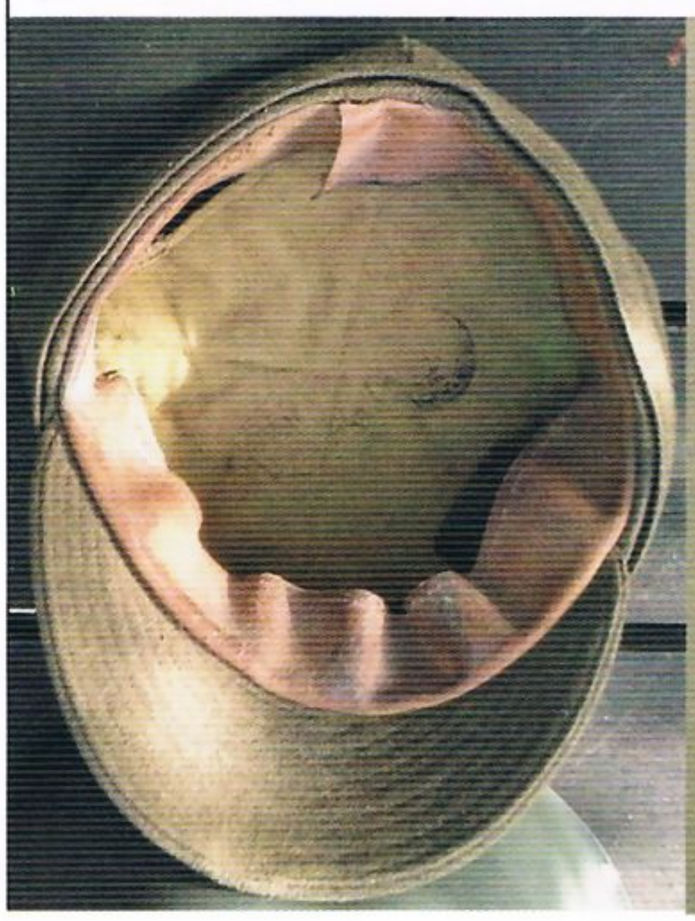

LOWA
SKIM

Rogatywka z tkaniny w kamuflażu „puma" wz.89 ze starym typem godła.

Rogatywka w kamuflażu „deszczyk" wz.58.

rogatywek polowych z metalowymi orłami jako standardowego nakrycia głowy w miesiącach zimnych, latem noszono furażerki. W obiegu kolekcjonerskim funkcjonują dwa wzory czapek z tamtego okresu wz.49 i wz.52. Problem jednak polega na tym, że nie wiadomo tak naprawdę czym się od siebie różniły. Niektórzy w przypadku, kiedy pieczątki z datą produkcji są nieczytelne, twierdzą, że różnica tkwiła w potniku, który w czapce wcześniejszego wzoru miał być wykonany z tkaniny, a we wzorze późniejszym ze skóry. Moim zdaniem nie jest to rozstrzygająca cecha wyodrębniania wzorów, faktyczna różnica tkwiła raczej w podszewce. Wcześniejszy wzór podszyte miał jedynie denko, a otwory wentylacyjne były od wewnątrz przesłonięte dodatkowymi paskami materiału, natomiast w rogatywkach wz.52 zastosowano pełną podszewkę, co sprawiało, że cała czapka była dwuwarstwowa. Oba wzory, z uwagi na bardzo subtelne różnice, funkcjonowały zresztą równolegle, i moim zdaniem to, że czapkę wyprodukowano w roku 1956 nie świadczy automatycznie, że to jest nowszy a nie starszy wzór.

W roku 1958 wprowadzono pierwszy wzór tkaniny kamuflażowej, tzw. deszczyk, z którego szyto mundury polowe dla wszystkich rodzajów wojsk. Z tego materiału zaczęto wytwarzać także rogatywki, tym razem opatrzone orłem wyszywanym białą nicią na podkładce z zielonej tkaniny (technologia była identyczna z tą stosowaną w przedwojennej polówce). Nie znaczy to, że zaprzestano produkcji w latach sześćdziesiątych rogatywek z materiału w kolorze khaki, takie czapki nadal wytwarzano, opatrując je wyszywanymi orłami.

Czapki wykonywane z materiału z nadrukiem wz.58 występowały w dwóch odmianach – klasycznej rogatywki, powstającej z czterech płatów materiału, z wyraźnie zaznaczonymi rogami, i czapki ze szczytem wykonanym z jednego płata materiału, która profilem przypominała nieco rogatywkę, jednak bez zdecydowanie wyodrębnionych rogów. I jeden, i drugi model posiadał typowy opuszczany otok, który w razie potrzeby stanowił dodatkowy ocieplacz twarzy. Klasyczne rogatywki posiadały ponadto niewystępujące w czapkach „okrągłych" otwory wentylacyjne rozmieszczone symetrycznie po dwa na każdym boku, chociaż zdarzają się także egzemplarze ich pozbawione. Czapki były miękkie, nie posiadały żadnych usztywnień, jedynie od frontu w części centralnej, do której przyszywano godło państwowe, dodano płócienną siatkę. Oba typy posiadały ciekawe rozwiązanie w postaci dopinanego na 4 małe guziki dodatkowego ocieplacza, >>>

fot. Piotr Orman

www.odkrywca.pl

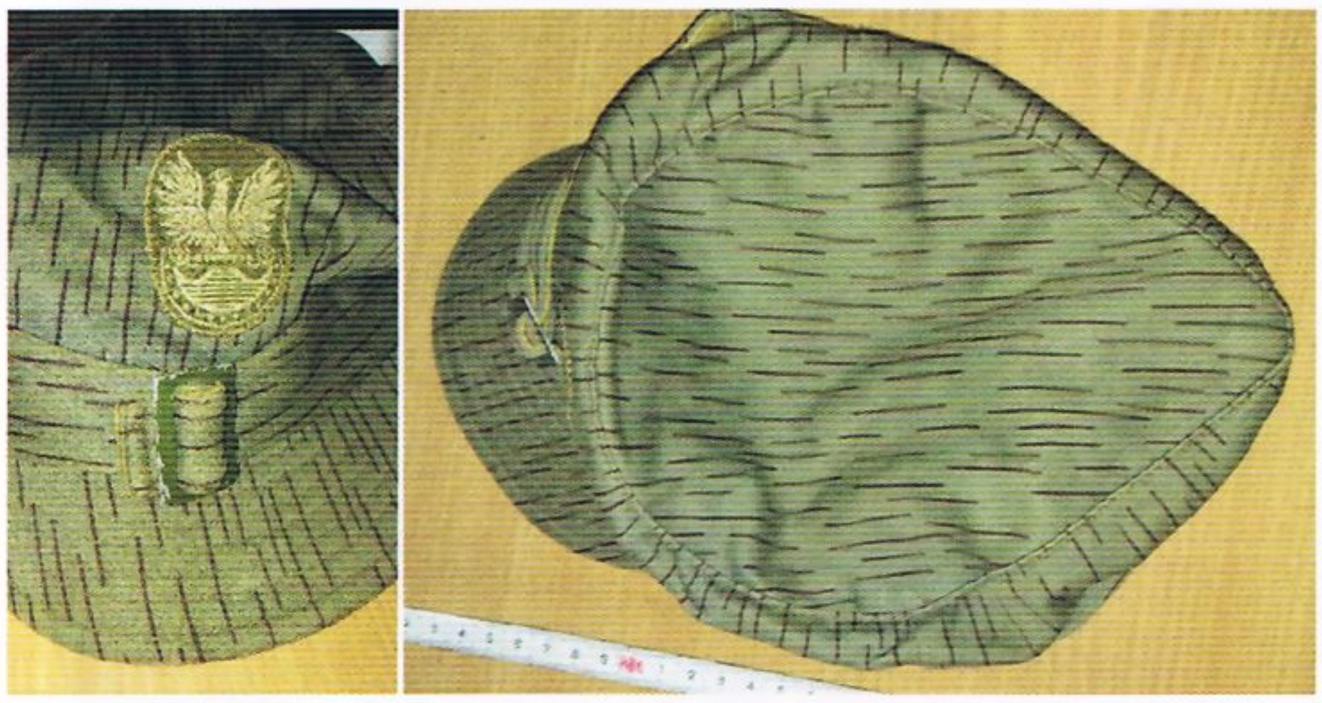

Rogatywka z okrągłym denkiem w kamuflażu wz.58, egzemplarz z roku 1968.

>>> który stanowił swego rodzaju wkładkę do czapki. Potniki wykonywano z naturalnej nielakierowanej skóry.

Kamuflaż typu „mora"

Pod koniec lat sześćdziesiątych wprowadzono w LWP nowy kamuflaż typu „mora", z którego szyto mundury polowe. Istotną nowością było to, że materiał maskujący wytwarzano w dwóch odcieniach – z dominującą zielenią dla wojsk lądowych lub czernią dla wojsk lotniczych. Wraz z wprowadzeniem nowego kamuflażu pojawiła się też nowa rogatywka znana jako wz.71, przy czym nieraz to oznaczenie kojarzone jest z nowym stylizowanym wizerunkiem orła wytwarzanym nowoczesną technologią z gumy na podkładkach materiałowych z nadrukowanym kamuflażem. I w jednym, i w drugim przypadku oznaczenie wzoru jest nieprecyzyjne, ponieważ spotykane są czapki polowe wykonane z tkaniny w kamuflażu „mora" z nowym wzorem orła wyprodukowane w roku 1969, jednak data produkcji i przyjęcia wzoru nie musi być wcale tożsama. Nowe czapki przypominały opisane wcześniej rogatywki w starym kamuflażu wz.58. Powielono rozwiązanie z wypinanym ociepleniem, zastosowano jednak dodatkowe asymetryczne usztywnienie frontu czapki za pomocą grubego płótna lub syntetycznej siatki. Czapki wytwarzane w wersji dla wojsk lotniczych i lądowych, różniły się odcieniem kamuflażu, tkanina używana do ich wykonywania była impregnowana. W latach siedemdziesiątych obie odmiany opatrywano w orzełki w kolorze ochronnym – szarym, dopiero w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych orły stały się białe. W najstarszych rogatywkach z tkaniny „mora" potniki były wykonywane ze skóry nielakierowanej, potem jeszcze w latach siedemdziesiątych zaczęto potniki lakierować (co budzi wątpliwość, bo ten element, jak sama nazwa wskazuje, miał absorbować pot, a polakierowany czynił to raczej słabo), a jeszcze później zaopatrzono je w perforowane otwory poprawiające wentylację.

Wzór 71/84

W roku 1984 przeprowadzono modyfikację rogatywki polowej, tworząc wzór 71/84. Zrezygnowano wówczas z podpinki (ocieplacza), zaopatrując czapkę w integralną podszewkę. Dokonano także najbardziej chybionej w całej historii rogatywki w LWP modyfikacji, wprowadzając tekturowe usztywnienie denka. Od tego czasu czapka dla wielu użytkowników stanowiła spory problem i nie cieszyła się estymą. W warunkach poligonowych w sytuacji, kiedy należało założyć hełm, nie za bardzo wiadomo było, gdzie schować czapkę polową tak, aby nie połamać usztywnienia. Jeżeli to nastąpiło, czapka na zawsze traciła fason, przyjmując nieraz nieforemny kształt połamanego tekturowej wkładki. Wyglądało to okropnie, a przez zazwyczaj znudzoną kadrę nieraz było piętnowane z gorliwością godną lepszej sprawy. Nieszczęśni poborowi we własnym zakresie robili więc kuriozalne usztywnienia z tektury, drutu lub patyczków, co skutecznie niwelowało wszelką sympatię dla tego typu czapki. Jak wyżej wspomniałem orzeł przyjął śnieżnobiałą barwę, chociaż korzystano na pewno ze starych zapasów i szare ptaki można znaleźć nawet na rogatywkach z 1986 roku.

Klasyczna rogatywka w kamuflażu „deszczyk" wz.58, zdaniem autora najbardziej udany wzór z okresy PRL.

„Puma" zwana „żabką"

W latach osiemdziesiątych intensywnie pracowano nad nowym ogólnowojskowym kamuflażem. Próbowano modernizacji „mora" wz.68, dodając asymetryczne >>>

fot. Piotr Orman

www.odkrywca.pl

Rogatywka z 1975 roku z wypiętym i ułożonym obok ociepłaczem. Rozwiązanie typowe dla wszystkich czapek w kamuflażu „deszczyk" oraz „mora" do roku 1984.

Fabryczna metka rogatywki z tkaniny w kamuflażu „mora" wz.68.

Szary orzeł stosowany na czapkach z tkaniny „mora" do 1984 roku.

www.odkrywca.pl

>>> czarne nadruki, testowano nowe wzory, np. „marmurek" czy „gepard". Ostatecznie jednak zdecydowano się na niezbyt szczęśliwy wzór nazwany „puma", który przyjęto oficjalnie w roku 1989. Tutaj mała dygresja, oficjalne oznaczenie to wz.89, jednak warto nadmienić, że znane są elementy umundurowania w tym kamuflażu (także rogatywki), noszące datę 1988. „Puma", zwana także „żabą", była najkrócej używanym polskim kamuflażem wojskowym, zastąpionym szybko przez obowiązującą do dzisiaj „panterę" wz.93. Wzór miał faktycznie niezbyt dobre właściwości maskujące. Dla meritum tego tekstu najistotniejsze jest jednak, że właśnie z tkaniny w tym kamuflażu produkowano ostatnią rogatywkę LWP, która okazała się też pierwszą i, jak na razie, jedyną czapką tego typu stosowaną w WP po transformacji ustrojowej z nowym wzorem orła w koronie. Rogatywki wz.89 wykonywano zgodnie ze specyfikacją opisanej wyżej czapki wz.71/84. Początkowo opatrywano je orłem starego wzoru drukowanym na podkładkach w nowym kamuflażu. Po transformacji ustrojowej stare orły odprawiano i zastępowano je w jednostkach godłem nowego wzoru (93). Często spotyka się czapki z dosyć nieporadnie doszytym orłem w koronie. Dużo rzadsze są natomiast egzemplarze, w których dokonano tego fabrycznie.

Oznaczenia

Wszystkie opisane wyżej rogatywki oznaczano w podobny sposób za pomocą umieszczonych od wewnątrz na denku tuszowych stempli w kolorze czarnym, granatowym lub rzadziej czerwonym z miesiącem i rokiem wytworzenia oraz rozmiarem czapki. Na starszych wzorach spotykało się też sygnatury wytwórcy lub stemple Departamentu Taborowo-Mundurowego. Na nowszych, oprócz daty produkcji i rozmiaru, widnieją także stemple kontroli jakościowej. Czapki także czasem posiadają pieczęcie w kolorze czerwonym o treści „wydano" z numerem konkretnej jednostki wojskowej, w której dana czapka opuściła magazyn.

Teraz berety

Rogatywki polowe zniknęły z WP w latach dziewięćdziesiątych zastąpione przez berety. Im więcej czasu upłynęło od ich wycofania, tym częściej słyszało się głosy o przywróceniu tej typowo polskiej czapki. Beret faktycznie nie jest idealny, nie zapewnia żadnej ochrony przed deszczem, wiatrem lub świecącym w oczy słońcem. Polowa czapka zdecydowanie by się przydała, pod warunkiem, że jej walory praktyczne będą na pierwszym miejscu i nikt nie wpadnie na niedorzeczny pomysł usztywnienia miękkiej czapki polowej. Wiadomo skądinąd, że prace nad taką czapką trwają i zapoczątkowano je w Jednostce Wojskowej Komandosów w Lublińcu, co pozwala mieć nadzieję, że jako zaprojektowana i przetestowana przez praktyków faktycznie się wojsku przyda. Moim zdaniem najlepiej w charakterze czapki polowej spisywały się rogatywki szyte z tkaniny „deszczyk" wz.58, były miękkie, nie bardzo rozbudowane, dzięki czemu miały ładny profil a nielakierowany potnik nie odparzał i zapewniał przyzwoity komfort użytkowania. <

Wnętrze rogatywki wz.89, widoczne fabryczne stemple oraz wojskowa pieczęć magazynowa. Orzeł wz.93 na rogatywce z „pumy", na pierwszym zdjęciu przyszyty ręcznie w jednostce po odpruciu starego wzoru, na drugim znacznie rzadziej spotykany naszyty fabrycznie.

Piotr Orman
Przewodnik jurajski, współautor książki „Wielka Wojna na Jurze". Miłośnik broni białej i klasycznych aut terenowych.

fot. Piotr Orman

www.odkrywca.pl

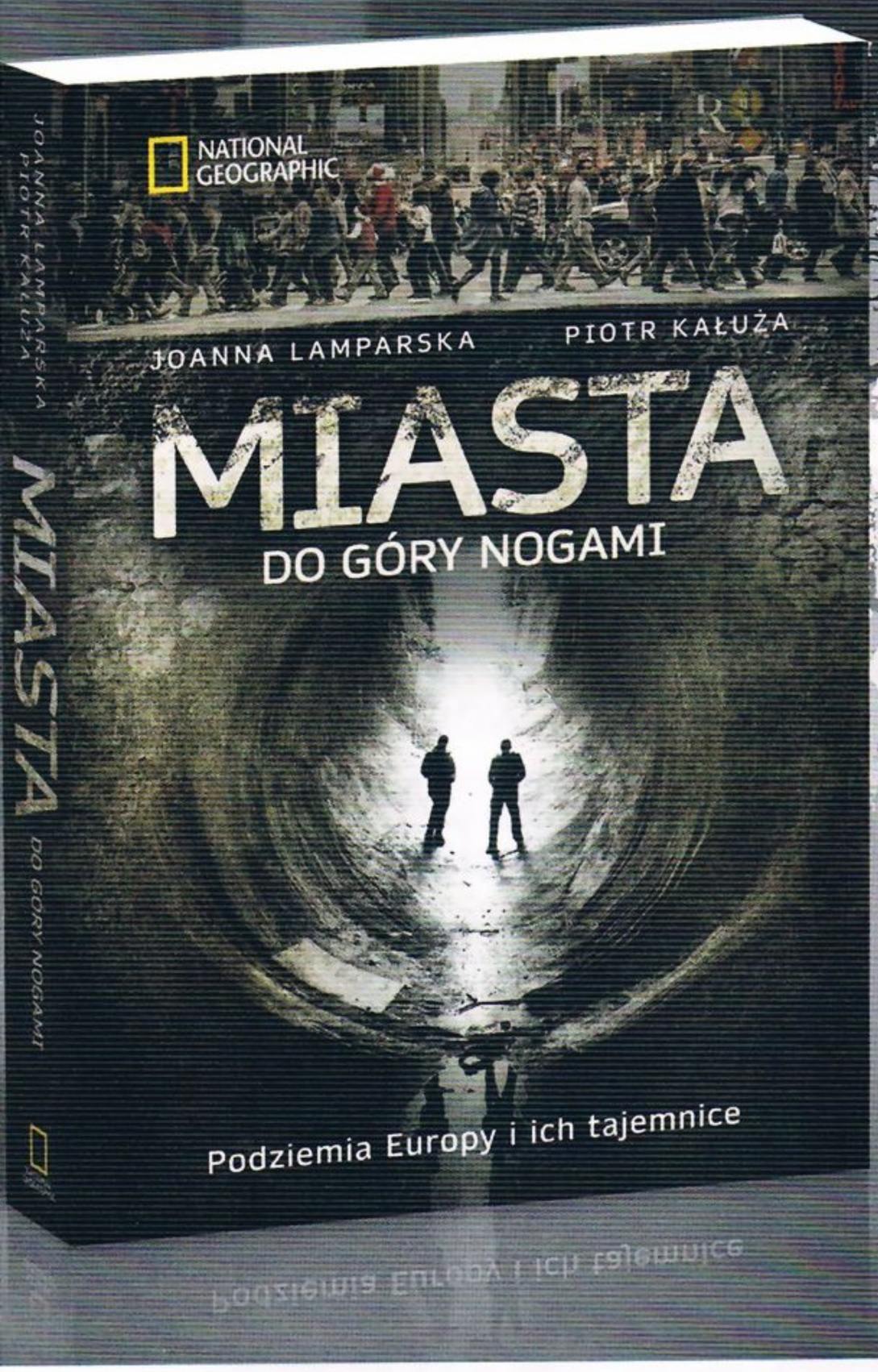

Każdy skrawek ziemi ma swoją TAJEMNICĘ, a one najczęściej mieszkają W PODZIEMIACH

Pod Europą ciągną się kilometry podziemnych konstrukcji, od zagadkowych grobowców z czasów prehistorycznych aż do fabryk drążonych we wnętrzu gór w czasie drugiej wojny światowej. Autorzy schodzą pod ulice największych miast Europy, penetrują labirynty, odkrywają sekrety kopalni złota w Złotym Stoku.To połączenie przewodnika z barwnym reportażem, gdzie przygoda czekana każdej stronie.

FOCUS · NATIONAL GEOGRAPHIC TRAVELER · Focus Historia · Militaria.pl · ODKRYWCA · NATIONAL GEOGRAPHIC

BYŁO... NIE MINĘŁO

Spotkanie z historią

21-22 października 2017

- Rekonstrukcje i pokazy historyczne
- Strefa eksploratorów
- Ekspozycja broni i pojazdów militarnych
- Wystawa modelarstwa
- Spotkanie z Adamem Sikorskim
- Dioramy od średniowiecza po XX w.

LUBLIN, UL. DWORCOWA 11
GODZ. 10.00 - 18.00

TARGI LUBLIN

www.bylonieminelo.targi.lublin.pl

spotkaniezhistoria

CZEKOLADA NA

TOMASZ BIENEK

II wojna światowa nierozerwalnie złączyła czekoladowe wyroby z racjami polowymi, a niektóre z czekolad stały się wręcz symbolami armii, w których były wydawane.

Wyroby czekoladowe były w Niemczech dość popularne już przed I wojną światową. W cesarstwie istniało wiele wytwórni czekolad i słodyczy, a zamożne społeczeństwo mogło pozwalać sobie na zakupy tego typu produktów, co przełożyło się na obecność czekoladowych wyrobów wśród niemieckich żołnierzy podczas I wojny światowej. Kryzys gospodarczy, jaki dotknął Niemcy po 1918 roku, wywołał dramatyczne zubożenie ludności i drastycznie ograniczył spożycie czekolady, jednak zmieniło się to wraz z nadejściem czasów III Rzeszy.

„Wunderwaffe" niemieckiej armii

Odrodzenie militarne i gospodarcze w hitlerowskich Niemczech poskutkowało też ponownym rozkwitem handlu czekoladą. W 1936 roku w komercyjnej sprzedaży pojawił się czekoladowy produkt, który wkrótce stał się spożywczą „wunderwaffe" niemieckiej armii. Prawdopodobnie w środowisku kolekcjonerów i poszukiwaczy militariów żadna czekolada nie zrobiła większej kariery niż legendarna Scho-Ka-Kola, bo o niej mowa, która dziś stała się niemal wizytówką i nieodłącznym symbolem racji żywnościowych Wehrmachtu. Charakterystyczną czekoladę, w postaci dwóch tabliczek w okrągłej puszcze o średnicy 8,5 cm wprowadziła na rynek firma Hildebrand Kakao und Schokoladenfabrik GmbH Berlin. Miał to być komercyjny hit z okazji Igrzysk Olimpijskich w Berlinie.

Replika brytyjskiego batonika czekoladowego Kit-Kat z okresu wojny.

Czekolady Nestle wchodziły w skład amerykańskich i brytyjskich przydziałów żywności (czekolada na zdjęciu to dobrej jakości kopia).

Skład czekolady czynił ją produktem dedykowanym dla osób narażonych na wzmożony wysiłek fizyczny – turystów, sportowców, żeglarzy. Nazwa stanowiła skrót trzech najważniejszych składników „słodkiego energetyka" – czekolady, kakao i ekstraktu z orzeszków koli, czyli kofeiny. Z racji swoich właściwości Scho-Ka-Kola była produktem wręcz wymarzonym dla wojska, które szybko dokonało pierwszych zamówień u Hildebranda. Do Wehrmachtu trafiała wojskowa wersja

www.odkrywca.pl

MORZU I LĄDZIE

WOJNA OD STRONY KUCHNI CZ. 24

czekolady, z datą produkcji umieszczoną na pokrywce pudełka i napisem Wehrmacht-Packung na dolnej części. Wojskowe apetyty na ten produkt były na tyle duże, że zapotrzebowanie pokrywano też cywilnymi wersjami, a wkrótce, bo sprostać gigantycznym zamówieniom wojskowym, produkcję na licencji Hildebranda rozpoczęto w wielu innych zakładach w Niemczech i Austrii.

Chociaż Scho-Ka-Kolę wydawano w większych ilościach podczas trudnych sytuacji, jak długie marsze czy patrole w górach, nie była ona rodzajem „żelaznej porcji" na czarną godzinę, a raczej uzupełnieniem wydawanego prowiantu. Trafiała oczywiście do odciętych oddziałów, a scena otwierania przez niemieckich żołnierzy zasobnika wypełnionego Scho-Ka-Kolą znalazła się w przejmującym filmie wojennym „Stalingrad" Josepha Vilsmaiera. Scho-Ka-Kola towarzyszyła niemieckich żołnierzom dosłownie wszelkich formacji i na wszystkich frontach. Otrzymywali ją piloci Luftwaffe, czemu specyfik ten zawdzięcza błędną nazwę „czekolady lotniczej" (inna błędna, obiegowa nazwa Scho-Ka-Koli to „czekolada pancerna", sugerująca, że wydawano ją tylko czołgistom, choć rzecz jasna i oni ją otrzymywali). Wielkie ilości Scho-Ka-Koli zabierały ze sobą w rejsy okręty Kriegsmarine, a na pokładach U-Bootów czekolada dosłownie opłynęła świat, docierając z niemieckimi podwodniakami w najbardziej egzotyczne miejsca od Arktyki po tropikalne morza. Wspomina o tym Lawrence Paterson, autor drobiazgowej publikacji o służbie na U-Bocie: „Z symulantów nocni wachtowi mogli liczyć na dodatkową porcję Scho-Ka-Koli, specjalnej czekolady zawierającej zwiększoną dawkę kofeiny, serwowanej także innym członkom załogi przy posiłkach".

Co ciekawe, autor wspomina też o czekoladzie pitnej oraz kakao, wydawanych regularnie niemieckim marynarzom. Oznacza to, że oprócz skrzyń Scho-Ka-Koli na pokłady „szarych wilków" trafiły też rozmaite wyroby czekoladowe innych gatunków: „Jadłospis na okrętach podwodnych był starannie układany – tak, by zapewniał jak najbardziej zbilansowaną dietę. Na śniadanie zwykle podawano kakao lub czekoladę, zupę mleczną z chrupkami, słodkie suchary z masłem, dżemem, miodem lub jajka. Obiad składał się z zupy, kartofli, dania mięsnego z jarzynami, czasem owoców.

Puszka czekolady Niemieckiego Czerwonego Krzyża (DRK). Ze względu na ekstremalną rzadkość tego przedmiotu, opakowanie na zdjęciu to wysokiej jakości kopia.

Na kolację marynarze dostawali kanapki z wędliną albo rybą, serem czy pasztetową, a do picia kawę, herbatę lub czekoladę".

W Kriegsmarine, oprócz typowej, ogólnowojskowej Scho-Ka-Koli, wydawano też jej „marynarską" wersję. Odróżniał ją wygląd opakowania. Zamiast okrągłej puszki, zastosowano płaskie pudełko, rozmiarami i kształtem przypominające pojemnik na przybornik wz. 34 do czyszczenia karabinu. Opakowanie to wyróżniało się też biało-niebieską szatą graficzną.

Jednak największym odbiorcą energetycznej czekolady, z racji swojej liczebności, były wojska lądowe. O popularności

>>>

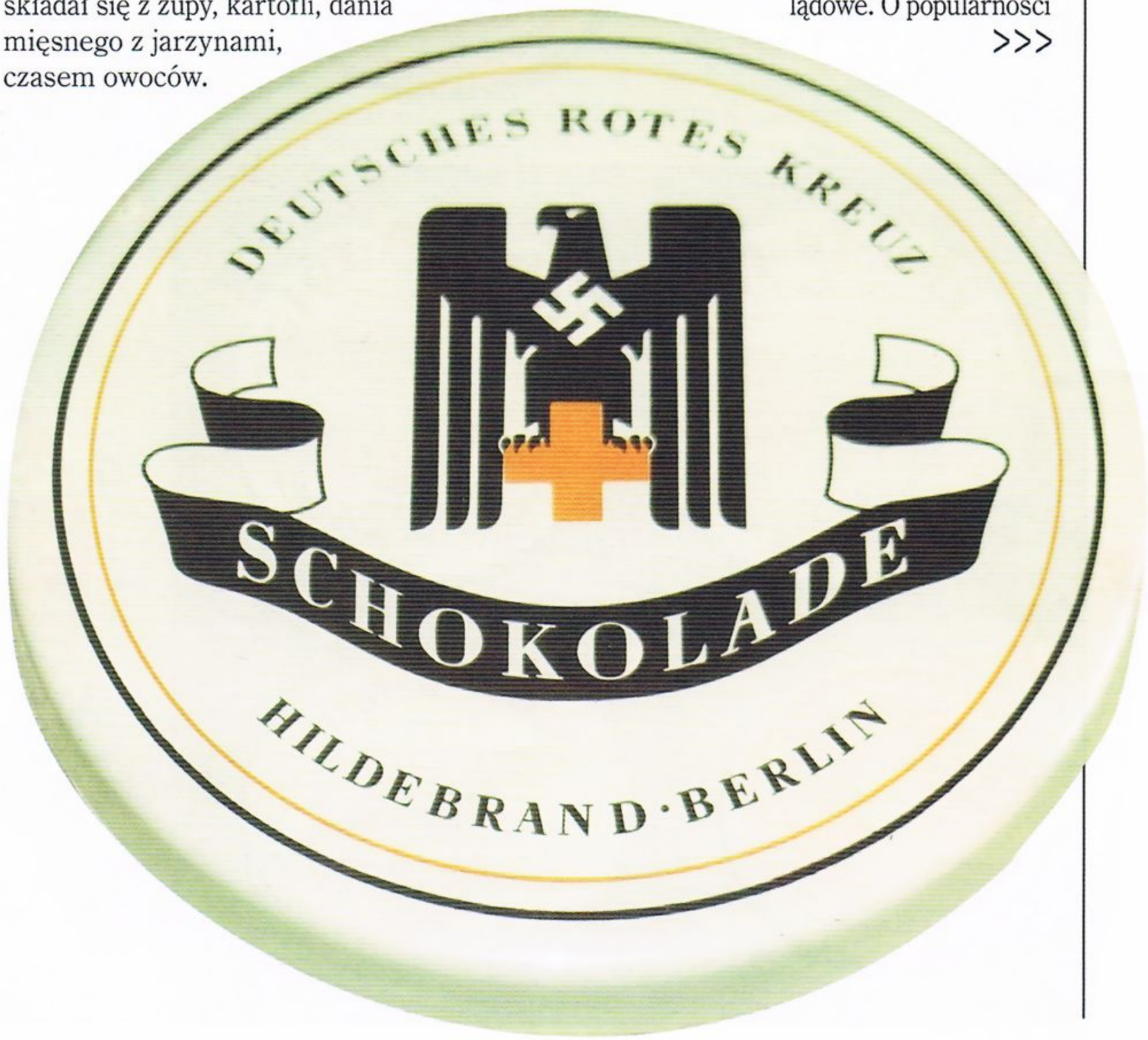

fot. Tomasz Bienek, arch. autora

1

2

3

4

5

6

7

8

www.odkrywca.pl

>>> Scho-Ka-Koli świadczy wiele relacji weteranów z różnych frontów i różnych okresów wojny. Tak William Lubbeck, żołnierz Grupy Armii „Północ", wspomina aprowizację zimą 1941 roku na froncie wschodnim: „Zostawiali nam także mały, okrągły bochenek ciemnego chleba z dużej dywizyjnej piekarni oraz masło, niekiedy ser, które stanowiły produkty na śniadanie następnego ranka. Często kwatermistrz wydawał także czekoladę."

Tak z kolei znany pisarz Hans Helmut Kirst, podczas wojny artylerzysta Wehrmachtu, opisuje ostatnie godziny wojny na froncie zachodnim: „Podporucznik Asch roześmiał się i klepnął Kowalskiego po ramieniu. Kowalski potknął się o jakieś porozrzucane na ziemi części umundurowania. Dał potężnego kopniaka zasmolonemu hełmowi stalowemu, który potoczył się na porzucony karabin. (...) Bombardier przykląkł, podniósł leżący na ziemi chlebak, przeszukał go fachowymi chwytami i znalazł tabliczkę czekolady. Zbadawszy, czy czekolada nadaje się do spożycia, szerokim łukiem rzucił chlebak w krzaki".

Oprócz Scho-Ka-Koli z macierzystej firmy Hildebrand, spotyka się produkty z takich wytwórni jak Fehleisen & Rickel Schokoladenfabrik Hamburg Altona 1; Wilhelm Felsche Kakao-und-Schokoladenfabrik Leipzig N22; Josef Manner & Comp., Aktion Gesellschaft Wien 107; Mauxion Schokoladenfabrik Saalfeld (Thüringen); B. Sprengel & Co., Hannover Fabrik Feiner Schokoladen Kakaos Pralinen; Buck Aktiongesellschaft Kakao und Schokoladenfabrik Stuttgart. Podczas wojny obok puszek blaszanych pojawiły się pudełka kartonowe.

O popularności Scho-Ka-Koli w Wehrmachcie, świadczą też wspomnienia wielu Ślązaków, masowo i przymusowo wcielanych do niemieckiej armii. Opisy te przeczą też błędnym wersjom o jakoby elitarnym przeznaczeniu tej specyficznej czekolady. Jeden ze Ślązaków z Katowic, mój dziadek, Grzegorz Bienek, zmobilizowany w 1943 roku w wieku 17 lat, tak wspominał w latach 80.:

„Pod koniec wojny, w czasie ofensywy w Ardenach, szliśmy gdzieś przez góry, nikt z nas nie wiedział gdzie jesteśmy; mapę miał tylko dowódca kompanii. W pewnej chwili zobaczyliśmy go wraz z jednym z podoficerów, jak na szczycie wzniesienia, pod którym zaległiśmy, obaj wołają nas i zachęcają do wejścia na wznoszący się przed nami grzbiet. Poszliśmy tam spokojnie, z bronią na ramieniu, wierząc, że teren jest czysty. Była to jednak zasadzka – nasi przełożeni mieli niemal dosłownie przyłożoną broń do głowy, gdy nas wołali. Zanim zorientowaliśmy się, co jest grane, zobaczyliśmy tylko wyloty luf amerykańskich karabinów skierowane w nas ze wszystkich stron. Nie mieliśmy szans i poddaliśmy się. Pierwszymi rzeczami, poza bronią, które zabrali nam Amerykanie, były puszki czekolady. Jeden z kolegów, znający trochę angielskiego, poskarżył się amerykańskiemu oficerowi, gdy ów się pojawił. Amerykańscy żołnierze niechętnie oddali nam czekoladę, a raczej to, co z niej zostało, bo większość zjedli od razu".

Nutella z Włoch

Poza Scho-Ka-Kolą do armii niemieckiej, o wiecznie niezaspokojonych potrzebach żywnościowych trafiały też wszelkie cywilne czekolady oraz słodycze zarówno z Niemiec, jak i z krajów okupowanych i neutralnych.

Włoscy sojusznicy rzadziej otrzymywali wyroby czekoladowe. Odbywało się to raczej przy szczególnych okazjach lub dzięki paczkom z domu. Do rąk żołnierzy Mussoliniego trafiały m.in. wyroby z wytwórni czekolad Venci, istniejącej od 1878 roku. Warto natomiast wspomnieć, że popularna także obecnie w Polsce Nutella, ma włoski rodowód bezpośrednio związany z II wojną światową.

Otóż włoski cukiernik Pietro Ferrero z Alby w Piemoncie wynalazł w 1946 roku produkt z orzechów. Choć zapotrzebowanie na czekoladę było wielkie, jej produkcja była w owym czasie niemożliwa ze względu na brak kakao, spowodowany zapaścią, kryzysem i rozmaitymi trudnościami wynikającymi ze zniszczeń wojennych. Mając jednak do dyspozycji orzechy laskowe – z których uprawy słynie region Piemontu, pomysłowy Włoch zastąpił nimi miazgę kakaową, tworząc czekoladopodobną masę, którą zaczął sprzedawać pod nazwą Pasta Gianduja. W pierwszych latach produkcji wyrób ten miał stałą konsystencję i sprzedawany był w blokach lub tabliczkach, >>>

18 Komercyjna Scho-Ka-Kola z produkcji na rynek cywilny. Takimi czekoladami pokrywano braki wojskowej czekolady lub przysyłano je żołnierzom w paczkach z ojczyzny.

26 Scho-Ka-Kola w rzadszej wersji z orłem III Rzeszy na pokrywce.

35 Klasyczne wojskowe puszki Scho-Ka-Koli z 1939 i 1940 roku.

47 Tekturowe pudełko Scho-Ka-Koli z 1944 roku produkcji firmy Josef Manner & Comp. z Wiednia.

Tekturowe pudełko czekolady z berlińskiej firmy o swojsko brzmiącej nazwie Wilczek.

fot. Tomasz Bienek, arch. autora

www.odkrywca.pl

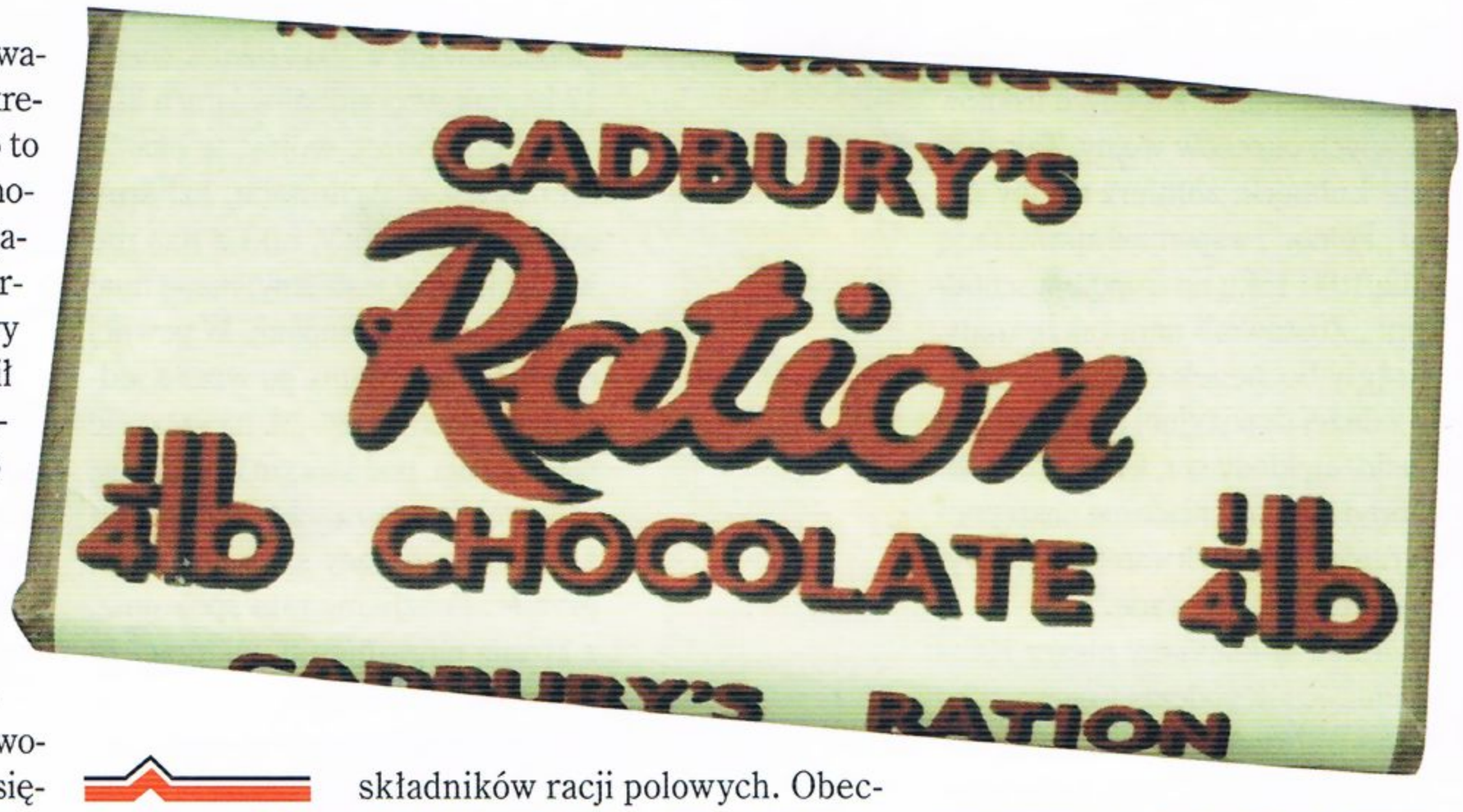

Kopia brytyjskiej czekolady Cadbury z czasów II wojny światowej.

Blaszany pojemnik po czekoladzie mlecznej Goldina z okresu III Rzeszy.

>>> dopiero w 1951 roku wprowadzono go do sprzedaży w postaci kremu pod nazwą Supercrema (było to zapewne spowodowane koniecznością walki o rynek, na którym pojawiały się już prawdziwe, pełnowartościowe czekolady, a orzechowy ersatz w pierwotnej formie tracił rację bytu). Krem obronił swoją pozycję dzięki eksportowi do krajów Europy Zachodniej, a syn Pietra, Michele Ferrero, zmienił w 1963 roku nazwę produktu na Nutella, która dziś stanowi jeden z filarów znanego koncernu Ferrero. Trzeba też nadmienić, że w powojennym kryzysie Pietro Ferrero sięgnął po włoski przepis z 1806 roku, gdy w wyniku blokady kontynentalnej Anglii, prowadzonej przez Napoleona, ceny czekolady stały się astronomicznie wysokie z powodu braku miazgi kakaowej. Wtedy cukiernicy z Turynu wpadli na pomysł, by składnik ten zastąpić zmielonymi orzechami laskowymi.

Wspólnota Brytyjska

W armiach Wspólnoty Brytyjskiej czekolada także stanowiła jeden ze składników racji polowych. Obecność czekolady na stołach żołnierzy brytyjskich, kanadyjskich czy nowozelandzkich była kontynuacją tradycji z I wojny światowej. Na marginesie warto dodać, że związki brytyjskiej czekolady z armią były na tyle silne, że w grudniu 2014 roku, w setną rocznicę bożonarodzeniowego rozejmu między Brytyjczykami a Niemcami pod Ypres, brytyjska sieć supermarketów Sainsbury's wprowadziła do sprzedaży serię czekolad w opakowaniach z tamtej epoki. Dochód ze sprzedaży słodyczy retro przeznaczony został na cele dobroczynne. Podczas II wojny światowej tabliczki czekolady wchodziły w skład wielu angielskich żelaznych porcji, m.in. „24 hours ration", czekoladę i słodycze wydawano żołnierzom w blaszanych pojemnikach z napisem „chocolate and boiled sweets" na pokrywce (racje te szczegółowo opisywaliśmy w numerach „Odkrywcy" z marca i maja 2016). Do brytyjskich szeregów trafiały też masowo czekolady z komercyjnej produkcji, pochodzące od znanych także dziś producentów, jak Cadbury's czy Nestle, a także czekoladowe batony Kit Kat.

W początkowym okresie wojny, gdy wywiad brytyjski bardzo realnie oceniał możliwość niemieckich akcji dywersyjnych na terenie Wielkiej Brytanii, opracowano wiele instrukcji, przestrzegających przed przedmiotami-pułapkami, które dywersanci mogliby podrzucać np. żołnierzom. Jednym z przykładów takich pułapek była tabliczka czekolady, a raczej udająca czekoladę mina, która eksplodować miała

Unikatowa, nieotworzona od czasu wojny oryginalna tabliczka amerykańskiej czekolady Rockwood Global Chocolate.

fot. Tomasz Bienek

w momencie próby przełamania tabliczki. Trudno dziś oceniać na ile obawy te miały pokrycie w faktach, zaś sama idea zabójczej czekolady-miny, podrzucanej przez agentów Abwehry, wydaje się mieć więcej wspólnego z literacką fikcją spod znaku Sherlocka Holmesa niż z realiami wojny.

Tomasz Bienek
Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914–1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzyki, polskich gór i polskiego morza. Z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w miesięczniku „Odkrywca". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

Tekturowe opakowanie czekolady mlecznej Waldbaur.

Opakowanie czekolady produkowanej w Protektoracie Czech i Moraw.

LITERATURA:

HANS HELMUT KIRST „08/15" tom III, Wydawnictwo MON, Warszawa 1987

WILLIAM LUBBECK „U **bram Leningradu. Wspomnienia żołnierza** Grupy Armii „Północ".Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2009"

Lawrence Paterson, **„U-Boot. Życie codzienne na niemieckim okręcie podwodnym w czasie II wojny światowej"**, Carta Blanca, 2011

Jim Pool & Thomas Bock, „Rations of the German Wehrmacht in World War II" Schiffer Military History 2010

GEMMA MULLIN, **„How chocolate helped win WWI"**, „Dailly Mail" 22 lipca 2014

SŁAWEK ZAGÓRSKI, **„Wojna, czekolada i moskiewscy agenci"**, Interia-Historia, 17 września 2014

DOTKNIĘCIE PUSTKI

RADOSŁAW BICZAK

EKSPLORATOR, POSZUKIWACZ, PODRÓŻNIK, AUTOR KSIĄŻEK. KOPANIE ROWÓW MELIORACYJNYCH I ZBIERANIE ZŁOMU NIE SĄ MU OBCE. KIM BĘDZIE JUTRO, NIE WIE NIKT, NAWET SAM ZAINTERESOWANY.

Lato. Sezon ogórkowy. Trzeba uważać – wszak ogórki są najbardziej niebezpiecznymi z warzyw tej ziemi (każdy saper powie, że granaty moździerzowe stanowią największe zagrożenie). Dlatego, nie odstając od sezonu, opowiem krótko o pewnej konferencji. Poczujcie klimat...
Uniwersytet (firma, w której można głosić własne poglądy i nie zostać za to ukaranym) Wrocławski. Wydział Prawa, Administracji i Ekonomii. Temat: „Prawne aspekty poszukiwania skarbów w Polsce". Referować będą konserwatorzy zabytków, archeolodzy, prawnicy, szefowie pism branżowych i poszukiwacze. Dostałem zaproszenie do tak szacownego grona (za co, bez żadnego przekąsu, dziękuję). Obłęd – myślę. W końcu na podstawie rozmów z Wami wszystkimi będę mógł powiedzieć publicznie, co boli poszukiwaczy. I biorąc pod uwagę szacowne mury uniwersytetu, nikt mnie za to nie będzie prześladował. I co? Lipa. Oprócz uczestników, którzy zobligowali się wystąpić, na sali był jeden archeolog, sześciu poszukiwaczy i jakieś dziewczyny, które konferencję wykorzystały, żeby nie iść na zajęcia.
W takich okolicznościach przyrody nie było sensu się zbytnio forsować. Dlatego skupiłem się na referatach cudzych. Dowiedziałem się bardzo ciekawej rzeczy. Pamiętacie, że nie w smak było mi podkreślanie, że jest nas 100 000? Właściwie, kto i na jakiej podstawie wyczarował tę liczbę? Moim zdaniem szacunek jest mocno zawyżony. Jednak na konferencji, od pana archeologa, dowiedziałem się, że niedobrych poszukiwaczy jest w Polsce 250 000! Czyli zdaniem archeologów coraz więcej obywateli interesuje się historią. Cholera, jakie to budujące! Jednak jest mały mankament. Nie było to podkreślenie liczby zainteresowanych historią, tylko dane statystyczne dotyczące pasożytów żerujących na zdrowej tkance nauki. Irytujące – wiem. Jednak z drugiej strony jak się nie cieszyć, skoro archeolodzy publicznie podkreślają skalę zjawiska poszukiwań, to znaczy, że poszukiwacze stanowią dla nich zagrożenie. Nie dla nauki. Nie dla dziedzictwa kulturowego. Dla archeologów. Śmieszne, ponieważ te naprawdę wartościowe dla historii znaleziska, na glebie, których wzrosła stosunkowo młoda dziedzina nauki „archeologia", to zaczyn należący do poszukiwaczy lub tzw. „przypadkowych znalazców". I jeśli odwrócić kota ogonem, to kto na kim żeruje?
Jednak nie jest najważniejsze, co motywuje archeologów. Istotne jest jak to robią, i wypada przyznać, że trudno nie doceniać przeciwnika. Reprezentowani są przez Stowarzyszenie Naukowe Archeologów Polskich, które składa się z ponad 650 archeologów. Siedzibę mają w Warszawie, ale oddziałów regionalnych 10 w różnych miastach Polski. Zupełnie ogarnięte towarzystwo, które w sposób konkretny składa w styczniu 2017 roku wprost na ręce urzędującego Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pismo, w którym podnoszą problem „rabusiów" Dziedzictwa Narodowego. Żądając zmian, pozwalających raz na zawsze ukrócić niecny proceder. Trafiony. Zatopiony.
Będąc ministrem, kogo bym słuchał? Działającego od 1989 roku naukowego stowarzyszenia czy ludzi, którzy nawet na zlocie i przysłowiowym piwie potrafią kłócić się o jakieś głupoty. Ba, jedno stowarzyszenie potrafi samo donosić na innych, bo ktoś wlazł na „ich" teren, a oni mają dobry układ z konserwatorem zabytków. Każdy rzeźbi dla siebie, a archeolodzy są zjednoczeni.
Tylko że na szalach wagi z jednej strony jest 650 archeologów, a z drugiej pustka, jak ta na konferencji. Gdybym był walczącym o swoje naukowcem, to nie miałbym żadnych powodów do trosk. Chyba że spojrzałbym na te wydumane 250 000 jako na potencjalny elektorat wyborczy. Pal licho liczby, ale gdyby poszukiwaczy było 30 000, to można by dopisać do każdego część rodzin i znajomych, którzy pójdą do urn wyborczych w 2019 roku i oddadzą swoje głosy na partię, która w 2017 złoży i przepchnie obywatelski projekt nowelizacji ustawy.

www.odkrywca.pl

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

M. Kołomyjec, S. Fiedosiejew „Renault FT", nr 440, seria: Tank Power, opr. miękka, str. 74, wyd. Militaria. Cena: 33,60 zł.

Monografia czołgu Renault FT. Ponad 25 lat aktywnej służby bojowej, od zachodniej Francji do Dalekiego Wschodu, od Finlandii do Maroka, świadczy o jego znaczeniu dla rozwoju broni pancernej, czołgu opracowanego i wdrożonego do produkcji w bardzo krótkim czasie podczas I wojny światowej.

Konstrukcja, która stała się wkrótce klasycznym wzorcem konstruowania czołgów, udane, w swoim czasie, połączenie optymalnych parametrów bojowych, produkcyjnych i eksploatacyjnych sprawia, że Renault FT zajmuje poczesne miejsce wśród najważniejszych wybitnych konstrukcji w historii broni pancernej.

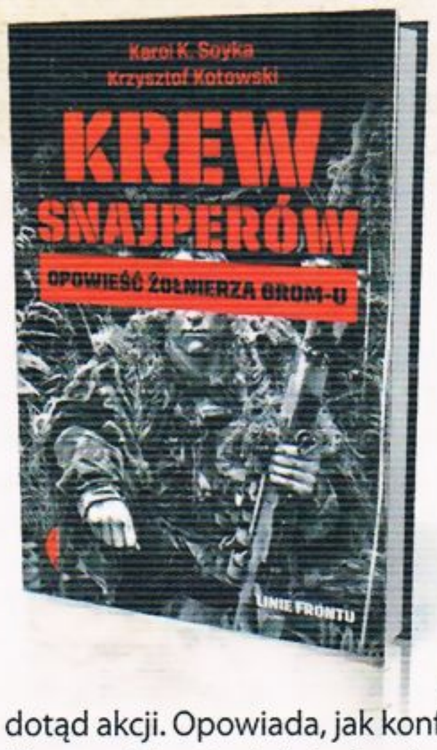

Karol K. Soyka, Krzysztof Kotowski „Krew snajperów", opr. twarda, str. 200, wyd. Czarne. Cena: 27 zł.

Snajperzy GROM-u od momentu sformowania jednostki w 1990 roku są jednymi z najlepszych strzelców na świecie. Specjalne wyszkolenie, niepowtarzalna taktyka walki, niezwykła wytrzymałość fizyczna i psychiczna, a przede wszystkim sprawdzone umiejętności strzeleckie to cechy każdego snajpera z tej jednostki. Jugosławia, Kosowo, Irak, Afganistan, Syria i wiele innych – od lat w miejscach, gdzie zaczyna się konflikt, pojawiają się strzelcy GROM-u. Podpułkownik rezerwy Karol Soyka ukazuje działania snajperów podczas nieopisanych dotąd akcji. Opowiada, jak konflikt wygląda z bliska, i oddaje realia pola walki na podstawie doświadczeń własnych i towarzyszy broni. To opowieść nie tylko o ogromnej wytrwałości i sile snajperów, ale również o poświęceniu i kosztach, jakie ponoszą osoby decydujące się na wykonywanie tego niezwykle ryzykownego zawodu.

„Międzyrzecki Rejon Umocniony MRU. Mapa turystyczna", skala 1:12 500, opr. miękka, str. 2, wyd. Pracownia JB72. Cena: 12 zł.

Mapa przedstawia stan badań nad umocnieniami MRU latem 2012 roku z późniejszymi uzupełnieniami. Korytarze podziemne, z wyjątkiem odcinków niedostępnych, pomierzono metodą tachimetryczną. Obiekty nadziemne lokalizowano za pomocą GPS. Budowle zrujnowane i nieistniejące, takie jak np. zabudowa techniczna czy linie kolei budowlanej i zaopatrzeniowej, lokalizowano za pomocą badań terenowych oraz analizy map i zdjęć lotniczych z lat 30. do 60. XX wieku. Na drugiej stronie publikacji zestawienie i charakterystyka obiektów bojowych, schematyczne rysunki pancerzy zastosowanych na terenie MRU, przekroje korytarzy podziemnych oraz powiększenia najciekawszych fragmentów podziemi: Pętli Niestaroperskiej i Boryszyńskiej oraz grupy warownej Scharnhorst.

Maciej Bernatt-Reszczyński „Niewygodny Polak", opr. miękka, str. 592, wyd. Poznańskie. Cena: 34,80 zł.

Historia człowieka o kilku obliczach, który stał się „niewygodnym Polakiem". Pułkownik Aleksander Reszczyński był komendantem tzw. granatowej policji będącej na służbie niemieckiej władzy okupacyjnej. Podejmując kolaborację z Niemcami, równocześnie współpracował z Armią Krajową, dostarczając jej szeregu bezcennych informacji. W 1943 roku ginie w zamachu. Dochodzenie prowadzą równolegle policja niemiecka i podziemie niepodległościowe. Podejrzenie szybko spada na polskich komunistów. Po wielu latach wnuk pułkownika Reszczyńskiego rozpoczyna własne dziennikarskie śledztwo, bo sprawa sprzed lat wcale nie jest tak oczywista. „Niewygodny Polak" to wnikliwy reportaż historyczny z czasów II wojny światowej i walki podziemia o wolną Polskę.

Krzysztof Kubiak, Łukasz Mamert Nadolski „Ogień na pustyni", opr. miękka, str. 200, wyd. Inforteditions. Cena: 35 zł.

Od autorów: „Wojna na wyczerpanie pozostaje, bez wątpienia, najbardziej zapomnianym konfliktem wśród toczonych przez Izrael i państwa arabskie. Do tej pory polski czytelnik miał bardzo ograniczone możliwości poszerzenia swojej wiedzy na ten temat. Mamy nadzieje, że sytuacja zostanie zmieniona przez publikację, która trzymają Państwo w rękach. Konflikt przyniósł znaczące zmiany w wykorzystywanym sprzęcie, a także taktyce, wprowadzając ostatecznie do działań wojennych na Bliskim Wschodzie nowoczesne rozwiązania".

Janusz Skowroński „Szpital leśny AK 665", opr. miękka, str. 280, wyd. Agencja Wydawnicza CB. Cena: 32 zł.

Książka ta to wnikliwa próba dotarcia i odtworzenia losów tych, którzy w maju 1944 roku na Zamojszczyźnie w Puszczy Solskiej doprowadzili do niespotykanego fenomenu w okupowanej Polsce. Założyli szpital leśny o kryptonimie „665", a miesiąc później stali się uczestnikami tragicznej bitwy pod Osuchami. Autor w pasjonujący sposób podąża śladami licznych fotografii Edwarda Buczka z Biłgoraja, znakomitego dokumentalisty życia leśnych ludzi, krok po kroku odsłaniając losy bohaterów ze zdjęć. Jedni polegli pod Osuchami, inni przeżyli. Czekały na nich represje, wyroki i więzienia, zmiana życia, miejsca zamieszkania, niekiedy zmiana nazwiska.

Znajdź nas na
www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

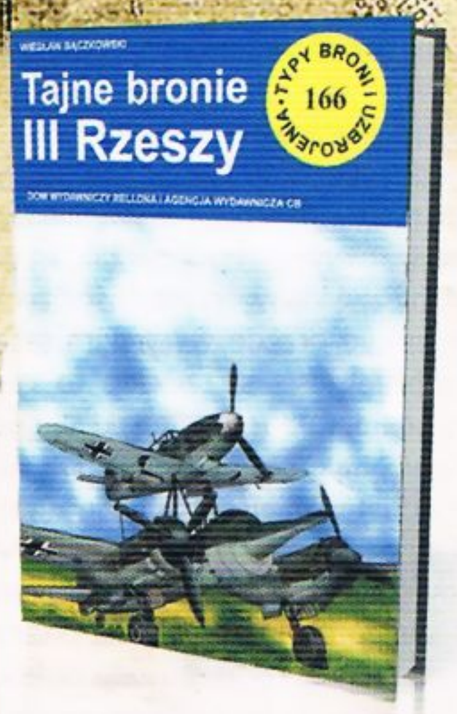

Wiesław Bączkowski „Tajne bronie III Rzeszy", nr 166, seria: TBiU, opr. miękka, str. 32, wyd. Agencja Wydawnicza CB. Cena: 17,60 zł.
W tomiku przedstawiono historię rozwoju, konstrukcję, wyposażenie, dane techniczne i zastosowanie niektórych typów tajnych broni III Rzeszy z końca II wojny światowej. Część pierwsza poświęcona jest zespołom dwóch samolotów, stanowiących pierwowzór kierowanych broni lotniczych. System zwany Mistel składał się z większego bezzałogowego samolotu wypełnionego materiałem wybuchowym, połączonego z pilotowanym, naprowadzającym na cel mniejszym samolotem myśliwskim. W drugiej części opisano pilotowany samolot-pocisk „Reichenberg" zbudowany w oparciu o bombę latającą V-1. Ostatnim przedstawionym systemem uzbrojenia jest myśliwiec rakietowy Bachem Ba349 Natter.

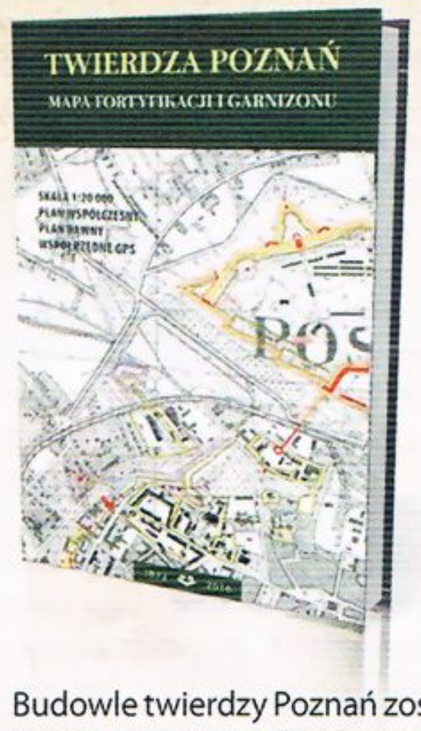

„Twierdza Poznań. Mapa fortyfikacji i garnizonu", skala 1:20 000, opr. miękka, str. 2, wyd. Pracownia JB72. Cena: 12 zł.
Mapa „Twierdza Poznań" przedstawia budowle forteczne i garnizonowe, wzniesione w Poznaniu w latach 1828–1945: umocnienia rdzenia poligonalnego, forty, schrony, fortyfikacje mobilizacyjne z I i II wojny światowej, urządzenia obrony i ochrony przeciwlotniczej z okresu okupacji i niektóre umocnienia obronne z 1945 roku, a także zespoły koszarowe i magazynowe, place ćwiczeń, strzelnice i inne budowle garnizonowe.
Budowle twierdzy Poznań zostały ukazane na tle współczesnego planu miasta oraz na podkładzie mapy historycznej, opracowanej na przełomie lat 30. i 40. XX wieku.

„Twierdza Toruń. Mapa fortyfikacji i garnizonu", skala 1:15 000, opr. miękka, str. 2, wyd. Pracownia JB72. Cena: 12 zł.
Mapa „Twierdza Toruń" przedstawia budowle fortyfikacyjne i garnizonowe, wzniesione w Toruniu: umocnienia rdzenia bastionowego, kleszczowego i poligonalnego, XIX-wieczne forty i schrony, fortyfikacje mobilizacyjne z I i II wojny światowej, urządzenia obrony i ochrony przeciwlotniczej z okresu okupacji i niektóre umocnienia obronne z 1945 roku, a także zespoły koszarowe i magazynowe, place ćwiczeń, strzelnice i inne budowle garnizonowe. Budowle twierdzy Toruń zostały ukazane na tle współczesnego planu miasta oraz na podkładzie mapy historycznej, opracowanej na przełomie lat 30. i 40. XX wieku.

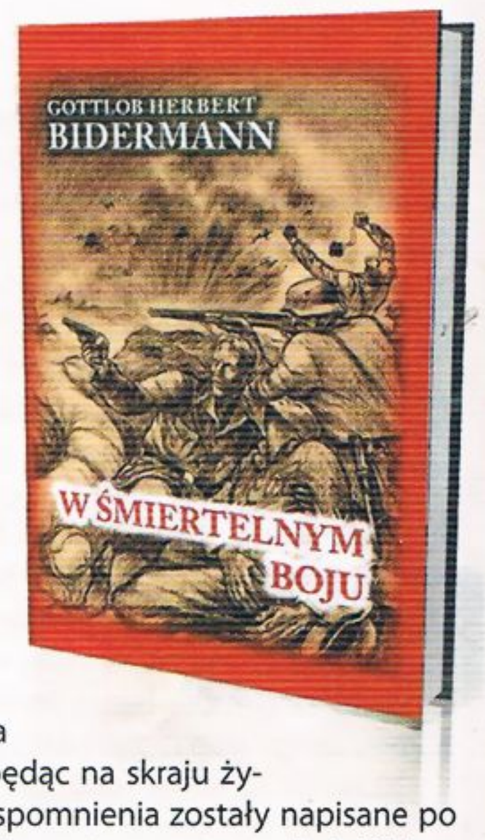

Gottlob Herbert Bidermann „W śmiertelnym boju", opr. twarda, str. 384, wyd. Katmar. Cena: 46,90 zł.
Autor wspomnień opisuje swój udział w walkach na froncie wschodnim. Walczył na Krymie, gdzie brał czynny udział w zdobyciu twierdzy Sewastopol, brał też udział w walkach pod Leningradem. W końcu bronił Prus Wschodnich, mając naszyty na ramieniu legendarny dziś napis tamtejszych wojsk: „Kurland". Wojska broniące Kurlandii nie poddały się nigdy. Dopiero kapitulacja Niemiec spowodowała, że wywieszono białe flagi. Autor po kapitulacji trafia na lata do rosyjskich łagrów. Wycieńczony, będąc na skraju życia i śmierci, powraca do Niemiec. Wspomnienia zostały napisane po wojnie. Autor przedstawia w nich swój negatywny stosunek do Hitlera i ówczesnych rządzących w Niemczech.

Rafał Jurkowski „Zamki Świętokrzyskie", opr. miękka, str. 200, wyd. Ciekawe Miejsca. Cena: 42,90 zł.
W regionie świętokrzyskim zachowało się wiele cennych pamiątek historycznych: zamków, pałaców, dworków, klasztorów, kościołów oraz zabytków techniki. Ziemi tej nie omijały konflikty zbrojne, jakie przetaczały się przez nasz kraj na przestrzeni całego tysiąclecia. Pozostały po nich cmentarze wojenne, pomniki oraz owiane tajemnicami miejsca bitew. Dzięki przewodnikom z serii „Świętokrzyskie wędrówki historyczne" czytelnik ma możliwość pogłębienia wiedzy o zabytkach znajdujących się na terenie województwa świętokrzyskiego, jak również dotarcia do szerzej nieznanych, lecz wartych odwiedzenia obiektów.

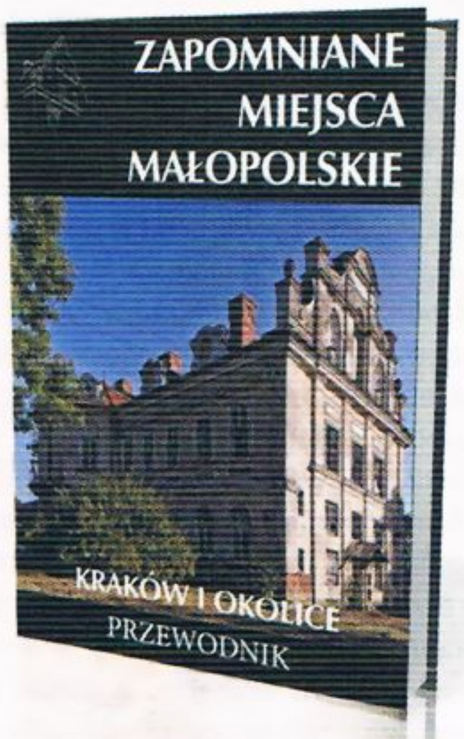

Mateusz Porębski „Zapomniane miejsca Małopolskie" tom 1, opr. miękka, str. 124, wyd. Ciekawe Miejsca. Cena: 37,80 zł.
W przewodnikach tej serii autorzy opisują miejsca, których się powszechnie „nie zwiedza" i się nie opisuje w tradycyjnych przewodnikach. Jakiego typu są to obiekty? Przede wszystkim zrujnowane pałace, dwory, zrujnowane kościoły, fortyfikacje (jest ich w okolicach Krakowa szczególnie dużo, m.in. twierdza Kraków. Znajdują się tu także dawne zakłady przemysłowe (np. ruiny cegielni, wiatraki), porzucony tabor kolejowy, zabytki militarne, dziwne pomniki oraz budowle parkowe (oranżerie, pawilony, kaplice grobowe). Ciekawostką są krzyże szrapnelowe z okolic Ojcowa, piwnice piekarskie i kawerny w dzielnicach Krakowa.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10–18) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

RUTUS
DETEKTORY METALI

Z nami się odnajdziesz

Alter71

- Płynne przestrajanie częstotliwości (4,4 - 18,4 kHz)
- 8 szybkości reakcji
- Nowatorskie przedstawienie identyfikacji obiektu
- Całkowicie automatyczne strojenie do gruntu
- Maskowanie niepożądanych sygnałów
- Praca statyczna, dynamiczna i jednoczesna
- Pin-point
- 7 programów fabrycznych
- Możliwość tworzenia własnych dźwięków
- Lekka, rewelacyjnie wyważona konstrukcja
- Duży, czytelny wyświetlacz graficzny
- Wbudowany cyfrowy nadajnik audio
- Duże zasięgi

RUTUS
www.rutus.com.pl
tel. 58 679 33 14
601 284 371

Odkryj nowe możliwości

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

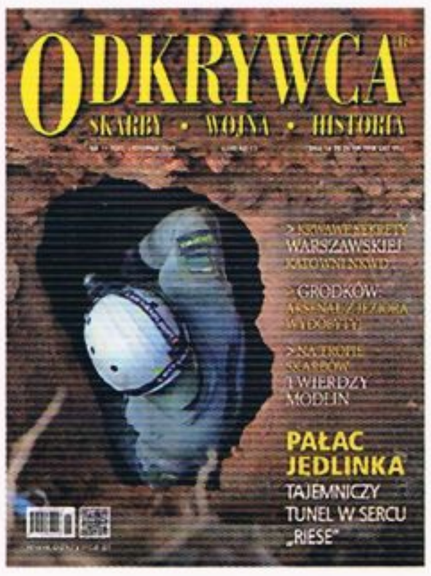

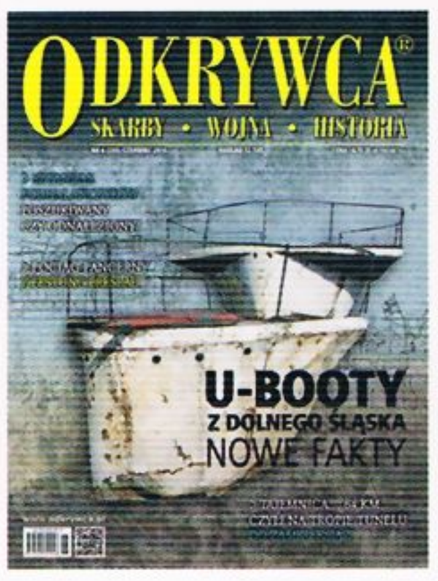

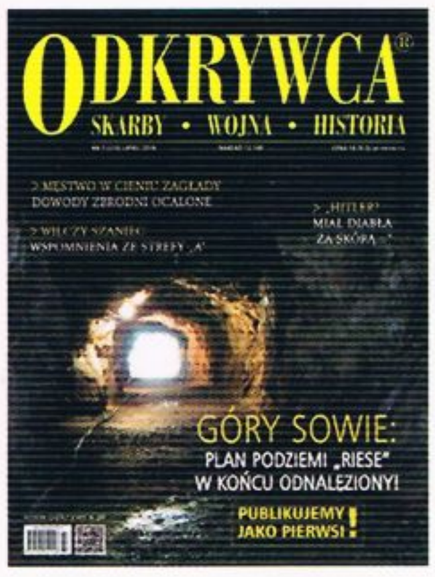

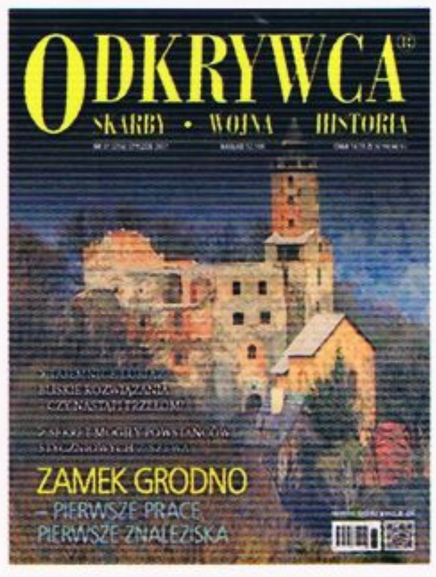

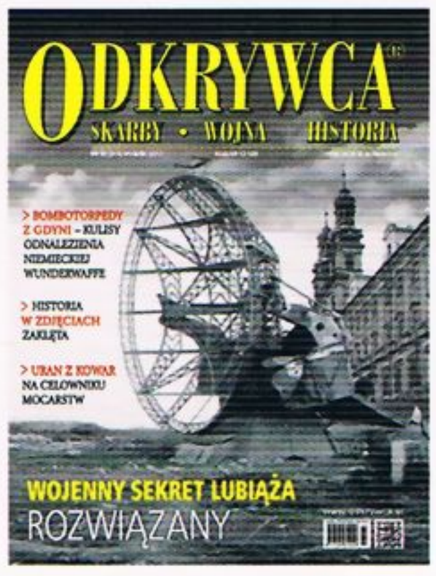

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancją:

- ► stałej, niższej ceny,
- ► szybkiej dostawy pod wskazany adres,
- ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem http://instytut.odkrywca.pl

► lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:

Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin
Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW
PL98249000050000452061532533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane imienne i adresowe oraz informację, od którego numeru ma się rozpocząć prenumerata.. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

- ► krajowa roczna – **147** zł; półroczna – **73,50** zł
- ► zagraniczna półroczna: **123,90** zł (list zwykły); **141,90** zł (list priorytetowy).
- ► Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:

listownie na adres: Redakcja „Odkrywca", ul. Kaszubska 4,
50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty,
telefonicznie 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga do nabycia numery archiwalne

- – rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
- – rok 2001 nr od 3/27 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
- – roczniki 2002 do 2009 – cena 60 zł za jeden rocznik
- – roczniki 2010 i 2011 – cena 84 zł za jeden rocznik
- – rocznik 2012 – cena 96 zł
- – rocznik 2013 i 2014 – cena 108 zł za jeden rocznik
- – rocznik 2015 i 2016 – cena 120 zł za jeden rocznik

Cena razem z kosztami wysyłki w Polsce.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.